

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/18

1949

---



J. CZAPSKI — «Spowiedź dziecięcia wieku» \* J. LERSKI —  
Polacy z «Nord» \* M. SOKOLNICKI — Monachium ♦  
ARCHIWUM POLITYCZNE: E. RACZYŃSKI — Konfe-  
rencja Brukselska ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI:  
K. HRABYK — Przemilezane podziemia \* A. GROBICKI —  
Polacy w U.S.A. w 1833 r. ♦ KRONIKA KULTURALNA.

---

PAMIĘTNIK ZJAZDU NAUKOWEGO W MONACHIUM

## SPIS RZECZY

|                    |                                |    |
|--------------------|--------------------------------|----|
| Józef Czapski:     | «Spowiedź dziecięcia wieku» .. | 3  |
| Jerzy Lerski:      | Polacy z «Nordu» .....         | 14 |
| Michał Sokolnicki: | Monachium .....                | 32 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                   |                              |    |
|-------------------|------------------------------|----|
| Edward Raczyński: | Konferencja Brukselska ..... | 48 |
|-------------------|------------------------------|----|

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

|                      |                              |    |
|----------------------|------------------------------|----|
| Klaudiusz Hrabyk:    | Przemilczane podziemia ..... | 53 |
| Aleksander Grobicki: | Polacy w U.S.A. w 1833 r. .. | 70 |

### KRONIKA KULTURALNA

|                   |                            |    |
|-------------------|----------------------------|----|
| Tadeusz Heinrich: | Na scenach paryskich ..... | 82 |
|-------------------|----------------------------|----|

### PAMIĘTNIK ZJAZDU NAUKOWEGO

W MONACHIUM 28. VIII. 1948 R.

|                         |   |     |
|-------------------------|---|-----|
| Wojciech Zaleski:       | Gospodarcze źródła współczesnego kryzysu kultury .....        | 91  |
| Tadeusz Zgaiński:       | Problem kształcenia politycznego w usirowiu demokratycznym .. | 102 |
| Ludwik Krzemuski:       | Na marginesie procesów normy-berskich .....                   | 115 |
| Maksymilian Feuerring:  | Pierre Bonnard (1867-1947) ..                                 | 130 |
| J. Nekaszycze:          | Postać i epoka króla Dawida-Odnowiciela .....                 | 138 |
| Helena Fedukowicz:      | Przebieg chorób ocznych u D.P.                                | 148 |
| Konstanty Szczapowicki: | Obliczenia irakcyjne i ekonomiczne środków transportowych ..  | 153 |
| Steponas Kolupaila:     | Nowe kierunki współczesnej hydrometrii. ....                  | 158 |

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień-Avril 1949

Wydawca: **EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)  
Directeur-gérant: Roger Grosjean.

INSTITUT  LITERACKI

Na skutek uzyskania od władz francuskich licencji na miesięcznik, zmieniamy z bieżącym numerem numerację „Kultury”.



Prób. P. 58.

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20e)

Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1949.

1957 W 240/  
26

## «Spowiedź Dziecięcia Wieku»

To Mauriac pisał, że kiedy człowiek sobie uświadamia, że przestał być młody, kiedy to zauważa w ucisku serca, w nagłym zmęczeniu, czy braku reakcji, gdy to spostrzeża na twarzach ludzi, którzy z nim się witają (zdawkowa uprzejmość o jeden stopień bardziej podkreślona) — zwykle młodość już dawno go opuściła. Każdy żyje długo w złudzeniu, że jest „obiecujący” że kiedyś w przyszłości dopiero stworzy to, dlaczego w ogóle jest warto żyć, a tu nagle zauważa, że ludzie go już widzą jako człowieka starego, który dał wszystko co miał dać, bardzo niewiele, albo nic, patrzą na niego młode oczy, okrutnie i prawdomównie, z bezwzględną krytyką, czasem łaskawą litością, częściej z pozornym szacunkiem, przez które przebija szczere lekceważenie. On tak samo patrzył na ludzi od siebie starszych trzydzieści lat temu.

I nagle wieczny problem ojców i dzieci widzi człowiek z przeciwnego brzegu.

Jest rysunek Leonarda: starzec z wysuniętym, starczym, pod bezzębnymi ustami, podbródkiem, patrzy wzrokiem pytającym na młodzieńca. Ten ostatni ma wzrok obojętny i zarazem wyzywający, oczy gdzieś w dal utkwione. Nie zauważa starego człowieka, który go trzyma za ramię i patrzy jakby w ostatniej nadziei, że odnajdzie w nim, młodszym — brata.

Wieczny problem. Czy mi się jednak zdaje, że dziś przepaść, dzieląca pokolenie najmłodszych z nami, jest jeszcze głębsza niż zwykle, reakcja w wielu wypadkach brutalniej różna. Pierwsza tego przyczyna jest jasna. Żadne pokolenie nie przeżyło bardziej masowych rozdarć i wstrząsów, jak właśnie to pokolenie, które z dzieciństwa w wiek młodzieńczy przeszło w latach ostatniej wojny.

Rodziny, zespoły, przyjaźnie rozsypane, zniweczone, ile trupów, ile wypadło członków, ci co przeżyli — rozdarci na kraj i emigrację.

Jeżeli mówić o kraju, to z głosów, które tutaj dochodzą, rysa między pokoleniami jest ogromna; ojcowie żyją jeszcze wizją Polski sprzed 1939 r., której młode pokolenie już nie pamięta, a prasa reżimowa, propaganda reżimowa potrafiła przedstawić jako jedno horrendum reakcji i „sanacyjnych” zbrodni. Polityka wychowawcza rządu, zglajchszaltowanie młodzieżowych

organizacji, podporządkowanie młodzieży o wiele bardziej całkowite wpływowi politycznemu reżimu, przy również większej o młodzież niż o starszych trosce — potęguje różnice reakcji na rzeczywistość między ojcami i dziećmi. Gra tu również młodzieńcza zdolność adaptacji.

Jeżeli zaś chodzi o nas, na emigracji, chyba nigdzie „starzy i podstarzali” nie żyli dalej od młodych, w większej nieświadomości czym są oni dzisiaj, nieświadomości przeżyć, załamań czy wewnętrznych osiągnięć tych, którzy przychodzą na nasze miejsce, którym przecież coś dać powinniśmy przedtem niż ojeździemy zupełnie.

Czasami patrzę z przerażeniem na moich współczesnych, gotowi oni godzinami dyskutować w próżni i bez rezultatu, jak pogodzić wnioski Komitetu Zagranicznego PPS z tezami ND, czy rząd musi być rządem „osobistości” czy partii, czy z Mikołajczykiem, czy bez Mikołajczyka (wcale znaczenia tych zagadnień nie myślę lekceważyć), hodoją przy tym starannie, jeszcze rozbudowując, zastarzałe animozje partyjne i personalne — ale ci sami ludzie nie widzą nic poza zamkniętym kręgiem swoich współczesnych, swego świata, w którym żyją i na który się skazują. Nie widzą naokoło siebie tych oczu ironicznych, pytających, nie słyszą uwag zjadliwych, nieraz naiwne uproszczonych, ale jakże często celnych tych dzieci, dla których powody „zasadnicze” naszych walk są już prawie niezbrane i mają w najlepszym razie walor daleki, „historyczny”; tutaj, dzisiaj wydają się im wyłącznie walką przy chudym żłobie personalnych ambicji. Widzą oni jedynie, że „taktyka” pożarła wszelką „mystykę” polityczną.

Będzie rząd — nie będzie rządu. Dla tej młodzieży polskiej z dala od Londynu oficjalnego, ten problem istnieje coraz mniej albo wcale. Cudzoziemcy, reżimowcy warszawscy mówili o rządzie-widmie, dziś nawet młodzi Polacy na emigracji mówią to samo. Ci rzadcy właśnie wśród nich, którzy chcą, by na emigracji był rząd, centralizujący wszystkie wysiłki polskich niepodległościowców, ci których to jeszcze interesuje, mówią o konwektyklach polityków londyńskich gorzej niż z goryczą, ze wzgardą.

„Gdzie jest w tych walkach o rząd, którego nie można sklecić, Polska? Gdzie jest troska o Polskę?” — woła mi z pasją dwudziestolatek. — „Ja już się dawno domyślałem, że tym panom chodzi o to tylko, kto będzie dłużej otrzymywał pensję”.

Czy trzeba to przemilczać i chować te „bluźnierstwa”? Ze zgrozą, zastaniwszy godne oblicze, odwrócić się od bluźnierców?

Kto ze starszych te opinie słyszy przy zupełnym braku zainteresowania do ludzi innego pokolenia?

„Ależ to jeszcze szczeniaki!” odpowiada mi czcigodny, patriotyczny i mocno łysiejący mój rozmówca, konstatając prawie z wyrzutem, że rozmawiam o sprawach ważnych z „dziećmi”. Nie szkodzi, że ten „szczeniaki” wyszedł z gruzów Warszawy, że

uczył się podczas wojny dorywczo w tajnych kompletach, że w okresie psychicznie najbardziej plastycznym bił się, konspirował, politykował, przeżywał wpływy nie tylko bohaterów walki podziemnej, ale też drani, łajdaków i spryciarzy, ale także Gestapowców i Enkawudystów.

Moje obserwacje o młodzieży są na pewno dorywcze, nieogarniające całokształtu, ale chcę je właśnie poruszyć od strony najbardziej bolesnej, o której wielu z nas nawet nie chce wiedzieć.

Cecha, którą najszybciej się zarzuca młodym, to cynizm.

„Ale świętości nie szargać”.

Chciałbym zrozumieć źródła aktualne, charakter tej cechy, którą starsi nazywają cynizmem, skłonnością do bluźnierstw, kalaniem gniazda.

Nie jest to cecha wypadkowa, tylko indywidualna. Ona zawsze coś znaczy i jest nie tylko buntem przeciw hipokryzji starszych. Gdy surrealiści wystąpili we Francji ponad 20 lat temu, wynosząc jako swoją biblię na szczyt hierarchii nie tylko literackiej, ale nawet moralnej, kompendium bluźnierstw, sadyzmu, bólu, stronic genialnych i wodolejstwa — „Pieśni Maldorora” Ducassa Lautreamonta, mądry Valéry zainteresował się tą nikłą początkowo grupką:

„Nie korek mnie interesuje — powiedział — ale fala, która go niesie”.

Czy to, co się zbyt łatwo nazywa słowem cynizm, nie jest do pewnego stopnia zjawiskiem spotykanym w każdej, czy prawie każdej, startującej generacji? Próbuje ona gorszyć dlatego chociażby, żeby się oderwać, odróżnić, uniezależnić.

W polemice z Barrès'em o „déracinement” Gide dawał argumenty botaniczne: pączki, które najpiękniejsze dają owoce, to te, które najdalej „odskakują” od pnia, a gałąź z pączkiem, najbliższym pnia, musi być nacięta, by go od tego pnia oddzielić.

Różne w swej formie, w swym wyrazie, jakże bliskie są reakcje młodzieży dalekich od siebie pokoleń.

„Kto się ośmieli opowiadać, co się działo w szkołach. Ludzie wątpili we wszystko, młodzi odrzucili wszystko... Młodzież wyszła ze szkół z czołem pogodnym, z twarzą świeżą i rumianą i z bluźnierstwem na ustach... Dzieci 15-letnie, rozparte pod krzewami w kwiatach, mówiły takie zdania, takie słowa, od których by zdrząły ze zgrozy ciche zarośla ogrodów wersalskich.

„Szcześliwi ci, którzy czas ten ominęli, szczęśliwi, którzy przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo... Jest prawdą niestety, że gest bluźnierczy daje wielki upust sił, przynosi on ulgę sercu zbyt pełnemu... To był paroksyzm rozpacz, wołanie bez imienia do wszystkich potęg niebieskich... To był wielki krzyk bólu i kto wie, czy w oczach Tego, który widzi wszystko, to nie była modlitwa”.

Któż to pisał? Dwudziestoparoletni Musset, którym się za-

czytywały nasze pobożne babki, pisze tak o sobie, pisze o młodzieży, wyrosłej na gruzach tamtej epopei, epopei napoleońskiej. Francja bez złudzeń wielkości była dla nich za mała, za duszna i za ciasna.

„Najbogatsi wpadli w rozpustę... najbiedniejsi w entuzjazm chłodny wielkich słów, w okropne morze czynu bezcelowego.”

Ale tamta młodzież francuska „o swym szczęściu nie wiedziała”, te sieroty wielkiej epopei, których ojcowie zginęli na szlakach napoleońskich nie widziały, jak wywożono i mordowano ich rodziców, ani jak łapano i rozstrzeliwano na placach miast ludzi z zalepionymi gipsem ustami, by nie mogli krzyczeć czy wołać. Ci młodzi Francuzi nie patrzyli na wirujące karuzele u stóp płonącego ghetta, nie widzieli, jak w ginącej Warszawie padali w nierównej walce ich bracia, siostry i pierwsi przyjaciele. Nie przeżyli oni również potem poczucia tej gorzkiej bezużyteczności najcięższej z ofiar.

*„I ramiona młodociane  
W bezimienny proch rozwiane  
Dziejów nazwą śmieciem”.*

To Norwid napisał tę strofę gorzką z gorzkich.

Ta młodzież, która przeżyła katastrofę Warszawy, ginęła jeszcze w lasach, likwidowana przez Bezpiekę i żarta suchotami, w obozach w Niemczech, w celach więziennych w Polsce, albo przyjmowała nową rzeczywistość, wchodziła w aparat, przyjmując wszelkie tego konsekwencje. Ta ostatnia jedynie mogła się nawet wyżyć społecznie i organizacyjnie, była uprzywilejowana, miała ogromnie łatwy awans społeczny, szybko jak szybko mogła dojść do władzy, pod jednym warunkiem zupełnego posłuszeństwa nie tylko w czynach, ale w każdym, czujnie podслуhiwanym, słowie.

Jeżeli nie zawsze, to przecież przeważnie gorzki smak miała ta „wolność” od pierwszej chwili. Warto się wczytać w znaczącą książkę Andrzejewskiego „Popiół i Diament”.

„Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak opuszczony i tak gorzko i okrutnie zawiedziony w swoich pragnieniach i nadziejach. Świat, który przez wiele lat opływał krwią, znów otwierał niezagojone rany i nienawiść i pogarda dalej toczyły ludzkie serca”.

Tak czuł Marcin, chłopak, który wierzył w życie, w szlachetność, w dniu, w którym wszystkie głośniki miasteczka chrząkały o zawieszeniu broni, kiedy jeszcze istniały lasy, Polska zalana wojskiem sowieckim, a młodzi chłopcy tworzyli na własną rękę własne tajne organizacje na wzór starszych, mordując się wzajemnie.

A na emigracji ci chłopcy znów, którzy trafili do Francji czy Anglii z Polski lub ze wszystkich frontów walki, gdzie krwią ich szafowano rozrzutnie i bez rachunku, robotnicy w fabrykach,

młodzież studencka — ci co wyżyli, ci co emigrowali dalej jeszcze bo się dusili w Europie, drwale w Kanadzie, robotnicy w Australii, kto wejrzał w świat przeżyć tych ludzi!

Tu w Paryżu stypendia głodowe, próby dorabiania zamiataniem ulic, czarnym rynkiem, czy nawet grą na skrzypcach na Place Blanche, i znowu suchoty. Studia ileż razy zrywane, nie raz pozorne, aby tylko mieć pretekst, by załapać jakiś strzęp stypendium, walka nieustanna o byt w obcym, obojętnym świecie.

Mówiąc o młodzieży, nie oddzielam młodzieży emigracyjnej od pozostałej w Polsce. Ta młodzież bardziej jest sobie bliska niż rozdarte pokolenie starszych.

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa typy tej młodzieży najskrajniej ze sobą sprzeczne.

Jedni, to typowi „eskapiści”, społeczni i polityczni, skrajni indywidualiści. Wszystko, tylko nie polityka, wszystko co z daleka pachnie robotą polityczną, to domena starych idiotów, którzy się kręcą w kółko. Nie chodzi tu bynajmniej o atak na taką czy inną koncepcję polityczną. Świat się wali, niech się wali. Stalin buduje nową „egipską” cywilizację — niech buduje. To, że mu się udaje, świadczy może, że ma rację. Nie rację absolutną, w którą ta młodzież nie wierzy, ale rację na daną chwilę, w danym procesie historycznym, bo jest w tej młodzieży, w każdym razie na odcinku politycznym, wyraźny nurt oportunistyczny. Słowo „faktopreklonstwo”, wymyślone przez Rosjan, a które oznacza ubóstwienie faktów w przeciwieństwie do jakiegokolwiek teorii czy koncepcji, cechuje tę młodzież. Chodzi jedynie o to, jak się urządzić, żeby można było spokojnie studiować IV wiek, Bizancjum, albo Eliota. Przecież i tak wpływu żadnego się nie ma na rzeczywistość. Jest „maszynka ewolucji”. Tutaj działają spopularyzowane slogany marksizmu. A przy tym przecież „byt określa świadomość”, a nie na odwrót, więc świadomość jest wytworem takich czy innych warunków. Jedyne co jeszcze ważne, to te dziedziny, które nie zawadzają o życie społeczne ani o przekłętą politykę. W każdym reżimie gorzej czy lepiej można studiować matematykę i badać lata urodzenia Goyi czy Magnasca — jeżeli napiszę pracę o Goyi, trzeba będzie dodać jakieś chapeau marksistowskie lub znów może inne, katolickie, zależy od tego, od kogo biorę stypendium. Ale to wszystko nieważne. Ważne jest, jakoś przeżyć, na to trzeba dostać stypendium z tej czy z tamtej strony, skąd, to znów nieistotne, aby było. Gdybyż tylko dano się uczyć, dopędzić czas stracony, gdyby można było choć w nauce i sztuce tak się otorbić, żeby zapomnieć wstrząsy i nędzę dzisiejszej rzeczywistości. Oby te wstrząsy nie zniszczyły mozolnie odbudowywanego świata myśli i sztuki.

Ten stosunek do polityki, do społeczności, ironicznie obojętny, a nawet cyniczny, nie jest nowy. Ma wspaniałe precedensy — czy Leonardo, proponując się jednocześnie Papieżowi i Sforzy — swoją sztukę, wiedzę i... plany maszyn wojennych, nie

patrzył z tą samą obojętnością czy nawet cynizmem na wstrząsy i walki swego wieku?

Nie wiem czy ta grupa jest liczna. Pod względem inteligencji jest ona chyba najciekawsza. Mówiłem o nich z wielką goryczą pisarzowi czujnemu, nie Polakowi.

„Pan nazywa ich „eskapistami”? — zapytał. — „Czy pan jest pewny, że tak jest właśnie, a może jest to słuszna i zdrowa reakcja przeciwko nam, którzy opuściliśmy sprawy najważniejsze wieczne, dla przemijających namiętności politycznych i społecznych. Może oni jeszcze bardziej, niż my, mają prawo nam stawiać zarzuty „eskapizmu”?

Przyszłość wykaże, czy ten stosunek do rzeczywistości jest formą ascezy twórczej, czy tylko bezpłodnym komfortem pięknoduchów.

Są jeszcze ci, o których pisze Musset, że „przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo”. Spotkałem paru, ich twarze skupione i żarliwe wryły mi się w pamięć. Nie zobaczymy ich tak szybko na ulicach Paryża.

Ci opuścili bez hałasu i całkowicie ten „zamęt spraw wieloletnich”, ścieżki ich są przed nami ukryte i nie nam się będą te „dzieci wieku” spowiadać.

„Już nie mogłem wytrzymać — pisze mi jeden z nich — wstępuję do Zakonu i napiszę do Pana za rok”.

Drugi typ, o którym mówić chciałem, to aktywiści bezwzględni. Tylko czyn i to „z mokrą robotą” (nieraz bez wiary w jej sens); wszelkie dwójki, mordy tajne, pociągają tę młodzież. Dla niej może najbliższa psychicznie jest młodzież Izraela z grupy Sterna czy Irgunu; wspaniała śmiałość, całkowita bezwzględność żydowskich straceńców. Mówi się wiele o tym, że na walczących Żydach w Izraelu zaciążyły nie tylko prześladowania gestapowskie, ale i metody gestapowskie, które dziś odżywają w zacieklej walce z Arabami, w akcji antyangielskiej, ale musimy wiedzieć, że nie tylko na Żydów wpłynęło Gestapo i NKWD. Na młodzież polską miały one również wpływ psychiczny.

Taki chłopak mówi dziś: „To trzeba by mu przypiekać pięty na kominku” — jako rzecz całkiem normalną, więcej, całkiem moralną, bo tortura weszła już dzisiaj jakby w przyjęty, jawny obyczaj. Brutalność, okrucieństwo Gestapowców, zimny, nieludzki, konsekwentnie za pomocą Bezpieki realizowany plan podporządkowania sobie Polski przez Sowiety i polskich komunistów u niejednych wzbudzał i wzbudza nie tylko ból i wrogą reakcję, ale także podziw. Cóż znaczą dla tych młodych realistów, dla których ważna jest natychmiastowa skuteczność za wszelką cenę, bezpłodne konwentykle polityków londyńskich; nie tylko bo nawet wszystkie Somosierry przeszłe i współczesne, to dla nich rekwizyt staroświecki i dumnie sterczący pióropusz Polski „pawia narodów”.

Co z tego? Co z tego? wołają z pasją „nasza polska nicłość

na tym polega, że umiemy ginać lub gadać, ale żadnego aparatu nowoczesnego siły stworzyć nie potrafiliśmy!”

Idę dalej, są i tacy, których olśniewa „czysta” robota NKWD, wspaniała „reżyseria” procesów. Polska ma także swoich kandydatów na polskich Gletkinów.

Epigoni? Kiedy się wojna kończy, kiedy chłopci zaczynają orać swoją ziemię, nagle wybucha jakaś mina, zabija oracza. Ileż takich min niewybuchłych jest jeszcze w ziemi. Ale czy epigonem był ten młody Niemiec, autor książki „Die Geächteten”, jeden z morderców Ratenaua. On też zupełnie młodziutki, musiał po tamtej wojnie dać sobie radę z problemem kłeski, porażki swego narodu. On też próbował tysiąca dróg. Gdy wybrał wraz z przyjaciółmi Ratenaua na ofiarę zamachu, to wybrał go dlatego właśnie, że go uważał za człowieka porządnego, czystego, za autentycznego demokrate. Bo Ratenau mógł mieć wpływ, mógł oczyścić atmosferę Niemiec z jądów nienawiści i planów zemsty. Ernst von Salomon, autor wyżej wspomnianej książki, opisuje tam również walki z Polakami na Śląsku, okrutne bitwy młodych chłopców niemieckich z polskimi powstańcami wśród łąnów żyta, prawie jak orgie rozkoszy zmysłowej. Z tą samą pasją pisze o walkach ulicznych, o strzelaniu do bezbronnych tłumów z karabinów maszynowych. Nie wiem, co się dzieje z autorem, wiem, że przed wojną mieszkał we Francji, w Cagne, że był chory na płuca, liberalizował i zupełnie odszedł od swego dawnego światopoglądu, ale wiem również, że jako autor tej książki w oczach młodych niemieckich czytelników był jednym z „patronów” hitleryzmu. Więc on nie był epigonem!

Młodzież polska dzisiejsza, która przeżyła klęskę kraju i klęskę Warszawy, jak kiedyś Ernst von Salomon przeżywał klęskę Niemiec, pełna goryczy dla bezsilnych swych „ojców”, szuka dziś samotnie dróg wyjścia. Kto jej pomoże skryształować głód walki, ofiary, brutalnego wyboru i heroizmu? Wyszczególniamy się rozpaczy tych ludzi. Może ona ich pchnąć także na drogi najgorsze.

Nasza obojętność w stosunku do tej młodzieży, nasze frazesy podniosłe, które się nam zdają przynajmniej nieszkodliwe, a rzucające na grunt młodości, dają reakcje nieoczekiwane gwałtowne, mordercze, ta niewspółmierność temperatury ich zapytań i naszych odpowiedzi, to wszystko może dać skutki, których nikt z nas nie oczekuje.

Już widzę oburzenie czytelnika: — Pisze pan o wyjątkach czy wypadkach prawie klinicznych, czy pan nie widzi na emigracji grzecznych zastępów, grzecznie się uczących stypendystów lub tłumy młodzieży grzecznie pracującej w angielskich fabrykach. Mało znam tę młodzież. Może rzeczywiście istnieje taka atmosfera, zbożna i karna, nie jestem tego jednak tak pewny. Ten chłopak, który trafił do Anglii i dziś pracuje na uniwersytecie czy w fabryce, wyniosł również wiele stłumionej goryczy, nawet ten, co

poza krajem szedł naszym szlakiem wojennym. Pamiętajmy, że w wojsku polskim awans był niezmiernie trudny i niezmiernie powolny, że „wieczni podchorążowie”, którzy pomimo zasług bojowych, wysokiej klasy wiedzy wojskowej nie awansowali, byli ogromnie liczni. Trzeba o tym fakcie pamiętać. Na tym również odcinku żalu do starszych, za nie wyżycie nawet na drodze wojskowej, nawarstwilo się sporo.

Wracając jednak do typu młodzieży, o której pisałem twierdząc, że nie są to tylko wypadki kliniczne, że jeżeli ci ludzie stanowią nawet skrajną mniejszość, nie jest to na pewno mniejszość najlichsza. Są wśród nich ludzie naprawdę ofiarni, z głębokim pragnieniem służby, oddania się czemuś, za co by warto umrzeć i żyć, ale broń Boże nie nazywajmy tego wobec nich słowem ideał czy idealizm. Bo na same te słowa błędna ze złości. Zbyt łatwo szafowano przed nimi takimi słowami.

Cóż w tym nowego? Każde pokolenie musi znaleźć nie tylko swoją własną drogę myślenia, ale i swój własny wyraz. Jeżeli coś tej młodzieży najbardziej zarzucam, to wcale nie jej bunt, ale to, że wciąż jeszcze się pęta w jakiejś negacji wszystkiego. Nawet o dopracowanie się, podbudowanie konsekwentne z ciągłością swoich własnych myśli, mozolić się nie umie czy prędkiej nie chce. Każde pokolenie musi, jeżeli ma istnieć, jeżeli nie chce być zatarte i zdeptane znaleźć swoje własne słownictwo, dalekie od słów już zbutwiałych, musi szukać nowego stylu. „Wojenne” wykształcenie, zwykle bardziej niż powierchowne sprawy te jeszcze komplikuje: ta młodzież nie ma żadnej genealogii. Dla niej całą przeszłością jest bezpośrednie przed nią wyrosłe pokolenie, od którego właśnie chce się odbić. Ale każdy bunt, każda nowa próba ujęcia rzeczywistości, musi stworzyć sobie nową genealogię, musi się doszukać swego „wczoraj”, by znaleźć swoje „jutro”. Mickiewicz ponad sto lat temu mówił, że kto nie przeżył pierwszych wieków chrześcijaństwa, wojen krzyżowych i wielkiej rewolucji francuskiej, nie może być nazwany człowiekiem współczesnym. A Norwid wyraził to jeszcze ostrzej w „Garści Piasku”.

„Ten co od sumienia historii oderwał się, dzieczieje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się. I ci co nie podzielili boleści ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testament żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenia nowe, od zwycięskiej prawdy oddalone. Tak iż bywa, że na nowo proroków i nanowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, aźby powrócili w dawny prąd”.

Ale, Mickiewicz, ale Norwid wierzyli w „wszechprzytomność prawdy”, młodzież dzisiejsza, ta, o której teraz piszę, wierzy jedynie w skuteczność praktyczną, w procesy historyczne i w absolutną względność jakichkolwiek wartości i jakiegokolwiek hierarchii.

Cóż wtedy zostaje, jak nie Mussetowskie „o k r o p n e m o r z e c z y n u b e z c e l o w e g o”?

Tematy, które poruszam, nie zdają mi się wcale specjalnie

polskie, u nas jednak z powodu sytuacji politycznej, z powodu rozdarcia na kraj i emigrację, z powodu rozproszenia i zatowizowania — specjalnie tragiczne.

Film o Niemczech, wyświetlany dzisiaj w Paryżu, opowiada o chłopcu, który otrul ojca na skutek powiedzenia swego dawnego nauczyciela, że słabych i nieszczęśliwych trzeba likwidować. To samo dziecko, odrzucone przez swych rówolatków w zabawie, zabija się. Melodramat kinowy? Chyba coś więcej.

W tych dniach „Figaro” podało wiadomość, że syn 15-letni zabił ojca. Miał mu niewiele do zarzucenia, ale ojciec wykreczał się od płacenia długów, był słaby. „Un homme comme ça n'aurait pas du vivre” — powiedział, oddając się w ręce policji. Ileż takich wiadomości w gazetach. Jeszcze niedawno dzienniki pisały o 17-letnim chłopcu w Polsce, który zabił swą 15-letnią przyjaciółkę, a potem poszedł do kina.

„Po co tyle gadania? Krew! „Krew niewiele znaczy” — mówi Szretter, jeden z młodziutkich bohaterów powieści Andrzejewskiego. Mało kto, zdaje się, zauważył w książce tego pisarza strony, poświęcone młodzieży. Ten polonez pijanych „byłych” ludzi o świecie, paszkwil na Polskę przesłał, to światło, rzucone na jedyną postać jasną, na komunistę, czy i jak daleko zaszedł Andrzejewski na linii prozeimowej, o tym się pisało dużo. Ale nie czytałem nigdzie omówienia stron o młodych, którzy, chcąc odbudować „lepszą Polskę”, bawia się w wodzów, wydają na siebie wyroki, mordują się wzajemnie, łąmią się i giną. Ci chłopcy przy tym nie są wcale, ale to wcale wyrodkami. Próbuja budować życie nowe, a kształty, które chcą stwarzać, nie mogą nie być tak czy inaczej zapożytczone z tej rzeczywistości, wśród której żyją i od której chcą się oderwać. Ale „Popiół i diament”, to rok 1945, jeszcze istniała walka podziemna, istniały lasy, najświeższa pamięć Gestapo. Dziś jest nowa rzeczywistość i nowe reakcje. Dziś już nie ma Gestapo, ale jest Bezpieka, procesy młodzieży szkolnej, ale także zręczna walka o duszę tej młodzieży. Nie ma już narodu panów, ale jest wizja opanowania globu ziemskiego przez komunizm stalinowski. Któż o nowej rzeczywistości, o dzisiejszych reakcjach mógłby dzisiaj prawdopodobnie napisać. Na pewno nie Andrzejewski, laureat państwowej nagrody literackiej.

Mam w rękach już od roku list z Polski. Opowiadanie młodego chłopca, osiemnastolatka, jak się stał... stalinowcem. Podaje ten list nic nie zaokrąglając, ani nie zamazując zawartych tam uproszczeń i sprzeczności. Nie chciałbym mącić niczym akcentu prawdy i bólu tej spowiedzi nowoczesnego Baryki.

„W ciągu ubiegłego roku poglądy moje przeszły dużą ewolucję. Stałem się stalinowcem. Nie ma prawdy absolutnej, nie ma czynów samych przez się złych i dobrych. Moralność to system współżycia w grupie, prawidła postępowania „jedna z podstaw świadomości społecznej”. Zależna jest od warunków życia zbiorowego przy zmianie tychże zmienia się i ona.

„Prawie każdy czyn dobry, zdaniem X., jest zły zdaniem Y.

Co innego jest słuszne wedle Polaka, co innego wedle Niemca, co innego dla katolika, a co innego dla komunisty.

„Życie samo przez się jest zmianą, nieustającym ruchem.

„Prawem natury jest, aby głodni i poniewierani napadali na bogatych i sytych.

„Dlaczego do głodnych i poniewieranych się zaliczam?

„W dzieciństwie byłem pogardzany i popychany, byłem ubogim krewnym w ziemiańskich pałacach. We mnie bezsilnego rodzina wycierała swe humory. W okresie walki podziemnej w poprzek stawała mi głupota i skłócenie dowódców. Jako sekretarz komendanta rejonu, pośród kradzieży zrzutów, intryg personalnych, mafii walczących kosztem celu, poznałem pod patetyczno-patriotyczną maską prawdziwe pobudki ich działania. Widziałem, jak rozstrzelano 5 przypadkowo spotkanych w lesie Żydów (uzasadnienie: wszyscy Żydzi pracują w A.L.). W 1944 r. spędziłem w Pruszkowie parę dni z b. agentem Wydziału Bezpieczeństwa we Lwowie, który z lubością wspominał tortury stosowane na Ukraińcach, rozwalane cerkwie oraz wypadki na Ruś Zakarpacką (w okresie rozbioru Czechosłowacji), celem zniszczenia gniazd hajdamackiej zarazy, likwidowania działaczy niepodległościowych.

„Mówiłem prawdę w oczy, tępono mnie, znieawidziłem ich. Jaki był przebieg procesu zmian, które we mnie rosły? W 1944 r. cechowało mnie przyjęcie za prawdziwe tego, co mi szkoła i otoczenie do wierzenia podało. W 1945 r. spotkałem ludzi z Lublina, zetknąłem się z partią, do której w imię realizmu à la Wielopolski poszedłem z innym światem wartości. W nowe dogmaty nie uwierzyłem, ale zachwiały się stare. Zjawił się Lucjan, też „człowiek czynu”, lecz jakże daleki od wulgarnych karykatur mówiących o sprawiedliwości dziejowej, o epoce szczęścia chłopca i robotnika, o rajach panującym w Sowietach. „Idee zaszczerpione masom mają na celu przemienienie tychże w sprawne narzędzie walki w rękach przywódców”. Byłem typem „intelektualisty” pełnego zastrzeżeń, bojącego się czynu i akcji. Lucjan przepędził me wahania. Zrozumiałem, iż nie może stać mi się nic złego ani nic dobrego, a w każdym razie nie jestem tego w stanie ocenić. Stracę rękę — być może powiększy to moją zdolność rozumowania, awansuję — być może przyzwyczaję się do nieróbstwa, przepoję iluzjami na temat samego siebie, co stanie się przyczyną bolesnych rozczarowań. Uczuciowość, nieśmiałość ma zmalą w powodzi coraz to nowych wrażeń. Lublin, Warszawa, Wrocław, hotele, nowe twarze i nowe problemy. Władza, pieniądze, koniak, kobiety...”

Ten list, w którym płacze się i wikła ofiarna i szlachetna gotowość przekreślenia siebie, pragnienie czynu z zachwytem dla bezwzględnych, pozbawionych wszelkiego skrupułu, ale skutecznych metod sowieckich, przy jednoczesnym głębokim sceptycyzmie w sens obiektywny czegokolwiek, to jest świadectwo i „Spowiedź dziecięcia wieku”, dziecięcia n a s z e g o wieku.

Co da na dalszą metę, jak podziela na takie psychiki w dzisiejszej rzeczywistości polskiej w karbach Bezpieki „władza, pieniądze, koniak i kobiety”?

Taka młodzież jest także tu wśród nas, w Paryżu, Londynie. Z tym samym, czy z podobnym chaosem doświadczeń i brutalnych przeżyć.

Cóż im dajemy, my „starcy” poza głodowymi stypendiami, poza frazesami wzniosłymi i złym snem naszych swarów politycznych?

Narody giną bez wizji — mówi Biblia. Jaką wizję daje moja generacja emigracyjna tej polskiej młodzieży, która chce wiedzieć, dlaczego warto jest nie tylko ginać — ale i żyć.

Józef CZAPSKI.





## Polacy z «Nordu»

„Nordem” nazywają w gwarze emigracyjnej dwa północno-wschodnie, dżdżyste i zadymione, bogate departamenty Francji (Dep. Nord ze stolicą Lille i dep. Pas-de-Calais z prefekturą w Arras). Żyje w nich od ćwierćwiecza, w twardych warunkach blisko 200-tysięczna rzesza Polaków. Główne skupisko mieści się w trójkącie, którego wierzchołkiem jest włókienniczo-przemysłowy rejon Lille, a podstawą pas węglowy, ciągnący się monotonnie ponurymi hałdami od Marles-les-Mines i Brouay-en-Artois poprzez „stolicę” polskiej emigracji zarobkowej — Lens, Douai aż po zniszczony przez wojnę, skomunizowany ośrodek przemysłu metalurgicznego Valenciennes.

„Stanowczo za mało wiemy o życiu Polonii w Nordzie”, stwierdził redaktor „Kultury”, zwracając się do mnie z propozycją objazdu tego rejonu. Przyjąłem ją z zapałem, gdyż z dotychczasowych doświadczeń zachowałem jak najlepsze wspomnienia z kontaktów z tzw. starą emigracją francuską. Po raz pierwszy zetknąłem się z nią, kiedy dziesiątki tysięcy ochotników tłumnie garnęły się do wojsk polskich w Bretanii, w pierwszym okresie wojny.

Po raz drugi zaznałem z ich strony dowodów niezwykłego hartu i koleżeństwa w czasie kurierskiej przeprawy przez mroźne Pireneje, zimą 1944 r. w grupie trzydziestu kilku młodych ochotników do Polskich Sił Zbrojnych.

A potem, po zakończeniu działań wojennych, zetknąłem się z nimi raz jeszcze jako wykładowca odprawowych kursów, organizowanych staraniem Sztabu i szwiatpolu dla demobilizowanych działaczy polonijnych.

Z tych wszystkich spotkań wyniosłem wrażenie, że za mało rozumiemy naszych kolegów z Francji — i że natomiast przy odpowiednim poznaniu i wysiłku — moglibyśmy z nich uczynić niezmiernie cenny człon obozu niepodległościowego.

Poczucie odpowiedzialności nie pozwala mi w większości wypadków na podawanie nazwisk moich rozmówców, przygodnych informatorów, zacnych gospodarzy i niezmordowanych działaczy polskich w terenie. Mogłbym wyrządzić im przedwczesną reklamą niedźwiedzią przysługę i niepotrzebnie narazić tak bardzo cennych dla nas ludzi. Napady na naszych

działaczy, zdarzające się już dzisiaj, zmuszają do zastosowania pełnej ostrożności i anonimowości, co godzi w bezpośredniość reportażu oraz pozwala jedynie na generalne zestawienie wrażeń i podsumowanie wniosków.

Emigracja polska w północnej Francji żyje na ważnym frontowym odcinku „zimnej wojny”, która przybiera raz po raz gorętszy charakter i łąco przemienić się może na tym terenie w walkę innego typu. Czy potrafimy wówczas wyewakuować z Francji blisko pół miliona zagrożonych Polaków? Niestety wiemy, że odpowiedź musi być negatywna. W tych warunkach zasadą działania ośrodków niepodległościowych winna być jak najdalej posunięta ostrożność. Należy ponadto podkreślić, że teren Polonii francuskiej jest dużo lepiej penetrowany przez komórki reżimowe warszawskie aniżeli przez agendy polskiego obozu niepodległościowego. Toteż mimo niepodlegającej wątpliwości antykomunistycznej postawy znakomitej większości Polaków we Francji, musimy się poważnie liczyć z groźącym niebezpieczeństwem — podobnie jak nie wolno nam ani na chwilę zapominać o tym co grozi Polakom w Niemczech. Ponosimy za to odpowiedzialność, której nie należy bagatelizować.

### I. SKŁAD LUDNOŚCIOWY

#### Trzy emigracje

Niestety nie rozporządzamy żadnymi dokładnymi danymi statystycznymi. Polityka ludnościowa francuska zmierza niedwuznacznie do wchłonięcia cudzoziemskiej masy robotniczej i wtopienia jej w naród francuski. Toteż oficjalne statystyki francuskie stale zmniejszają faktyczną cyfrę Polaków. Nasze zaś koła mają nieuleczalną tendencję do wyolbrzymiania cyfr. Czynniki polskie mówią przeważnie o 600-tysięcznej masie emigracyjnej, Francuzi nie chcą nam przyznać nawet 300 tysięcy. Prawda leży zapewne pośrodku. Podobnie jak Polonia amerykańska nie liczy chyba 7 milionów, tak i Polonia francuska nie sięga obecnie pół miliona. Mimo nieustannego przyływu nowej, powojennej emigracji cyfry ogólne uległy od 1944 r. dużemu zmniejszeniu. Należy przyjąć, że do kraju wróciło w sumie 15% starej emigracji. Większe jednak straty ilościowe ponosi emigracja w związku z powszechnym procesem naturalizacji. Poza małymi wyjątkami młode pokolenie, urodzone i wychowane we Francji przyjmuje na ogół obywatelstwo francuskie. Ustawodawstwo francuskie wymaga, by każda jednostka urodzona we Francji dokonała na trzy miesiące przed ukończeniem lat 18-tu opcji na rzecz obywatelstwa kraju macierzystego. W przeciwnym wypadku, mimo bezspornej przynależności narodowościowej obojga rodziców, osiemnastoletnie ich dziecko, urodzone we Francji, staje się automatycznie obywatelem francuskim.

Oczywiście nie oznacza to zmiany przynależności narodowej w naszym rozumieniu.

Niezbyt słusznie jednak utarło się określenie Polonii francuskiej mianem starej emigracji. Poza zagubionymi w Paryżu, sfrancuziałymi potomkami Wielkiej Emigracji politycznej ubiegłego stulecia — wśród górników nie znalazłem nikogo, kto przebywał we Francji dłużej niż 27 lat. Większość zjechała do tego kraju w okresie 1922 - 1930. W pierwszej fazie byli to przeważnie Polacy z Westfalii i Nadrenii, którzy nadali zresztą ton całej emigracji zarobkowej we Francji. I to jest właściwie jedyny odłam, który można by w pewnym sensie określić jako emigrację starą, gdyż są to synowie emigracji zarobkowej z terenu b. zaboru pruskiego z okresu drugiej połowy XIX stulecia i lat przed pierwszą wojną światową. Na ziemi francuskiej emigracja ta nie przebywa w żadnym wypadku dłużej niż 30 lat. Bezpośrednio po wojnie 1914-1918 r. przemysłowcy francuscy przeprowadzili w Westfalii werbunek do kopalni i fabryk francuskich. Wobec mało korzystnych perspektyw gospodarczych w odrodzonej Polsce, „Westfalacy”, nie chcąc znosić dłużej szykan niemieckich i powojennej niemieckiej nędzy, decydowali się często na szukanie chleba w alianckiej Francji.

Drugim prawie równym członem uchodźstwa francuskiego to emigracja zarobkowa z Polski, głównie z okresu pierwszego dziesięciolecia Niepodległości. Ciężka sytuacja ekonomiczna, niskie zarobki, rosnące bezrobocie, oto przyczyny dla których setki Polaków postanowiło emigrować w poszukiwaniu pracy. Tym razem obok mieszkańców Poznańskiego i Pomorza wyruszyło w świat wielu emigrantów z przeludnionej i wygłodzonej Małopolski Środkowej. Szczególnie ponętym krajem imigracyjnym w tych czasach była Francja, przeżywająca okres powojennej prosperity. Należy zwrócić uwagę na fakt, że wśród górników polskich w północnej Francji nie spotyka się niemal zupełnie Ślązaków. Górnicy polscy na Zachodzie stanowią więc poza Ślązakami główny polski rezerwuariusz fachowy w tej dziedzinie gospodarki. Tak jak Włosi słyną jako najlepsi pracownicy w dziale kamieniarskim i robotnicy drogowi, Polacy przodują bezkonkurencyjnie w tej niebezpiecznej pracy jaką jest górnictwo. Byli w tym charakterze i są po dzień dzisiejszy specjalnie poszukiwani przez pracodawców wszystkich europejskich zagłębi węglowych.

Trzecią i najnowszą falą emigracji stanowią uchodźcy powojenni, dzielący się z kolei na dwie grupy: zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i uchodźców cywilnych, w przeważającej mierze rekrutujących się z tzw. displaced persons z terenu Niemiec.

O ile nastąpiło już całkowite przemieszanie dwóch pierwszych grup emigracji zarobkowej, gdzie zanikły wreszcie, żywe jeszcze przed ostatnią wojną, różnice dzielnicowe, o tyle prze-

nikanie wzajemne owej „starej” emigracji i nowego uchodźstwa postępuje raczej opornie.

Obie te grupy trzymają się z daleka, obwiniając się o to wzajemnie. Byłem świadkiem ostrej dyskusji w Roubaix pomiędzy rezolutną, dwudziestokilkoletnią dziewczyną, kierowniczką pensjonatu dla młodych robotnic z przemysłu tekstylnego i zdemobilizowanym przed rokiem inteligentem-podchorążym i ciężko pracującym fizycznie w farbiarni tkanin. Pytali się wzajemnie, kto temu winien, że stara i nowa emigracja żyją jak dwa zamknięte i niechętne sobie klany”. Ponieważ oboje byli ludźmi dobrej woli, przeto po krótkiej kontrowersji doszli do słusznego przekonania, że вина jest obustronna. Nowy element razi często swym zbyt swobodnym i niezawsze solidnym sposobem życia. Stary, przywykły do pewnych określonych form tradycyjnych, nie zawsze chce i umie znaleźć” wyrozumienie dla ciężko przez los doświadczonych przybyszów.

Każdy niewłaściwy krok czy występki komentowany jest szereko. Dawną emigrację górniczą charakteryzuje wysoki poziom życia rodzinnego i głębokie przywiązanie do katolickich tradycji i dlatego razi ją ogromnie rozluźnienie obyczajów wyniesione z wojny przez nową emigrację. Nie bez znaczenia jest też fakt, że — obok jednostek wartościowych — wśród przybyszów z Wysp Brytyjskich znajduje się nieco zanarchizowanego, rozwydrzonego, społecznego i wiecznie malkontenckiego elementu. Są to bowiem często ludzie, którzy nie chcieli czy nie umieli nagiąć się do warunków pracy w Anglii i wyjechali do Francji w poszukiwaniu łatwiejszego życia. Okazało się w myśl mądrego przysłowia „wszędzie dobrze gdzie nas nie ma”, że warunki pracy i zarobki we Francji ustępują poziomowi brytyjskiemu. Stało się to dla wielu przyczyną nowych rozczarowań, dodatkowego zgorzknienia i przedenerowania. Nb. zdemobilizowani żołnierze polscy nie zawsze są należycie traktowani przez władze i społeczeństwo francuskie. Uwierzono w bzdurny slogan o polskich faszystach i tak zwani przez komunistów „les andersistes” niejednokrotnie żyją i pracują w takich warunkach, jakie uzyskali byli jeńcy wojenni, czy też nowi robotnicy niemieccy zakontraktowani do pracy w kopalniach. Upośledzenie to głęboko odczuli nie tylko nasi żołnierze, ale także i „stara” emigracja. Tym bardziej, że w propagandzie politycznej i przemówieniach, Francuzi liczyli się z całym światem na antyniemieckość, a w praktyce stosunki układały się i układają się często całkiem inaczej. I tak np. Niemiec żonaty z obywatelką francuską otrzymuje premię ślubną, której nie otrzymuje robotnik polski z nowej emigracji. Z drugiej strony jednak, jak informował mnie jeden z dyrektorów Zarządu Kopalni w Lens, który w roku 1945 i 1946 zajmował się werbunkiem górników polskich w Wielkiej Brytanii, głównie spośród tzw. „opornych”, że w wielu wypadkach element ten zawiódł oczekiwania Fran-

cuzów. Bądź to porzucił przy pierwszej okazji pracę, bądź to absentował się, bądź to wreszcie angażował się w akcji strajkowej, prowadzonej przez skomunizowane CGT.

### Emigracja bez „inteligencji”

Charakterystyczną rzeczą dla Polonii francuskiej jest znikoma produkcja własnej inteligencji. Polityka socjalna francuska, podobnie jak polityka innych mocarstw pragnęła wyraźnie utrzymać obcokrajowców na najniższych i najcięższych kategoriach pracy. Młodych, zdolnych chłopaków nie dopuszczano do średnich i wyższych szkół zawodowych. Zasadą było bowiem, że Polacy pracować mają pod ziemią. Nawet w wypadku uzyskania chlubnego świadectwa ukończenia szkoły technicznej, pierwszeństwo w uzyskaniu wyżej kwalifikowanej i lepiej płatnej pracy przysługiwało Francuzom.

W takich warunkach możliwość awansu społecznego dla robotnika polskiego jest niewielka. Wyjątkowo, w ośrodkach, gdzie górnicy polscy są w jaskrawej przewadze, trafiają się i polscy funkcjonariusze. W takim Ostricourt gdzie np. 80 proc. personelu pracującego pod ziemią stanowią Polacy, są kopalnie w których i wśród sztygarów jest większość Polaków. W jednej z kopalń („szóstka”) nadsztygarem jest Polak, Mikołajczyk. Czasami we władzach odpowiednich związków zawodowych zasiadają polscy działacze. Jednym z nich był obecny Prezes Centralnego Związku Polaków we Francji Aleksander Skrodzki. Sekretarzem Związku Górników Force Ouvrière z centralą w Lens jest aktywny działacz syndykalny p. Ostrowski, który udzielił mi niezmiernie cennych informacji.

Natomiast niesłychanie mały jest na Północy procent inteligencji polskiej. Wchłania ją Paryż lub też kraje dalekiej emigracji. Spotkałem co prawda wśród nowo zwerbowanych robotników przemysłu włókienniczego, a nawet i w kopalniach byłych oficerów i podchorążych. Ci jednak po nieuniknionej deklasacji nie zdążyli jeszcze ochłonąć i wykazać się pionierskimi walorami. Jest rzeczą znamieną dla środowiska „staro”-emigracyjnego, że, mimo przyjmowania przez młodzież obywatelstwa francuskiego, małżeństwa mieszane trafiają się nadal niezwykle rzadko. Ogromna większość dziewcząt z rodzin górniczych wychodzi zamąż za Polaków. W niektórych ośrodkach zaczął się już na większą skalę proces małżeństw z nowymi emigrantami. Na ogół małżeństwa te dobrze zdają próbę życia. Jedna z działaczek wśród młodzieży katolickiej z kolonii Mazingarbe oświadczyła mi z uśmiechem, że dziewczęta przekonały się do nowych przybyszów i sporo robotnic polskich w przemyśle włókienniczym zaręczyło się ze zdemobilizowanymi żołnierzami.

Natomiast pewna działaczka harcerska z Lens skarżyła się, że gorzej jest z córkami nielicznych miejscowych inteligentów.

Poszukują one raczej francuskich kandydatów do stałego małżeńskiego. Podobnie postępują przybyłe z Niemiec dziewczęta z „nowej” emigracji.

### II. POCZUCIE NARODOWE

Szczególnie interesowałem się stopniem świadomości narodowej. Trzeba pamiętać, że, w ogromnej większości, Polacy na tamtejszym terenie, to ludzie wygnani nędzą z kraju. Są oni w dużo mniejszym od nas stopniu dłużnikami Polski. Poszli na obczyznę zmuszeni ciężkimi warunkami życia, a jednak w niektórych okręgach polskość jest niezmiernie żywa, twarzą, bezinteresowna i pozbawiona goryczy, cechującej tak często nową emigrację. Najbardziej pod tym względem godni są podziwu „westfalczyki”, którzy często w ogóle ziemi ojczystej na oczy nie widzieli. Oczywiście nie używają oni literackiego bezbłędnego języka, niemniej wytrwali w zachodniej gwarze wsi wielkopolskiej i w tych kilku koloniach, gdzie element polski zdecydowanie dominuje (jak Marles-les-Mines, Brouai-en-Artois, Ostricourt, Vaziers) trafiają się wypadki, że dzieci francuskie, towarzysze zabaw dzieci polskich, mówią bez porównania lepiej po polsku niż po francusku. Spotkałem nawet starszego wiekiem sztygara, rodowitego Francuza, władającego biegle językiem polskim. Po prostu pracując od wielu lat z górnikami polskimi i mieszkając w kolonii wśród samych Polaków nauczył się naszego języka.

Sprawa języka jest zagadnieniem kluczowym i na tym odcinku perspektywy na przyszłość nie są niestety i nie mogą być różowe. Trzeba sobie to wyraźnie powiedzieć. Granica przebiega mniej więcej przez wiek lat 25-ciu. Oczywiście trafiają się wyjątki w obie strony. W zasadzie jednak szkoła francuska zrobiła swoje. Poza tym — kultura materialna imponowała i pociągała do Francji. Francuzi posiadają wielki talent asymilowania. Młodzież polska urodzona już na tej ziemi nasiąka mimo woli miejscową kulturą i zwyczajami. Tylko w nielicznych, wielkich skupiskach polskich udało się zapobiec wynarodowieniu. W przeważnej jednak masie Polacy żyją w skupiskach o większości francuskiej. Młodzi łatwiej wysławiają się po francusku. Widziałem szereg rdzennie polskich domów, w których młodzież rozmawiała między sobą po francusku do starszych jedynie odzywając się w skażonym języku rodzinnym. Młodzież ta nie zna Polski z autopsji, zna ją tylko z opowiadań rodziców. Przed wojną nauka w powszechnej szkole francuskiej uzupełniana była lekcjami języka polskiego, dawanymi przez utrzymywanych przez państwo polskie nauczycieli. Jeśli idzie o znajomość geografii czy historii czystej to pozostawała ona daleko w tyle za znajomością historii i geografii francuskiej.

Dzisiaj w większych ośrodkach polskich kontynuowana jest

nauka języka polskiego w godzinach poza-lekcyjnych, kiedy dzieci są już znużone lekcjami. Jednak przyjąć trzeba, że dla większości młodej generacji Francja jest już dziś krajem bliższym i bardziej zrozumiałym niż Polska.

„Nawet przy najlepszej woli — mówił mi jeden z chłopców — ja już dziś Polski prawie nie czuję”.

Inaczej starsza generacja. — Jeszcze przed 1939 r. myślała ona zasadniczo o powrocie po odpowiednim wzbogaceniu się na Zachodzie, stąd tak wielu emigrantów ładowało swe oszczędności w kraju. Co najmniej co drugi ze spotkanych przeze mnie zdążył zakupić przed wojną dom czy parcelę w Jarocinie, Srodzie czy Tarnowie.

Polityka naszych władz przedwojennych była przeciwna naturalizowaniu się. Biło to przeważnie w żywotne interesy robotników, którzy nieraz doznawali dotkliwych cięć ze strony administracji francuskiej. Pamiętne są deportacje do Polski w okresie grożącego Francji bezrobocia. Dziś natomiast optowanie na rzecz obywatelstwa polskiego jest jednoznaczne z przyjmowaniem paszportu warszawskiego i uzależnieniem się od reżimowych przedstawicieli. Trudno bowiem wymagać od zasiedziałych we Francji robotników, by skazywali się podobnie jak to czyni większość nowej emigracji — na niewygodną sytuację bezpieczeństwa.

Należy założyć, że w większości wypadków emigracja zarobkowa będzie się w tych sprawach kierować pobudkami utilitarnymi co nie oznacza, by stawała się przez to mniej wartościowa od emigracji politycznej. Poza górnikami młodzi Polacy we Francji, którzy przeszli przez naturalizację podlegają już obowiązkowi służby wojskowej we francuskich siłach zbrojnych. Rozmawiałem przy tradycyjnej górniczej kawie z wieloma młodymi chłopakami — twierdzili, że mają rozdwojone poczucie przynależności narodowej. I tak np. z jednej strony drażniło ich w najwyższym stopniu płytkie naigrywanie się niektórych wojskowych polskich z Francji i Francuzów, z drugiej zaś strony gotowi są zawsze skakać do oczu Francuzom za ułóżanie Polsce. Dom rodzicielski wiąże ich ze starą Ojczyzną — szkoła, warsztat pracy i ustawodawstwo — z nową.\*)

\*) Jest tylko jeden czynnik, który mógłby procesowi temu zapobiec. Byłaby to rychła wojna. Większość młodych mężczyzn miałaby w takim wypadku szansęściągnięcia się raz jeszcze do wojska polskiego na obczyźnie. Nawet ci, którzy formalnie już są obywatelami francuskimi wykorzystaliby, jak mnie zapewniano w takim wypadku prawo wyboru ew. polskiej armii alianckiej. Zabawne, że chociaż pod wielu względami Francja imponuje naszej młodzieży, to wojsko tutejsze nie wzbudza w niej zachwyty. Polskie siły zbrojne pozostawiły zaś, mimo wielu zastrzeżeń w sumie jak najlepsze wrażenie. Złożyło się na to wiele czynników. Przede wszystkim, jak to dobitnie określił jeden z moich rozmówców, wojsko w czasie wojny to kilka lat przyjemnego i nietrudnego życia, a potem kilka miesięcy pasjonującego ryzyka i strachu. W zestawieniu ze znużoną i zawsze niebezpieczną pracą w kopalni takie rozwiązanie na pewno bar-

W asymilacji, niestety przoduje niezliczona polska inteligencja i stan trzeci. Zdarza się często, że lekarze, a zwłaszcza kupcy, hotelarze i restauratorzy używają w domu języka francuskiego w rozmowie z dziećmi, by przyspieszyć proces asymilacji. Szereg takich niewesołych faktów stwierdziłem osobiście. Najbardziej polską, z poczucia, grupą społeczną są niewątpliwie górnicy, którzy języka i zwyczajów narodowych przestrzegają z niezwykłym pietyzmem i konsekwencją. To jest właściwy tron polskości na ziemi francuskiej.

Ogólnie można powiedzieć, że ludzie dojrzały, liczący powyżej 25 czy 30-tu lat, są w zasadzie elementem czysto polskim, który może jeszcze wrócić do kraju — rzecz prosta przy zmienionych warunkach.

### III. ZAGADNIENIA SPOŁECZNO - ZAWODOWE

#### Ostatnie strajki

Ostatnie strajki dały prasie francuskiej asumpt do stwierdzenia, jakoby prym wśród agitatorów wodzili cudzoziemcy. Nie da się zaprzeczyć, że wśród robotników komunistycznych spory odsetek stanowią Włosi oraz Hiszpanie. Jeśli idzie o Polaków, to stwierdziłem, że nawet gdy w pewnym stopniu ulegali wpływom komunistycznym w ubiegłych latach, to dziś ilość komunistów wśród Polonii jest naprawdę znikoma.

dziej odpowiada wojowniczości i usposobieniu polskiemu — lata służby wojskowej zaliczane są nota bene w poczet wysługi emerytury górniczej.

Wojsko polskie nie skompromitowało się w oczach starej emigracji żadną klęską czy militarnym niepowodzeniem. Pod względem zewnętrznym prezentowało się bez porównania lepiej od armii francuskiej, przyżywiającej pod dziś dzień, ostry kompleks roku 1940.

Do przykrych natomiast wspomnień, związanych z armią polską, należą różne prawdziwe czy urojone krzywdy awansowe i odznaczeniowe. Rzeczywiście nie dużo by kosztowało wyróżnienie zasłużonych ochotników ze starej emigracji i szkoda, że wielu krótkowzrocznych dowódców nie umiało zawczasu tego elementu ocenić. Skarżono się też wielokrotnie na rzekome przetrzymywanie żołnierzy-emigrantów w PKPR dla dłuższego utrzymywania wysokich stanów, uzasadniających rozbudowane etaty oficerskie.

Fakty te utrwaliły się mocno w pamięci naszych rodaków. Każda najmniejsza krzywda czy nieprawidłowość urasta w umysłowości emigranta do rozmiarów wielkiego problemu w stosunku do Polski.

Mówi się więc, że Polonia została po macoszemu potraktowana. Nasi oficerowie służby stałej, przywykli do polskiej dyscypliny koszarowej, nie bardzo wiedzieli początkowo jak poradzić sobie z tym niełatwym jak na regulaminy służbowe, niesfornym elementem, który okazał się później w ogniu wspaniałym materiałem żołnierskim. Dzieje Narwickiej Brygady Podhalańskiej, opisanej przez Ksawerego Pruszyńskiego i Karola Zbyszewskiego, boje I-ej i II-ej Dywizji Grenadierów najlepiej o tym świadczą. Z obowiązków swoich wojennych wobec Polski wywiązali się na pewno nie gorzej od Polaków w kraju. Nazwisko Sikorskiego i wyrazy Armia Polska we Francji podziały na emigrację jak potężne magnesy. To samo powtórzyło się kiedy po udanej inwazji Francji zjawili się na kontynencie oddziały polskie z Wielkiej Brytanii. Tysiące młodych górników pospieszyło znowu

Do problemu strajków nie wolno podchodzić zbyt symplicystycznie. Na tle ogólnej dekompozycji gospodarczej Francji sytuacja materialna robotnika nie jest do pozazdroszczenia. Przy wielkim wzroście cen na przestrzeni ostatnich trzech lat, zarobki robotnicze pozostają daleko w tyle, toteż gdzie jak gdzie, ale właśnie we Francji, strajki robotnicze na tle żądań o podwyżkę płac, mają poważne uzasadnienie. Dopiero strajk tegoroczny, a raczej jego nadmierne przeciąganie, unaocznilo, że kierownictwu przyświeca w pierwszym rządzie cel par excellence polityczny, mało mający wspólnego z dobrobytem klasy pracującej. Jest już dziś sprawą jasną, że w myśl dyrektyw sowieckich C. G. T. miało na dłuższy przeciąg czasu sparaliżować przemysł węglowy, by w ten sposób podważyć sens planu Marshalla we Francji. Strajk trwał, w największym swym nasileniu przez pięć tygodni. Przeciętnie górnik, któremu nie wypłacano za ten czas zarobku, stracił około 40.000 fr., a łącznie ze stratą zesłoroczną około 70.000 fr. Stanowi to ogromną wyrwę w budżecie robotniczej rodziny. Co prawda rząd sowiecki i reżimy satelickie pospieszyły z pomocą materialną. Przeprowadzono specjalne zbiórki na rzecz strajkujących górników francuskich. Zebrane kwoty jednak doszły jedynie do robotników w postaci bonów o wartości 500 fr. lub najwyżej wartości 1.000 fr., które zresztą, wobec wątpliwego pokrycia, stanowiły słaby środek płatniczy. Wpłynęło to ogromnie na oziębienie stosunku do Partii Komunistycznej i do C.G.T., która utraciła na skutek strajku poważną ilość członków. Nie wszyscy zresztą przystąpili automatycznie do socjalistycznej Force Ouvrière, czy też katolickiej Confédération Française de Travailleurs Chrétiens. Wielu, zrażonych do życia syndykalnego, pracuje „na dziko”, jako robotnicy niezrzeszeni, wolać po doznanych zawodach, trzymać się jak najdalej od związków. Francuski syndykalizm przeżywa zresz-

do wojska polskiego, a w ciężkich czasach okupacji ruch oporu krzewił się w koloniach i ośrodkach polskich we Francji, dając nieocenioną pomoc naszym aliantom na tym terenie. Mimo to, bezpośrednio po wyzwoleniu Francji, rozeszły się w społeczeństwie francuskim pogłoski, jakoby spora część Polonii kollaborowała z Niemcami. Zaczęto więc wywoływać problem Volksdeutschow, pomijając milczeniem wkład Polonii do ruchu oporu. W kartotece archiwum znalezionej po Niemcach w Douai, na oba departamenty północne było wszystkiego 3.800 polskich Volksdeutschow, czyli mniej niż 2 proc. całej polskiej ludności, zamieszkałej na tym obszarze. A musimy pamiętać, że według norm niemieckich, każdy, urodzony na terenie dawnego państwa niemieckiego miał nie tylko prawo, ale obowiązek przyznania się do związków z narodem niemieckim. Cyfra ta więc wykazuje jak niezwykle niski procent Polaków we Francji uległ presji hitlerowskiej, niski choćby w porównaniu do rdzennie polskich terytoriów śląska.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń można stwierdzić, że na emigracji wojsko było cenną szkołą obywatelską. Spotkałem ponad 20-tu młodych mężczyzn, którzy odbyli służbę w W. Brytanii. Niemal wszyscy odznaczają się czynną postawą społeczną. Ten nowy zastrzyk polskości zaczyna odgrywać ważną rolę w formowaniu oblicza emigracji.

tą ogromny kryzys, bo z chwilą, gdy poszczególne związki zawodowe stały się raczej organizacjami o charakterze partyjnym, straciły swą atrakcyjność, zwłaszcza dla robotników cudzoziemskich.

W rejonie Lens gros Polaków skupia się dzisiaj w Force Ouvrière. Sądzę, na podstawie obserwacji, że na odcinku górniczym Polacy stanowią istotny trzon tej organizacji. Również i związki chrześcijańskie bazują w dużej mierze na polskim robotniku. Związki te jednak obejmują raczej robotników fabrycznych w przemyśle tekstylnym i robotników rolnych, niż górników.

Moi rozmówcy podkreślają, że w sprawach zasadniczych solidaryzują się z robotnikiem francuskim i uważają za swój obowiązek solidarności tę nie tylko platonicznie podkreślać. Tym tłumaczy się powszechny udział w ostatnim strajku, a probowanym zresztą, w pierwszej fazie, przez wszystkie związki zawodowe. W przeważającej masie wrócili jednak Polacy do pracy, grubo przed odwołaniem strajku przez C.G.T. W agitacji i pikietowaniu udziału na ogół nie brali. Informowałem się w kilku wypadkach u dyrektorów kopalń - Francuzów, którzy podkreślali godną podstawę polskich górników w czasie ostatniego strajku. Jedyny okręg, w którym Polacy brali żywszy udział w strajku, to najbardziej zresztą skomunizowany obszar Valenciennes. Z miejscowości Thivencelles deportowano 9-ciu Polaków. Według moich informacji 7-miu z nich istotnie angażowało się w akcji komunistycznej, 2-ch zaś padło ofiarą przypadku. Takich przypadkowych „ekspulsji” jak to określają na północy, było niestety więcej. Charakterystyczny przykład przytoczył mi jeden z działaczy harcerskich, sam górnik z zawodu: „Polak-górnik, 21 lat, z Avion, deportowany ma być za rzekomy udział w manifestacji C.G.T. W rzeczywistości znalazł się tam przypadkowo, szedł bowiem z kwiatami na cmentarz, na grób matki. Po 10-ciu dniach więzienia w Arras, wypuszczono Bogu ducha winnego chłopaka, by nie musieć mu płacić odszkodowania za stracony zarobek. W tydzień później urzędnik konsulatu warszawskiego w Lille zawiadomił delikwenta, że na skutek nakazu wydalenia z Francji, dołączyć ma się do transportu deportowanych, przewidzianego na 25 grudnia. Istotnie, następnego dnia otrzymał wyrok z 7-go grudnia skazujący na wydalenie i ograniczający czas pobytu na terenie Francji do 26 grudnia. Ten wypadek na szczęście skończył się pomyślnie na skutek akcji interwencyjnej naszych harcerzy i poparciu zwierzchników poszkodowanego.”

Informowano mnie również, że w wypadku przyłapaniu na udziale w czynnej akcji strajkowej, władze administracyjne nie zwracają nawet uwagi na formalne francuskie obywatelstwo oskarżonego, i deportują go tak jak każdego innego cudzoziemca, do kraju pochodzenia.

W jednej z fabryk Alfreda Motte'a, kluczowej dla przemysłu tekstylnego w Roubaix, Polacy w ogóle zapobiegli strajkowi. Byli to już najnowsi emigranci. Za przeciwstawienie się agitacji ko-

munistycznej i uruchomienie głównych maszyn otrzymali specjalne podziękowanie. Podobnych wypadków było więcej, toteż stosunki pomiędzy działaczami komunistycznymi i opierającą się im czynnie Polonią są coraz bardziej napięte, przy czym często dochodzi do starć czy samosądów.

#### IV. WARUNKI MATERIALNE GÓRNIKÓW

Warunki pracy na przestrzeni ostatnich 25-ciu lat uległy znacznej poprawie. Praca pod ziemią, nadal niebezpieczna, stała się jednak bez porównania bardziej wydajna i unowocześniona. Pod tym względem dalszą zmianę na lepsze przyniosła nacjonalizacja kopalń, wprowadzono bowiem szereg kosztownych ulepszeń technicznych. Jest to bodajże jedyna namacalna korzyść, jaką odczuwają górnicy po upaństwowieniu produkcji węgla. Pytałem kilkunastu ludzi i na ogół żadnych innych korzyści na razie nie mogą zanotować, natomiast przyznają, że Francja, jako taka, niewątpliwie na długą metę na tym skorzysta.

Zarobki w kopalni wahają się od 20 do 60 tysięcy fr. miesięcznie. Do tego dochodzi bezpłatne mieszkanie, oddane do użytku przez kopalnię i szereg innych udogodnień. Kolonie górnicze to jednorodzinne, cztero- lub pięcioizbowe domki z małymi ogródkami i drobnymi gospodarskimi zabudowaniami. Każdy pracujący dostaje z kopalni 550 kg węgla miesięcznie — bezpłatnie. Robotnicy z nowej emigracji mieszkają przeważnie w osobnych barakach. Zasadniczo po 40-tu latach pracy każdemu przysługuje emerytura. W okres ten wlicza się lata służby wojskowej, niewoli, itp. Ostatnio przesunięto wzwyż granicę wieku dla młodzieży. Do kopalni można iść do pracy po ukończeniu 14-tu lat. W latach dwudziestych chłopcy rozpoczynali pracę od 12-go roku życia. Dziś pełnowartościowym górnikiem zostaje się dopiero po ukończeniu 18-tu lat, przedtem odbywa się praktykę w różnych działach. Zdolniejsza młodzież garnie się z reguły do szkoły technicznej dla zdobycia wyższych kwalifikacji.

W pracy stosunki pomiędzy Polakami i Francuzami układają się zupełnie poprawnie. Obecnie górnicy traktowani są przez pracodawców równorzędnie, niezależnie od narodowości (z wyjątkiem Niemców, którym nie wolno zakładać żadnych stowarzyszeń). I tak na przykład pewne prawa, których przed wojną Polacy nie posiadali — na skutek zmian na rynku pracy, zostały im teraz przyznane, jak np. urlopy, pobyty nad morzem, organizowane przez Państwo, itp.

Departamenty górnicze przedstawiają dziś bogatą mozaikę językową. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że cudzoziemcy potrafili zmajoryzować autochtonów. Nawet w tych miejscowościach, w których np. ludność polska stanowi znakomitą większość i gdzie po wyjściu ze stacji kolejowej czy autobusu spodziewałem się znaleźć z miejsca w jakiejś „małej Polsce” — okazywało się, że centrum każdego miasteczka czy wioski nosi czysto francuski charakter. Na rynku, na głównej ulicy, domi-

nuje język francuski, francuskie sklepy i urzędy. Dopiero zapuścić się trzeba głębiej, na kolonie górnicze, nieznane mapie Michelin, by znaleźć czysto polskie środowisko. Administracja, stan średni, wolne zawody — to wszystko Francuzi. Pod ziemią natomiast i w osiedlach rozbrzmiewa język polski lub — rzadziej — języki innych narodowości.

#### V. PRZEMYSŁ TKACKI.

##### Blaski...

Niezamężne dziewczęta pracują przeważnie w przemyśle włókienniczym, w okolicach Lille. Tak więc np. z rejonu Ostricourt więcej niż połowa kobiet dojeżdża do pracy w tkalni, do miasta Madelaine pod Lille. Parę tysięcy Polek pracuje również, jako służące, w domach francuskich, czy też w sklepach i jadłodajniach. W rejonie Roubaix znajduje się 15 pensjonatów dla młodych robotnic. Pensjonaty zostały specjalnie założone i świetnie wyposażone przez pracodawców, dbających o to, by dziewczęta polskie, cenione jako dobre pracownice, nie traciły zbyt wiele czasu na dojazdy z odległych miejscowości. Zwiedziłem takie dwa wzorowe domy (Foyer Denis i Foyer Miriam), zorganizowane przy współdziałaniu polskich stowarzyszeń katolickich, pod których opieką pozostają zresztą wszystkie te zakłady. W zakładach mieszkają dziewczęta z dawniejszej emigracji w wieku od 15-tu do 20-tu lat, pochodzące przeważnie z kolonii górniczych w departamencie Pas de Calais. Kierowniczką każdego pensjonatu jest młoda i energiczna dziewczyna, wybierana przez pracodawcę spośród robotnic. Dysponuje ona własnym pokojem i pobiera gażę 17.000 fr. miesięcznie. Pensjonariuszki pracują od poniedziałku do piątku włącznie po 8 godzin dziennie. W sobotę rano rozjeżdżają się do swych domów wracając w poniedziałek rano. Poza mieszkaniem, za które płaćcą tylko 25 fr. dziennie, zarabiają około 10.000 fr. miesięcznie. Schludne i pogodne pokoje mieszkalne mieszczą od 4-ch do 6-ciu lokatorek, choć zdarzają się i większe sale, dwunastołżkowe. Domy są doskonale wyposażone we wszystkie nowoczesne urządzenia, obsługiwane i sprzątane przez służbę francuską. Stwierdziłem w nich jednak przykry i niezrozumiały brak jakiegokolwiek polskiej książki czy gazety. Przy miłej domowej atmosferze w pensjonatach panuje jednak żelazny rygor.

##### ...i cienie

Niestety, nie wszystkim warunki mieszkaniowe układają się również pomyślnie. W tymże samym Roubaix, o dwie ulice dalej od jednego z najlepiej urządzonych pensjonatów, trafiłem do zupełnie makabrycznego ex-magazynu-rudery, pod Nr. 128 na ohydnej ulicy, nazwanej jakby na pośmiewisko, rue de Nouveau Monde. Mieszka tam 150 rodzin polskich, przybyłych na kontrakt pracy w fabryce wełny Prevout, z obozów w Niem-

czech. Już trzy lata żyją w potwornych warunkach. Dopiero w ub. roku patron-pracodawca wybudował w wielkich, pofabrycznych halach cienkie ścianki w miejsce zasłon z koców, które oddziały dotąd legowiska poszczególnych rodzin. Cały ten budynek nazwany przez mieszkańców ironicznie „Betleem”, posiada tylko jeden zlew i jeden ustęp. Choroba jednego dziecka kończy się z reguły epidemią i nierzadkimi wypadkami śmierci. Trudno zrozumieć, że w dzisiejszych czasach jest jeszcze możliwe na Zachodzie takie traktowanie ludzi przez pracodawców. Możliwe to jest widocznie w kraju kontrastów, jakim jest dzisiejsza Francja. Zaintrygowany skandalicznym położeniem naszych robotników zapytałem kilku osób jakie pobudki kierują nimi w odmowie powrotu do Polski. Wychudzona robotnica, wywieziona w 1943 roku przemocą do Niemiec spod Lublina, odpaliła z miejsca: „Gdyby Ruski poszedł, to bym tam panie z dziećskami na kolanach wróciła”. Czy to się komu podoba czy nie ludzie ci, sponiewierani przez wojnę i obecny los, są czystej wody emigrantami politycznymi i chociaż stoją z daleka od londyńskiej problematyki, mają prawo do nazywania się w ten sposób, prawo nie mniejsze od różnych, urządzonych na Zachodzie, ex-dygnitarzy. Jest wysoce zastanawiające jak mało się wie o losie tych biedaków i jak małe jest nimi zainteresowanie organizacji społecznych. To nie sztuka opiekować się schludnymi domkami - pensjonatami; tam właśnie, do Betleem i innych podobnych skupisk ludności polskiej, zaglądać winny organizacje społeczne, ksiądz polski i dziennikarz. Uchodźcy nasi czują się bowiem zupełnie zapomniani i opuszczeni. Oddani są często przez patronów pod „opiekę” sprytnych łapówkarzy-tłumaczy, oszukających przy najdrobniejszym świadczeniu. Oto klimat, w którym rodzi się głęboki kryzys zaufania, poczucie beznadziejności, pijaństwo i występek.

Betleem nie jest wypadkiem odosobnionym, nie wiele lepiej prezentuje się np. „pensjonat” w Tourcoing, przy ulicy Poutrin.

## VI. OŚRODKI ŻYCIA POLSKIEGO

Niezmiernie ważnym czynnikiem społecznym jest dla Polonii kościół. Nieliczni księża polscy uginają się pod nadmiarem tyśiącznych obowiązków. Spotkałem wikarego, który odprawiać musi w niedzielę 6 Mszy. Katolicyzm naszej dawnej emigracji jest głęboko wrośnięty i aktywny. Księża nasi podlegają Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu.

W ogromnej większości są to jednocześnie bardzo cenni społeczni działacze terenowi. Wydaje mi się jednak, że organizacje katolickie również cierpią na schorzenie poważnego przerostu. Wokół każdej parafii vegetuje minimum dziesięć różnych katolickich stowarzyszeń. A więc są: tradycyjne, górnicze Towarzystwa św. Barbary, Stowarzyszenia Mężów Chrześcijańskich, Bractwa Różańcowe, Dzieci Marii, katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, katolickie Stowarzyszenie młodzieży Żeń-

skiej itp. Sale parafialne są nieustannie czynne, jako ośrodek wielu zgromadzeń, zebrań i zarządów. Ponadto istnieją oczywiście chóry kościelne. Księża są w trudnej sytuacji materialnej i ledwie wiążą koniec z końcem. Zarażeni sknerstwem Francuzów, rodacy nie grzeszą szczególną hojnością. Widziałem jak na tacę sypią się nędzne półfrankówki i frankówki, rzadko przytrafia się jakiś papierek. Po tylokrotnej dewaluacji franka nie wystarcza to nawet na opędzenie głównych potrzeb konserwacyjnych kościoła. Księża cieszą się jednak na koloniach dużym autorytetem i dlatego są bardzo ważnym czynnikiem narodowym.

Na terenie młodzieżowym, obok akcji dużych organizacji katolickich szczególnie podkreślić należy wielki wkład wychowawczy polskiego harcerstwa. Mogę stwierdzić, że wśród spotkanych przeze mnie działaczy na najwyższym poziomie obywatelskim i społecznym byli górniczy-instruktorzy harcerscy. Przed wojną tzw. pracę społeczną wśród Polonii prowadzili przeważnie płatni urzędnicy konsulatów, dysponujący samochodami i wszelkimi ugodnieniami, jakie dawał dyplomatyczny paszport. Miało to korzystne, ale i słabe strony. Działacze pracować przyszło zupełnie innymi metodami. Cała robota spadła na barki działaczy terenowych, rozporządzających niewielką ilością czasu, po pracy górniczej i jeszcze skromniejszymi środkami materialnymi. I oto komendantem harcerzy na całą Francję jest górnik, Franciszek Konieczny. Obok księży i K.S.M.P. instruktorzy i drużynowi harcerscy uczą dzieci języka polskiego i pilnują, by były wychowane w polskim duchu. Przed wojną dodatkową podniętą w robocie harcerskiej były wycieczki do kraju. Dziś znikła ta możliwość odświeżenia związków z krajem, ponieważ harcerstwo stało się najbardziej bezkompromisową i niepodległościową grupą młodego pokolenia na emigracji. Harcerze-górnicy przypomnieli mi żywo klimat duchowy szarych szeregów z czasów Polski Podziemnej. Ludzie ci zasługują jednak nie tylko na podziw, ale na jak najdalej idącą pomoc. Są oni szczególnie miłym kontrastem po roztańczo-nym Kręgu starszo-harcerskim w Londynie, lub infantylnym Kole w Paryżu.

Niezależnie od organizacji katolickich, Harcerstwa czy Sokoła, każde większe polskie skupisko posiada co najmniej kilka związków kombatanckich. I chociaż wiele już mi na ten temat tłumaczono, nie potrafię zrozumieć czego chce pan min. Kawałkowski, a czego pan płk. Zdrojewski i dlaczego powstała ostatnio jeszcze jedna organizacja: Związek Uczestników Polskiego Ruchu Oporu. Jeśli doda się do tego Federację Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, Związek Rezerwistów i b. Wojskowych oraz usiłującą przeprowadzić jakąkolwiek rozsądną konsolidację Samopomoc Polskich Kombatanatów (S.P.K.) — to obraz jest kompletny. Jeszcze najbardziej jednolicie przedstawiają się właśnie kombatancki ostatniej wojny. Na podstawie

obserwacji aktywnych ośrodków w Marles les Mines, Bruay en Artois i Lannoy (nie spotkałem niestety w terenie zbyt wiele kół SPK) — wydaje mi się, że organizacja ta powinna zapaść głębsze korzenie i objąć wszystkich byłych żołnierzy na Zachodzie.

Największą bolączką życia organizacyjnego na emigracji jest straszliwe rozbitcie społeczne. Są to w życiu polskim znamiona chorobowe. Jest to skutek i dekompozycji politycznej centralnych ośrodków emigracyjnych, i polskiego warcholstwa, i przerostów ambicji osobistych, a w sumie jest to niestety przykład zbyt małego wyrobienia społecznego. Nikt zdrowo myślący nie uwierzy, że np. w takim Bruay en Artois potrzeba aż 48 polskich organizacji, z taką samą ilością prezesów i pośledniejszych dygnitarzy. Oczywiście przy takim stanie rzeczy większość stowarzyszeń ledwie wegetuje.

Podobnie się dzieje, na wyższym szczeblu, gdzie niezależnie od Centralnego Związku Polaków, skupiającego kilkanaście stowarzyszeń „dawnej emigracji”, istnieje Polskie Zjednoczenie Katolickie, stanowiące jak gdyby drugą, konkurencyjną centralę. Jeśli się weźmie pod uwagę, że strona komunistyczna dysponuje scentralizowanymi organizacjami, kontynuowanie rozbitcia w obozie polskim jest rzeczą niezmiernie szkodliwą.

Najbardziej więc istotnym zadaniem do przeprowadzenia na terenie Francji jest przyspieszenie procesu scaleniowego, chociażby tylko na odcinku społecznym. Mogłoby to wyzwoić nowe siły w emigracji i odrodzić kapitał zaufania społecznego. Może konsolidacja, rozpoczęta na odcinku kombatanckim przez S.P.K. będzie zapowiedzią zmiany na lepsze.

## VII. OBLCZE POLITYCZNE

Polonia podlega krzyżującym się wpływom politycznym francuskim i polskim. Jeśli idzie o odcinek francuski to dzieje się to przede wszystkim poprzez Związki Zawodowe. Jak już pisałem, poszczególne związki zawodowe znajdują się w orbicie dużych stronnictw francuskich, a więc MRP, socjalistów i komunistów. Zasadniczo Polacy, nie posiadający obywatelstwa francuskiego, nie należą do stronnictw francuskich. Od zasady tej wyjątkiem byli tylko komuniści. Ostatnio weszły na teren polski organizacje gaulistowskie. Stwierdziłem, że wśród emigracji polskiej powołana została do życia organizacja „Les Amis de RPF”. Zasadniczo jestem przeciwnikiem brania przez Polaków udziału w rozgrywkach partyjnych krajów pobytu. Wszystkie — najlepszej nawet woli — jednostki, zanim rozpoczną na własną rękę jakąś akcję, która zakończyć się może nowymi ofiarami czy nową kondotierką, winny podporządkować się tu dyscyplinie narodowej. Od tego by zawierać umowę o współpracę są zasadniczo czynniki polityczne, a nie przygodni, choćby najdzielniejsi, przywódcy terenowi. Inaczej doprowadzi to do

jeszcze dalszego rozproszkowania uchodźstwa i rozbitcia jednolitości obozu niepodległościowego.

Od strony polskiej oblicze polityczne emigracji przedstawia się w sposób całkowicie różny od emigracji londyńskiej czy nawet paryskiej. Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że wpływ tzw. Londynu jest znikomy. Ogromnej redukcji uległy też wpływy komunistycznej Warszawy. W pierwszych latach po wojnie reżim warszawski rozwinął tu ogromną akcję. Utworzono specjalne organizacje: Rady Narodowe, organizacja Pomocy Ojczyźnie, organizacja młodzieżowa „Grunwald”, Związek kobiet im. Marii Konopnickiej, PPR, itp. Pierwszy ambasador reżimu Skrzyszewski, rzucał na tę robotę ogromne pieniądze. Chodziło bowiem o wyrwanie Polonii spod zasięgu Obozu Niepodległościowego. Fakt, że do Polski powróciło już około 15 proc. emigracji oczyścił w dużej mierze pozostałą masę z elementu komunistycznego, aczkolwiek podkreślić należy, że wśród repatriantów stanowili oni również drobną mniejszość. Gros stanowili po prostu ludzie, wracający do kraju z najbardziej osobistych, nie politycznych, powodów. Drugim ważnym czynnikiem spadku wpływów komunistycznych wśród Polonii jest zmieniona wewnętrzna sytuacja francuska, niepowodzenie akcji strajkowych i dociśnięcie śruby policyjno-administracyjnej. Mało jest dziś Polaków gotowych zaryzykować więzienie i deportację za akcję komunistyczną. Dużą rolę odgrywają również nadchodzące z Polski wiadomości, niewyuznaczone listy, wreszcie nierzadkie świadectwa tych, którym udało się z kraju powrócić.

Nieźle redagowana reżimowa „Gazeta Polska”, o nakładzie 25 tys. egz., rozsyłana jest przeważnie darmowo, gdyż mało jest na nią amatorów. Stopniowemu obumieraniu podlegają Rady Narodowe i „Grunwaldy”. Poza socjalistami i, ostatnio, ludowcami, żadna z polskich partii nie penetruje do środowisk starej emigracji. Komuna i „Narodowiec” zniszczyły w ostatnich latach niemal doszczętnie prestiż Londynu. Linie niepodległościową środowisk emigracyjnych utrzymują: kościół, polskie organizacje kombatanckie, zrzeszenia uczestników walki podziemnej, wreszcie Centralny Związek Polaków Zagranicą. Osobną pozycją jest „Narodowiec” Michała Kwiatkowskiego, który od czasu ucieczki Mikołajczyka z kraju, jest w zasadzie pismem antyreżimowym. Kwiatkowski wspólnie ze swym londyńskim korespondentem Adamem Romerem, prowadzi zajadłą wojnę z rządem londyńskim. Siłą atrakcyjną „Narodowca”, którego nakład sięga podobno aż 40.000, jest obok napastliwego tonu artykułów polemicznych i listów do redakcji — czwarta strona ogłoszeniowa. Zauważyłem bowiem, że przeciętny czytelnik tej, od dawnych, przedwojennych lat, wprowadzonej gazety, zaczyna z reguły czytać gazety od rubryki ogłoszeń, zapowiedzi małżeństw, urodzin, komunikatów organizacyjnych itp. Nie spotkałem ani jednego czytelnika „Narodowca”, który by nie miał w stosunku do niego zasadniczych zastrzeżeń. Tajemnica powodzenia polega po prostu na tym, że „Narodowiec” dobrze jest w



teren wprowadzony, zna jego potrzeby i w zakresie bieżących spraw życiowych umiejętnie je zaspakaja.

Jak dotąd Francja, będąca tak wielkim skupiskiem emigracyjnym pozbawiona jest codziennego pisma o zdecydowanym, poważnym, niepodległościowym charakterze. Jeżeli „Narodowiec” tej roli się nie podejmie i nie stanie się w podobnym stopniu organem zjednoczonej w walce emigracji, jak jest nim np. londyński „Dziennik Polski”, to pismo takie we Francji powinno powstać.

Tyle tu wydaje się periodyków („Polska Wierna”, „Placówka”, „Syrena”, „Robotnik”; w sąsiedniej Belgii wychodzi „Orzeł Biały”, w Niemczech „Kronika”; z londyńskich pism spotyka się „Polskę Walczącą” i mikołajczykowskie „Jutro Polski”). Jest publiczną tajemnicą, że wszystkie te pisma są deficytowe i pochłaniają ogromną ilość publicznych pieniędzy. Czy i na tym odcinku skazani być musimy na rozproszenie?

Reasumując, emigracja nasza we Francji żyje swoimi troskami i mały bierze udział w rozgrywkach partyjno-politycznych.

Dziś, kiedy emigracja dawna podlega bądź to procesowi wynarodowienia, bądź z emigracji zarobkowej staje się pomalą polityczną, należałoby ją z ogólnopolskimi pracami ośrodków kierowniczych jak najściślej powiązać. Przez powiązanie rozumiem jak najdalej idącą pomoc w zakresie potrzeb kulturalnych, informacyjnych itp. Tymczasem nikt się nią nie interesuje. Zagadnienie emigracji francuskiej pozostało dla ośrodków kierowniczych jakąś czarną magią niesprawdzonych cyfr i niewiele mówiących nazwisk. Co tu zresztą mówić o tak „egzotycznych” terenach jak północ, skoro do Aulney sous Bois, przedmieścia Paryża, odległego o pół godziny jazdy od centrum, nikt dotąd nie zawitał, mimo, że żyje tam blisko 6.000 Polaków. Polonia domaga się wszędzie dobrych odczytów, książek, bibliotek, czasopism, przedstawień teatralnych (a nasi aktorzy tak biedują w Londynie), a wreszcie bezpośrednich, osobistych kontaktów, pomocy i porady. Nie wystarczy ani „Narodowiec” w obecnej formie, ani blade i bez wyrazu polskie audycje radia francuskiego. Dowodem, wykazującym jak wiele można zdziałać przez odpowiednią inicjatywę, są np. wiadomości o wzroście czytelnictwa, zamieszczone w artykule Kazimierza Romanowicza w Nrze 14 „Kultury”.

### WNIOSKI

Niewątpliwie problem emigracji z zagadnienia kwantytatywnego staje się coraz bardziej zagadnieniem kwalitatywnym.

Dla całej masy uchodźczej, która wsiąka nieuchronnie w społeczeństwo francuskie zastosować należałoby raczej analogie amerykańskie. Skoro nie jesteśmy w stanie zapobiec wynarodowieniu — umiejmy przynajmniej wykorzystać w odpowiedni sposób fakt, że tysiące Francuzów jest bezpornie polskiego pochodzenia. Nie stwarzając już więcej konfliktów psychicznych

i rozdziwienia będziemy mogli, dzięki odpowiedniemu zorganizowaniu Francuzów polskiego pochodzenia, mieć w nich poważną pomoc w naszych politycznych i społecznych poczynaniach. Przeprowadzenie linii pomiędzy tym, co zostanie świadomą emigracją polityczną, a tym co przestawszy już być emigracją zarobkową, stanie się jakimś kontynentalnym odpowiednikiem Polonii amerykańskiej, nie będzie rzeczą najłatwiejszą. Nie jest na pewno moją intencją agitowanie do przyjmowania obcego obywatelstwa, ale w imię przeciagającej się w czasie naszej walki politycznej, nie widzę moralnego prawa wstrzymywania dawnej emigracji zarobkowej od przyjmowania obywatelstwa kraju pracy i pobytu. Nie leży bowiem w polskim interesie utrzymywanie w świecie najwyższej cyfry polskich pariasów, wegetujących bez żadnej perspektywy na najniższych szczeblach drabiny społecznej i spychanych stale na sam jej dół. Toteż zamiast załamywać ręce nad naturalizowaniem się młodzieży w krajach emigracyjnych, należy raczej przystąpić do sensownej organizacji tego elementu i związania go z naszą sprawą na innych zasadach.

Z długofalowej perspektywy korzystna była repatriacja starej emigracji do Polski, zwłaszcza na tle postępującej szybko asymilacji naszej młodzieży we Francji.

Szkodliwe jest podtrzymywanie coraz bardziej sztucznego przedziału pomiędzy dawną i nową emigracją. Cały wysiłek powinien być skierowany na scalenie organizacyjne i zlikwidowanie sił odśrodkowych.

Czas najwyższy skończyć z chorobliwym rozproszeniem i przyspieszyć fuzję wszystkich stowarzyszeń w jeden niepodległościowy nurt. Wzmocniłoby to niepomierne naszą pozycję we Francji i poza nią. Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego i Światowy Związek Polaków z Zagranicy winny tu przyjść z dobrym przykładem od góry.

Tam zaś, gdzie mamy do czynienia z niepowstrzymanym procesem naturalizacyjnym, należy najrychlej przystąpić do jego organizowania. Mogłoby to być np. Towarzystwa Przyjaciół Polski Niepodległej.

Styczeń, 1949.

Jerzy LERSKI.

## Monachium

Kryzys Sudecki i Zjazd Czterech w Monachium doczekały się już całej literatury historycznej.<sup>1)</sup> Równocześnie z badaniem nie ustaje polemika: jedni, coraz już rzadziej spotykani „Monachijczycy”, widzą w „ugodzie” ostatnią, niepomysłną lecz uprawnioną, próbę utrzymania pokoju; inni, coraz to liczniejsi, upatrują w niej ostatni etap słabości Zachodu w obliczu agresji, „prolog” strasznego dramatu. Wypowiedzieli się już głównie uczestnicy — niektórzy w swych korespondencyjach i wspomnieniach, drudzy w pozostawionych czy przychwyconych dokumentach. Odezwali się też pamiętnikarze i zabrali głos historycy. Wśród tych ostatnich członek londyńskiego Instytutu Spraw Zagranicznych, pisarz angielski Wheeler-Bennett, dał pierwszą pracę, silącą się na obraz syntetycznej całości.<sup>2)</sup>

Jednakże, pomimo tego nawału materiałów i tak licznych a wnikliwych studiów, na syntezę jest jeszcze za wcześnie. Przede wszystkim, wbrew pozorom, dokumentacja nie jest wcale kompletna. Nie są znane, poza oderwanymi fragmentami, źródła urzędowe francuskie. Nie otworzy się jeszcze archiwa brytyjskie tej epoki. Słaba jest nadzieja, aby kiedykolwiek wyszły na jaw, niesfałszowane, dokumenty polityki zagranicznej sowieckiej. Archiwa czeskie, częściowo ujawnione przez Niemców w 1940 r., zostały podobno zużytkowane przez p. Wheeler-Bennetta; ale nie należy zapominać o tym, że stan ich, zarówno jak dostępność, zawisły, od chwili zajęcia Pragi przez Czerwoną Armię w

1) Dla jasności dalszych rozważań należy podać główne daty — etapy w rozwoju sytuacji międzynarodowej przed 1939: 6/7 marca 1936 — zajęcie przez Hitlera zdemilitaryzowanej strefy renńskiej i wypowiedzenie umów lokarneskich; oferta Becka pomocy zbrojnej dla Francji; 9/13 marca 1938 — Anschluss Austrii i okupowanie jej przez Hitlera; 24 kwietnia — Karlsbad Programm Niemców sudeckich; 19/20 maja — pierwszy kryzys międzynarodowy i zainicjowanie mobilizacyjne czeskie; 8 czerwca — memorandum sudeckie przedłożone Premierowi Czechosłowacji Hodży; 25 lipca — misja Lorda Runcimana do Pragi; 15 września — przyjazd Premiera Chamberlaina do Berchtesgaden i konferencja z Hitlerem; 16 września — Lord Runciman składa raport o Czechosłowacji Gabinetowi Brytyjskiemu; 22/23 września — spotkanie Chamberlain-Hitler w Godesbergu; 29/30 września — Zjazd Czterech w Monachium.

2) Analizując obecną bezwzględną krytykę Monachium, trzeba stwierdzić, że inaczej myślnano w 1938, a inaczej w dziesięć lat potem, po ujawnieniu istotnych zamierzeń niemieckich. Np. Churchill w epoce przedmona-

1945 r., od komunistów i od Benesa — czyli od dwóch czynników zainteresowanych bezpośrednio w kryzysie 1938 roku. Polskie źródła znane są również tylko częściowo: są one na ogół ignorowane w literaturze historycznej Zachodu, na przykład całkowicie pominięte w opracowaniu Bennetta.

W tych warunkach byłoby próżnym i niewdzięcznym zadaniem prześcigać się z autorami pamiętników i prowizorycznych historii w konstrukcjach ogólnych i sądach globalnych — tak zawodnych i nietrwałych, gdy się je stosuje do dziejów współczesnych. Jest rzeczą raczej dla krytyki historycznej słuszną ograniczyć się do przedstawienia szeregu problemów — czy to oświetlonych na nowo w studiach ostatnich, czy to podlegających wątpliwości i otwartych dla dyskusji. Nie synteza więc i ogłaszanie sądu — lecz analiza przedmiotu i krytyka źródeł: — oto cel uwag niniejszych.

Na kogo więc spada odpowiedzialność główna za monachijską kapitulację i upokorzenie? — albowiem jedno jest dzisiaj niezaprzeczalne: koncesje, wyludzone i wygrane na mocarstwach Zachodu przez Hitlera, były nie tylko ich kapitulacją wobec groźby użycia gwałtu i rozpętania wojny, lecz także, w świetle odsłoniętych obecnie tajnych zamysłów i knoń wódza Rzeszy, dojmującym upokorzeniem: naiwnym zawierzeniem swoim własnym iluzjom, niegodnym cofnięciem się przed szantażem, premią, ofiarowaną oszustwu. Odpowiedzialność za całą tę niesławę rozkłada się wprawdzie między obydwu jej partnerów — Francję i Anglię, obciąża jednak głównie, im więcej o tym epizodzie wiemy, Francuzów. Do nich należy najpierw, w końcu kwietnia, inicjatywa anglo-francuskiej akcji koncyliacyjnej i moderującej w Pradze, wyprzedzającej lipcową misję Lorda Runcimana. Oni uzależniali od pierwszej chwili interwencję Francji i czynną

chijskiej był niewątpliwie surowy w stosunku do Czechów: m. in. w prasie wypowiedział się wówczas, że „wyraźne sformułowanie naszego stanowiska — nie powinno być wzięte za poparcie uporu (obduracy) małego państewka, którego egzystencja zawisała od postanowień i działań państw innych” (cyt. u Fellingha, p. 355). Podobnie, nie przeciwstawiał się bynajmniej tak potępianej obecnie misji Lorda Runcimana: por. mowę do wyborców 27. VIII., cyt. w *Gathering Storm*, amer. wyd. p. 292.

Najnowsza literatura o Monachium: 1) wspomnienia i dokumenty: prof. Keith Felling *The Life of Neville Chamberlain*, 1947; Winston S. Churchill *The Gathering Storm*, 1948; Georges Bonnet *De Washington au Quai d'Orsay*, 1946; *Fin d'une Europe, De Munich à la Guerre*, 1948; Léon Noël *L'Agresion Allemande contre la Pologne*, 1945; Général Camelin Servir, H. 1946; Ulrich von Hassel *Vom Andern Deutschland*, 1946; H. B. Gisevius *Bis zum bitteren Ende*, I-II, 1946/7; Erich Kordt *Wahn und Wirklichkeit*, 1947. Dokumenty procesu w Norymberdze w wyd. angielskim.

2) Opracowania: John Wheeler-Bennett *Munich, Prologue to Tragedy* 1948; L. B. Namier *Diplomatic Prelude 1938-9*, 1948; André François-Poncet *De Versailles à Potsdam*, 1948.

3) Przyczynki polskie: *Polska Akcja Dyplomatyczna dla odzyskania śląska Zaolzańskiego*, październik 1938 (rps.); Józef Lipski *Stosunki Polsko-Niemieckie „Sprawy Międzynar.”* 1947; Juliusz Łukasiewicz *Sprawa Czechosłowacka w 1938*, tamże 1948; Józef Beck *Preliminarja polityczne do Wojny 1939* (rps.).

jej pomoc dla Czech od wojskowego poparcia przez Wielką Brytanię, co czyniło od razu pomoc tę iluzoryczną. Oni to wreszcie, 13 września, po dramatycznych scenach na Radzie Ministrów, przyciśnięci do muru własnymi traktatowymi zobowiązaniami, zwrócili się w późnowieczornym apelu Daladiera o ratunek przed własną beznadziejną słabością do Chamberlaina. — Francja nie chce i nie może walczyć, taki był sens tego odwołania in extremis; Czechosłowacja i tak pozostawiona będzie własnym jej losom; W. Brytania musi tedy szukać wyjścia w formie ubicia możliwie najlepszego targu z Hitlerem. — To było istotne źródło i początek ugody w Berchtesgaden, bezradnej próby sił w Godesbergu i ostatecznej kapitulacji w Monachium.

Tak się przedstawia rola Francji jako sojusznika Czechosłowacji. Jakież z kolei było zachowanie się samejże ofiary tych podstępnych knozań i niecnych wykrętów? Czy mogła Czechosłowacja, czy chciała się bronić?

Należy pamiętać przede wszystkim o jednym. Sojusze, zapewniające pomoc francuską partnerom na wschodzie, zawarte były w czasie, gdy „wrota Francji” na Renie znajdowały się pod strażą zachodniej okupacji, a potwierdzone z chwilą, gdy na podstawie porozumienia, zawartego z Niemcami w Locarno, ustanowiona została zdemilitaryzowana zona nadreńska. Odkąd jednakże „drzwi i okna Francji”, jak je obrazowo określił Foch, wydane zostały z powrotem w ręce niemieckie, odkąd ostatnie okupacyjne oddziały alianckie opuściły granice Rzeszy (1930), a nade wszystko, odkąd Locarno zostało przedarte i zona nadreńska włączona do hitlerowskich, mobilizujących się Niemiec (1936), współdziałanie wojskowe Francji z jej sprzymierzeńcami na wschodzie załamywało się o zaporę zbyt rozciągniętych dystansów i za długiego, potrzebnego na ich przebycie czasu, a wskutek tego zamierzona pierwotnie i obiecana pomoc stawała się nieefektywna. Odnosiło się to w równym stopniu do Czechosłowacji, jak do Polski<sup>3)</sup>: oba kraje zdane zostały w głównej mierze na siły własne — w szczególności na pierwszy okres wojny; zaś Czechosłowacja, dodatkowo, na obronną wytrzymałość swych, założonych z pomocą francuską, północnych pogranicznych fortyfikacji.

Jednakże, po raz trzeci nastąpiła zmiana z chwilą, gdy w marcu 1938 Hitler najechał Austrię. Wówczas bowiem południowa, nieufortyfikowana granica Czechosłowacji została odsłonięta, a tym samym jej system umocniony można było obejść. Prózne więc są zachwyty, jakich dziś jeszcze nie szczędzi czeskiemu systemowi obronemu Wheeler-Bennett, posiłkując się

3) Wiadome jest, że Piłsudski, w swych kalkulacjach przyszłości, uważał moment zlikwidowania okupacji alianckiej Niemiec za przełomowy w ocenie znaczenia sojuszu francuskiego dla Polski. — Przytoczone powyżej porównania przedmości na Renie do „drzwi i okien Francji” użyte zostały przez Focha w niezapomniany dla obecnych, plastyczny sposób w ciągu słynnej, nieuzgodnionej z Clemenceau, mowy na zamkniętym posiedzeniu Konferencji Pokojowej, w przededniu wręczenia warunków Traktatu delegacji niemieckiej.

nawet dobranym umiejętnie dla Anglosasów materiałem propagandowym niemieckim. Na próżno Churchill bierze za dobrą monetę twierdzenie generała Haldera, że „w praktyce było niepodobiestwem dla armii niemieckich zaatakować Czechosłowację od południa”, a to rzekomo z powodu jednej tylko istniejącej tam linii kolejowej, oraz trudności zaskoczenia: — w rzeczywistości nie liniami kolejowymi poszedłby atak, a „zaskoczenia” nie potrzebował Hitler dla swej akcji we wrześniu 1938. Sama zresztą możliwość dywersji od południa stawała się moralnym elementem boju i cbezwładniała obrońców „czeskiej linii Maginota” na północy; podobnie jak w 1940 r. pod moralnym ciosem strategicznego przełamania pod Sedanem, okrażona od północy, padła prawie bez boju potężniejsza jeszcze, a będąca pierwowzorem tamtej, linia francuska. Faktem jest, że jak to stwierdził już ówczesny ambasador Francji w Berlinie, François-Poncet, jak to stwierdza ponownie teraz ambasador Łukasiewicz, obrona Czechosłowacji stała się, z chwilą dokonania Anschluss'u, beznadziejna. Ten to praktyczny punkt widzenia sformułował parokrotnie pod adresem rządu czeskiego Chamberlain — w sposób niewątpliwie oschły i bezwzględny, ale niemniej realny i prawdziwy.<sup>4)</sup>

Cóż w tych warunkach<sup>5)</sup> czyniło kierownictwo polityczne czeskie? — Wiadomo, że na długo przedtem i aż do samego Anschluss'u Benesz z zaciekłym uporem przeciwstawiał się wszelkiemu skonsolidowaniu Austrii i przywróceniu jej dynastii, co było równoległe do programu Niemiec i przyczyniło się walcnie do zdania Austrii na łaskę Hitlera. Nie wypominają tego Czechom historycy angielscy, co razi tym bardziej, że zarówno Namier i Bennett, jak Churchill, nie pomijają żadnej okazji, aby wypomnieć polityce polskiej jej rzekomą równoległość czy nawet uzależnienie od polityki i akcji niemieckiej. Wheeler-Bennett natomiast rozwodzi się nad „doskonałością zabezpieczenia przeciw agresji”, które, co prawda tylko „na papierze”, zapewnił Czechom „geniusz Masaryka i dalekowzroczność Benesza”. Zawarli tedy naprzód sojusz obronny z Francją (25 stycznia 1924); wzięli udział w inicjatywie i organizacji systemu środkowo-europejskiego, zwanego Małą Ententą (1921-24); uczestniczyli we wszystkich akcjach i formułach „zbiorowego bezpieczeństwa”, zasługując się z reguły wszelkim międzynarodowcom; wreszcie podjęli się, wcześniej niż inni, wątpliwego zadania „wprowadzenia Rosji z powrotem do polityki europejskiej”, a w szczególności do Środkowej Europy — najpierw w pokrywomych konszachtach 1920 roku<sup>5)</sup>, w końcu w

4) François-Poncet, p. 318; Łukasiewicz w „Spr. Międz. 1948, II, p. 27. Telegram Chamberlaina do Benesza, 27. IX. 48: „.....Bohemia would be overrun by the German Army and nothing which another power would do would be able to save your country and your people from such a fate. This remains true whatever the result of a world war might be...”

5) W liście Jana Masaryka do Stalina z 9 marca 1948, opublikowanym przez tygodnik szwajcarski „L'Illustré”, znajduje się ustęp poniższy: „.....W 1920, podczas kiedy wojska sowieckie zbliżyły się do Lwowa, ojciec mój

„traktacie wzajemnej pomocy” z 16 maja 1935. Sama wielość i różnorodność tych układów i zabezpieczeń — z Jugosławią i Rumunią przeciwko Węgrom i Habsburgom, z Rosją Sowiecką przeciw Polsce i może przeciw Niemcom, z Francją przeciw Niemcom, wreszcie z wszystkimi i na wszelki wypadek przeciw wszystkim możliwym niebezpieczeństwom — znamionowała słabość i niewiarę we własne siły. Gwarantowane przez tyłu, rządy Czechosłowacji czuły się uzależnione w zupełności od pomocy obcej.

Jest tedy rzeczą co najmniej wątpliwą, czy Czechosłowacja zamierzała się bronić. Faktem jest, że nie broniła się wcale i że, w odróżnieniu od Polski, nie biła się o swą niepodległość. Jakie były jej motywy i rachuby, jakie skłoniły ją do tego okoliczności, jest w gruncie rzeczą drugorzędną. Historycznie, można wiele wytłumaczyć i zrozumieć: nacisk, wywarty na nią w ciągu złowrogiego pół roku był nie tylko brutalny i bezwzględny, ale działał stopniowo, rozkładowo, rozbrajająco. W pewnej chwili, i to właśnie wtedy, gdy Hitler stał się groźący i napastliwy, naczelne autorytety Francji i W. Brytanii wezwały Czechosłowację, aby, będąc tak mała na mapie Europy, tak nieznacząca w obliczu wielkich narodów i potężnych państw, poświęciła się na ołtarzu powszechnego pokoju i kosztem swej całości i niezawisłości uratowała Zachód przed grozą wojny. Trudno więc wymierzyć, na ile odpowiedzialność za fakt niewalczenia obciąża obcy egoizm i perfidię, na ile zaś własną, czeską, ustępliwą słabość. Można co najwyżej notować poszczególne tej słabości etapy.

Zrazu więc, w pierwszym kryzysie z maja 1938, sądząc z pozorów, wydawało się, że to zarządzenia mobilizacyjne czeskie, w połączeniu z interwencją ambasadora brytyjskiego w Berlinie i osobistym listem Halifaxa do Ribbentropa spowodowały Hitlera do cofnięcia w ostatniej chwili napoczętego już skoku. W rzeczywistości, Hitler nie ustalił jeszcze wówczas swoich planów i wiadomości o dokonywującym się *Aufmarsch* u okazały się bezpodstawne. Wiadomości te pochodziły jawnie ze źródeł czeskich, a celem ich rozszerzenia mogło być tylko przekonanie świata, jak możnych ma Czechosłowacja protektorów-przyjaciół i jak dalece są oni gotowi przyjąć jej z pomocą. Skutek, jak wiadomo, był odwrotny: podjudził napastliwą mściwość Hitlera, przyspieszył jego ostateczne przeciw Czechom decyzje, zaś łatwowiernych Anglików skłonił do większej jeszcze ostrożności

(Prezydent Masaryk) i Edward Benesz wezwali waszego ambasora Mostowienkę celem złożenia mu doniosłej deklaracji; uprzedzali go, że z chwilą gdy armie rosyjskie zajmą Galicję Wschodnią, państwo nasze odstąpi Rosji czechosłowacką prowincję Rusi Przykarpackiej wraz z miastem Uzhorodem, a to w dowód naszej sympatii; oraz, że będziemy wówczas gotowi zawrzeć z wami traktat sojuszu...” List ten, nigdzie nie zdemontowany, a posiadający wiele cech wiarogodności, nie był dotychczas w publicystyce polskiej omawiany.

w angażowaniu się za Czechosłowacją<sup>6</sup>). Najpomysłowszą okazała się przy tym dyplomacja francuska p. Bonneta: jak to ujawnił teraz ambasador Łukasiewicz, sama bynajmniej nie poszła śladem Anglików i przezornie ukryła się za ich plecami w Berlinie; natomiast spróbowała, i to w sposób najformalniejszy, skłonić do takiej interwencji Rząd Polski. Gdyby się chwyt ten udał, odwołano by mściwość Hitlera od Czechosłowacji ku Polsce; gdy zaś Polacy odmówili, p. Bonnet uzyskiwał jeszcze jeden w rządzie skrzętnie przeciw nim gromadzonych argumentów i otwierał jeszcze jedną z tych „szczelin” w sojuszu z Polską, o których opowiadał Noëlowi, a które przygotowywał — na wszelki wypadek<sup>7</sup>).

Czyją inicjatywą była w istocie rzeczy misja praska Lorda Runcimana — arbitra czy mediatora w sprawie sudeckiej — kwestia ta jeszcze i dzisiaj pozostaje nierozstrzygnięta. Wprawdzie Wh. Bennett sądzi, zgodnie z tradycją ówczesną i z pozorami, że misję inicjowała dyplomacja brytyjska, w pierwszym rządzie N. Chamberlain, potem przyjęła ją, acz niechętnie, Francja, a wreszcie przyjął ją, pod naciskiem i moralnym przymusem, Benesz. Istnieje jednakże, pomimo wszystko, pewna wątpliwość: 26 lipca Chamberlain powiedział w Izbie Gmin, że misja została wysłana „w odpowiedzi na życzenie Rządu Czechosłowacji”. Otóż nie wystarczy, jak to czyni historyk angielski, nazwać to oficjalne oświadczenie prawdomównego na ogół premiera „największym oszustwem jakie w tej Izbie dało się słyszeć”; należy całą sprawę, bądź co bądź zagadkową, dalej badać. Sugestia wysłannika angielskiego do Pragi i ponowna próba pozyskania w ten sposób protekcji brytyjskiej jest całkiem w stylu wybiegów politycznych Benesza. Nie potrzebowała ona wcale przechodzić drogą urzędową: istniały przecież inne, niemniej skuteczne związki i kanały między organizatorami republiki czechosłowackiej a politykami Londynu i o tych szczególnie intymnych związkach księżka Wheeler-Bennetta nie jedno przynosi świadectwo.

Badanie tajemnych zakamarków i podwójnych chwytów polityki Benesza wydaje się tym bardziej wskazane, że istnieje inny przykład, w którym wątpliwość zmienia się w uzasadnione podejrzenie. Chodzi o słynny telegram posła francuskiego w Pradze z 20 września. Telegramem tym p. Lacroix donosił do

6) Tzw. „Zielony” plan operacyjny, mający na celu zawojowanie Czechosłowacji, wytknięty został dopiero w dniach 20-28 maja, czyli w kilka dni po kryzysie. Poprzednio kwietniowa rozmowa z Keitlem przewidywała jedynie ogólnikowo polityczne wypadki zmierzające do konfliktu. Według Bonneta cyt. u Wh. Benneta p. 65 majowy manewr czeski był „balonem próbnym”. Tamże, p. 56, o stwierdzeniu naocznym przez att. wojsk. płk. MacFarlana braku wszelkich przygotowań niemieckich do inwazji. Natomiast Chamberlain jeszcze w liście z 28. V. (Feiling p. 354) utrzymuje, że Rząd niemiecki poczynił wszelkie przygotowania *for a coup*”.

7) Łukasiewicz l. c., p. 38 nn.: Wh. Bennett twierdzi wciąż jeszcze, p. 57, że amb. François-Poncet interweniował w Berlinie, nie dokumentując swego twierdzenia; Bonnet zaś, szczegółowo opisując przebieg dni 19-21. V., p. 128, nie mówi o takiej interwencji.

Paryża, że premier Hodža, „w porozumieniu z Prezydentem Beneszem”, deklaruje przyjęcie załatwienia sprawy sudeckiej, uzłożonego przez Chamberlaina z Hitlerem w Berchtesgaden, jeżeli rząd francuski oficjalnie zadeklaruje, że w razie wybuchu wojny czesko-niemieckiej „nie ruszy się”, a to z powodu jego własnych zobowiązań wobec Anglii. „Przywódcy Czechosłowacji, dodawał poseł, potrzebują tego pokrycia (*cette couverture*), aby móc przyjąć propozycję francusko-brytyjską. Są oni pewni armii, której szefowie oświadczyli, że konflikt odosobniony z Niemcami równałby się samobójstwu. Premier oświadcza, że tylko ten krok, przez niego sugerowany, może ocalić pokój...”

Nic dotychczas nie zdołało zachwiać ani podważyć tego kapitalnego świadectwa<sup>8)</sup>. Żadne kunsztowne hipotezy Wh.-Bennetta — że poseł „nie zrozumiał” słów premiera, że nadał niektórym z nich niewłaściwą „emfazę”, że może wreszcie sam Hodža, „jako stanowczy przeciwnik akcji, w której by Rosja stanąć miała... u boku Czechosłowacji”, intrygował przeciwko Beneszowi — nie mogą zmienić znaczenia słów odpowiedzialnego dyplomaty donoszonych bezpośrednio po rozmowie z szefem rządu. Co więcej, o podobnych kapitulacyjnych tendencjach Pragi donosił p. Lacroix i przedtem: już 15 września, przed wszelkim „planem anglo-francuskim”, w chwili gdy Chamberlain leciał dopiero do Berchtesgaden, Benesz wznawiał w rozmowie z nim pomysły Masaryka z czasów Konferencji Pokojowej w Paryżu, mówił o odstąpieniu dobrowolnym Rzeszy części ziem sudeckich i określał nawet trzy regiony pograniczne, nadające się do odstąpienia. Albo więc poseł Lacroix był w obu wypadkach nieprzypadkowym człowiekiem i nieodpowiedzialnym dyplomata, na co nie ma żadnych danych, albo też kapitulacja przed Niemcami była z góry przewidziana przez samych „przywódców czeskich”. *Tertium non datur*.

W konkluzji stwierdzić należy, że Czesi, postawieni w rozpaczliwe położenie, w obliczu bezpośredniej groźby agresji niemieckiej, pod brutalnym naciskiem brytyjskim, wobec niedotrzymania traktatowych zobowiązań przez Francję, pozbawieni zresztą faktycznie, po *Anschluss*’ie Austrii, możliwości obronnych, skapitulowali i bić się nie tylko nie mogli, lecz i nie chcieli. W końcu — o niepodległość swojego kraju nie bili się.

Poruszać te sprawy dzisiaj jest rzeczą przykrą, a w stosunku do Czechów, dręczonych teraz w tym samym co Polska jarzmie

8) Wheeler-Bennett p. 121 sq., 115 n.; Bonnet p. 246 sqq., 236 sq. — Tłumaczenie Wh. B., że Lacroix nie zrozumiał Benesza i w rozmowie z 15. IX. reminiscencje sprzed 19 lat wziął za aktualne sugestie nie wytrzymuje krytyki. O rozmowie z Hodżą z 20. IX. Lacroix raportował dwiema drogami: telefonicznie i sztyfrem, co czyni jakiegokolwiek przekręcenie treści i znaczenia rozmowy tym mniej prawdopodobne. Hodža nigdy wyraźnie nie zdementował relacji Lacroix. Wobec wzmianki w jego telegramie — „*Le Président du Conseil fera la même déclaration au Ministre d'Angleterre*” — cała ta kontrowersja zostanie definitywnie rozstrzygnięta dopiero po ogłoszeniu dokumentów z archiwów angielskich i w szczególności telegramów posła brytyjskiego w Pradze, B. Newtona.

— nieomal bolesną. Staje się to konieczne z chwilą, gdy dla pewnej publicystyki historycznej tendencyjna apologetyka Czechosłowacji zaczyna służyć za odskocznnię dla niepohamowanego osądzenia Polski i Polaków. „Opuszczony w 1938 — pisze p. Wh.-Bennett — rzetelną demokrację, lojalną wobec Ligi Narodów, niezmordowaną obrończynię zasad zbiorowego bezpieczeństwa, W. Brytania i Francja w 1939 r. złożyły decyzję o pokoju i wojnie w ręce państwa, rządzonego przez tępą i niekompetentną oligarchię... która przez lat osiemnaście uprawiała po kolei zajazdy na Niemcy, Rosję, Litwę i Czechosłowację, w rezultacie niemało zagarniając ziem...” Podobnie Churchill: „...był jakiś sens walczyć o Czechosłowację... gdy odrzucono usługi 35 czeskich dywizji przeciwko niegotowej jeszcze armii niemieckiej... Teraz (w 1939) dwie zachodnie demokracje zastawiły swą egzystencję za terytorialną integralność Polski... tej samej Polski, która pół roku przedtem, z żarłocznością hieny, uczestniczyła w niszczeniu i rabowaniu państwa czechosłowackiego...” W legendzie historycznej istnieje tedy nadal Czechosłowacja z 35 rwącymi się do boju dywizjami, z niezwykłym pierścieniem fortyfikacji — którą tylko jawna zdrada ministra Bonnetta i pokojowa kazuistyka premiera Chamberlaina odwiodły od walki na śmierć i życie. Legendy są od dawna, nie tylko w uczuciach mas, lecz także w imaginacji pisarzy, silniejsze od prawdy. W rzeczywistości bowiem kraj był podważony wrogością ponad czwartą część jego mieszkańców<sup>9)</sup>, jego potężne, zbudowane z pomocą Francji, fortyfikacje okrążone już były na jesieni 1938 od austriackich na południu tyłów, a „trzydzieści pięć dywizji” miały na czele dowódców, którzy wojnę uważali za... „samobójstwo”.

Natomiast Polska — ta rzeczywista, a nie zmyślona przez byłych angielskich aliantów — nie „zagarniała obcych ludów ani ziem”: zyskała zaledwie część przyznanego jej pierwotnie w Wersalu i należącego jej etnograficznie Górnego Śląska; straciła w spreparowanych przez pro-niemiecką intrygę plebiscytach większą część Śląska i Mazury; gdy walczyła o swe istnienie przeciwko pierwszej fali zaborczego komunizmu, wntczas właśnie, krzywdzącą decyzją Konferencji Ambasadorów (28-go lipca 1920) wydarła jej Śląsk Cieszyński; potem, przewyżczając największe trudności i omijając zastawione już na nią siła, utrzymała przy sobie należne jej Wilno, które sami Niemcy „perłą Korony Polskiej” nazwali; natomiast własnowolnie oddała polską część dawnych Inflant z Dyneburgiem w ofercie dla niepewnej przyjaźni Łotwy; wreszcie, samą wojnę z najazdem 1920 roku prowadziła osamotniona i po jej wygraniu okazała umiar, a granice ryskie z Rosją sowiecką wytknęła rozumem stanu i na podstawie porozumienia, nie zaś aktem gwałtu, ani

9) Ludność Czechosłowacji w 1934 wynosiła według źródeł angielskich 14,7 mil., w tej liczbie Niemców — 3,2, Węgrów — 0,7, Rusinów — 0,55, Polaków — 0,3, 0,2; mniejszości narodowe liczyły więc, prócz Słowaków ok. 3,7 mil. czyli 31,8%. W Polsce, prócz Żydów — ok. 20%.

wykorzystaniem militarnej przewagi. Konflikt z Litwą załatwiony został w sposób stanowczy ale polubowny, i poszukiwacze win Polski w rodzaju profesora Namiera naśmiewają się do dziś dnia nad tym jedynym w swoim rodzaju „ultimatum”, które nie domagało się żadnych dla niej korzyści, lecz tylko — nawiązania normalnych, sąsiedzkich stosunków. Gdzież więc jest owa zaborczość polska, rzekomo wyciągająca swe drapieżne szpony po dobro niewinnych sąsiadów? I stąd jest wzięta fantazja o Polsce i jej rządach, w ciągu dwudziestu lat niepodległości marzących tylko o „terytorialnym rozszerzeniu państwa”? — aby już nie wspomnieć o zdumiewającym u Anglika i wojennego sprzymierzeńca twierdzeniu, że Polska czyhała na... ziemie niemieckie! Nie poznajemy siebie w tym krzywym zwierciadle.

Ale nawet legendy najmisterniej osnute nie zmieniają wymowy faktów. Nic nie podważy podstawowego znaczenia wystąpienia Polski w 1939. W rok niespełna po kapitulacji czeskiej stawiła ona czoło najeźdźcy, pierwsza nie poszła na ugodę, ani na targ o ustępstwa. Zastawiła własnym ciałem dalszy pochód Hitlera na Europę — i w nierównym boju, będąc w istocie sama, zginęła. Taki jest jej bilans ogólny — i dopóki istniała jako państwo niepodległe i jako siła zbrojna, nikt nie śmiał nastawać na jej dobre imię, a Churchill i Roosevelt znajdowali się w pierwszym rzędzie jej pochlebców. Jasne jest przy tym, że gdy dawano Polsce gwarancję brytyjską — ostatniego dnia marca 1939 — istniała jeszcze, po przykładzie czeskim, niepewność: czy Polska okaże się równie próchnem, jak dotychczas wszyscy inni? — W ten sposób tedy znamienne ostrożny — wbrew opinii o lekkomyślnym oddaniu w ręce Polski decyzji o pokoju i wojnie — formułował Chamberlain ofiarowywaną jej gwarancję: „w wypadku ... zagrożenia niepodległości Polski ... któremu Polska uzna za rzecz dla siebie żywotną przeciwstawić się własnymi narodowymi siłami...” Jakaż tedy błaża przyczyna, której lekkomyślnością byłoby zawierzyć, mogła spowodować opór Polski? Jakie „oligarchie” czy „junty” miałyby sprowokować wojnę, której Polska pierwszą padłaby ofiarą i przymusić naród polski do rzucenia swej egzystencji na szalę? Kiedyż to ci, co dawali „gwarancje”, co proponowali zaraz potem wzajemne zobowiązania na śmierć i życie pomiędzy Zachodem a Polską, kiedyż mieli nam wreszcie przyjść z pomocą, jeżeli nie wówczas, gdy sami zaryzykujemy wszystkie nasze „narodowe siły”?<sup>10)</sup> —

10) N. Chamberlain działał w dniu 31 marca na podstawie dwóch bezpośrednio poprzedzających doświadczeń: Kapitulacji Haczy 15. III. i podpisania przez Rumunię 23. III., pod ultimatywnym naciskiem, układu handlowego z Rzeszą.

Oświadczenie Chamberlaina w Izbie Gmin 31. III.: „In the event of any action which already threatened Polish independence, and which the Polish Government accordingly considered it vital to resist with national forces...” etc. W sześć dni potem, gwarancja jednostronna została zastąpiona bilateralnym zobowiązaniem, a raczej uzupełnioną równoległym zobowiązaniem Polski „to render assistance to H. M.'s Government under the same conditions”, Chamberlain w Izbie Gmin 6. IV., po rozmowach odbytych w Londynie z Beckiem.

W każdym razie, wątpliwości tych nie było, ani we wrześniu 1939, ani w czasie bitwy o Londyn, ani w dobie Monte Cassino, Arnheim czy Falaise. Pojawiły się dopiero po Jałcie, gdy Polskę zdradzono, gdy wydano ją Moskwie i gdy, od tego czasu, można już było bezkarnie załatwiać jej kosztem własne międzynarodowe rachunki.

W tym chwalebny bilansie polskiej polityki zagranicznej w ciągu dwudziestolecia niepodległości, jest jedna pozycja wątpliwa: jest to sprawa cieszyńska. Na niej też ześrodkowały się nie tylko krytyki, lecz moralne zarzuty i polityczne napaści. Mniejsza już przy tym o wyszukane wyrażenia i ferowane z góry, bez rozpatrzenia sprawy, wyroki: „dwuznaczność” i „współnictwo z Hitlerem”, „żarłoczność”, „apetyty hieny” i „odium szkalaka”. Ale, w szczególności w obszernej analizie monachijskiego kryzysu przez londyńskiego historyka, sformułowane są przeciwko polityce polskiej dwa argumenty rzeczowe. Beck, twierdzi Wheeler-Bennett, „był beznadziejnie wywieziony w pole przez fortele Hitlera”, „dał się zwabić na przynętę Cieszyna”, po czym już tylko „pomysłowo lawirował... kręcił i płatał się...” Powtórnie, Beck działał od początku w całej tej sprawie za „poduszczeniem Hitlera”, jako jego „wierny współnik”; wciągnięty w zasadnicze niemieckie plany na Ukrainę, współdziałał w ciągu monachijskiego kryzysu z Rzeszą; wobec czego, jak to niejednokrotnie, śladem sowieckich podszeptów i podejrzeń francuskiego *deuxième bureau*, insynuując autor, Zachód musiał się liczyć z wojną, w której po jednej stronie stałaby Francja i W. Brytania, w obronie Czechosłowacji, w ewentualnym przymierzu ze Związkiem Sowieckim, po drugiej zaś Niemcy i... Polska.

Otóż, polityka Becka odznaczała się sztywnością zasad i chłodną rezerwą, ale nigdy naiwnością ani kręactwem. Stanowiskiem Polski była wierność sojuszowi z Francją, równowaga układów o nieagresji, zawartych z Niemcami i Rosją Sowiecką, oraz załatwianie najbliższych i sąsiedzkich zagadnień we własnym zakresie. Taka być miała osławiona „samodzielność” polityki polskiej. Jej kierownicy zdawali sobie w pełni sprawę z jej niebezpieczeństw: nie mieli iluzji co do możliwości i istotnych tendencji Francji i dlatego dążyli konsekwentnie do rozszerzenia stosunku umownego na zachódzie na Anglię; nie mieli także wiele złudzeń co do „przyjaźni” czy to Niemiec, czy Sowieców i nie wiazali się ani z jednym, ani z drugim z tych państw, w przekonaniu, że przez takie związanie wywołałoby porozumienie ich obu przeciw i kosztem Polski. Uważali położenie polityczne Polski za równowagę niestałą; szukali w załatwieniu problemów doraźnych, a przede wszystkim w umniejszaniu tarć granicznych, ustaleniu przynajmniej tymczasowych. Beck nie dał się skusić na hitlerowskie plany na Ukrainę, ani na sowieckie pokusy „wspólnego frontu”, który był równoznaczny z wojną. Celem jego było zachowanie pokoju, tak potrzebnego Polsce; środkiem — do czasu — „ani całą bliżej do Berlina, niż do

Moskwy", środkiem na dalszą metę — szukanie przeciwwagi w światowej potędze brytyjskiej.

W sprawie Cieszyna Beck miał niewątpliwie — historycznie i politycznie — słuszność. Wydarto Polsce Śląsk Cieszyński i Jaworzynę, wykorzystując złą chwilę Polski i łamiąc tak niedawno proklamowane zasady własnej woli ludności. Pomimo wielokrotnych interwencji, rad, ostrzeżeń, Czesi nie udzieliли tamtejszym, wysoce wyrobionym i politycznie uświadomionym Polakom praw narodowych ani kulturalnych, i stan mniejszości polskiej nie różnił się od położenia wydziedziczanych Węgrów, podległych przyniatającym zarządzeniom czeskiego centralizmu. Francuzi jedni tylko zdolni byli wyrzucić wpływ na Czechów i skłonić ich do ustępstw na rzecz ich współobywateli Polaków: jednakże nigdy tego nie uczynili. Beck uprzedził za wcześnie, od pierwszych chwil sudeckiego kryzysu, zarówno Pragę jak Paryż o stanowisku i o żądaniach Polski i zakomunikował im swą sztywną doktrynę „największego uprzywilejowania”: każde ustępstwo przyznane mniejszości niemieckiej musiało być, zdaniem Rządu polskiego, udzielone również mniejszości polskiej. Czy można było mniej oczekiwać od pobratymczego sąsiada? Te ostrzeżenia i te zapowiedzi nie zostały wzięte pod uwagę i Francja — sojusznik Polski — uchyliła się od proponowanych jej a przewidzianych traktatem przymierza rozmów w tym przedmiocie<sup>11</sup>).

W tych warunkach nastąpił zjazd monachijski: oficjalne, na najwyższym szczeblu tej nowej „Rady Czterech”, zignorowanie Polski. Co gorsza, nastąpiła próba narzucenia Polakom tejże samej metody, jaką narzucono Czechom. Załatwienie spraw, dotyczących mniejszości polskiej, podobnie jak węgierskiej, było ewentualnie zarezerwowane do arbitrażu czterech wielkich mocarstw. Beck pojął od razu, podobnie jak rozumieł to wówczas Chamberlain i Daladier, że tym sposobem załatwienie postulatów polskich jest odłożone i wobec braku zainteresowania Francji i W. Brytanii dla spraw Europy Wschodniej, wynikłego z umów monachijskich — uzależnione od dwóch mocarstw pozostałych, a więc w gruncie rzeczy powierzzone Hitlerowi: tak też właśnie stało się ze sprawą mniejszości węgierskiej. Albo więc Polska padłaby ofiarą komedii arbitrażu, albo też zdana by została na łaskę Hitlera. Wtedy dopiero Beck wystąpił bezpośrednio z ultimatywnym, a trzeba powiedzieć brutalnym żądaniem wprost do Czechów. W tym też świetle *démarche* Becka skierowana już była nie przeciw Czechosłowacji,

11) Szczegóły rozmów polsko-francuskich u Luśasiewicza 1. c. p. 41-45, specjalnie zaś deklaracja Becka z 24. V.: „potwierdzam, podobnie jak 7. II. 36, gotowość polską do wypełnienia zobowiązań sojuszniczych, w ramach istniejących umów, a także gotowość do przyjacielskiego omówienia wszelkich nowo wynikających zagadnień przy wzajemnym uwzględnieniu interesów Polski i Francji”. Ta deklaracja, kłam zadająca odnawiającemu się działaniu pomawianiu Polski o zamiar stanięcia w wojnie po stronie Niemiec, została opuszczona przez Bonnetta, I p. 132, w cytowanym przez niego dokumencie. Naturalnie, fałszując teksty, można dowieść każdej tezy.

a przeciw Niemcom. W szczególności położenie strategiczne Polski w stosunku do Rzeszy, tak jak przedstawiało się ono po zajęciu przez nią rozszerzonego pasa ziem sudeckich, wymagało bezwzględnie zajęcia przez Polaków stacji węzłowej w Boguminie, zanim zająć mogli ją Niemcy<sup>12</sup>). Sam zaś sposób<sup>13</sup>) przeprowadzenia aneksji i rozgraniczenia opartego o dane etnograficzne był, wbrew temu co twierdził historyk angielski, dokonany z umiarem i ścisłym obiektywizmem.

Polska więc i kierownik jej polityki zagranicznej mieli słuszność. Jednak w polityce, zarówno jak w strategii, dane pociągnięcie powinno być nie tylko słuszne, ale przedsięwzięte we właściwej chwili i z uwzględnieniem istniejących okoliczności. Słuszność polska w dniu 1 października 1938 zawisła w próżni. W praktyce Beck, mając po swojej stronie dobrą sprawę, nadał jej pozory niesprawiedliwości; grając już stawkę przeciw Hitlerowi, wywołał wrażenie, że jest jego współnikiem; będąc gotowy, gdy przyjdzie do ostateczności, stanąć, — tak jak to uczynił w marcu 1936, jak to uczyni znowu w sześć miesięcy po Monachium, w pierwszych dniach kwietnia 1939 — po stronie sprawiedliwości wraz z państwami Zachodu, wzbudził podejrzenie, że mógłby stanąć po stronie Hitlera. Jednym słowem, osiągnął wprowadzić swój cel, ale użył do tego niewspółmiernych środków. Broniąc dobrej sprawy, zrobił z niej złą. Jego postępowania w tym, podobnie jak w niektórych innych wypadkach, nie zrozumie nikt, kto nie znał jego przeszłości w artylerii konnej i w sztabie Piłsudskiego: grała w nim kawalerska przekora, a na codzień lubił nosić maskę cynizmu. I jeden, i drugi z tych obyczajów nie był rozumiany, nawet we własnym społeczeństwie — i Beck, ze swym zimnym idealizmem i upartą wolą nie był nigdy popularny ani doceniony: tym bardziej był tedy przekorny.

Jego postępowanie w sprawie Śląska było politycznym błędem. Błędu tego nie usprawiedliwia przeświadczenie Becka, zresztą trafne, że do wojny z powodu kryzysu sudeckiego nie dojdzie, oraz poczucie, że z kolei Polska wciągnięta zostanie do rejestru matactw międzynarodowych i ustępstw czynionych cudzym kosztem. Obawiał się, że i w dalszym ciągu pokój będzie okupowany rzucaniem pod nogi Hitlera nowych ofiar na wschodzie; liczył się z następnymi próbami gry dyplomatycznej, rewidującej traktaty, tym razem z uszczerbkiem Polski. W tym

12) Należy tutaj zastrzec jedno: dotychczas nie jest rzeczą wiadomą, czy i jakie pertraktacje w sprawie czeskiej prowadzone były we wrześniu 1938 między Berlinem a Warszawą; w szczególności, nie jest wyjaśnione, czy ambasador Lipski był przyjęty przez Hitlera w okresie między Berchtesgaden (15. IX.) a Monachium (28-9. IX.). Odnosne notatki Lipskiego, Spr. Międzynar., 1947, 3, nie są wyczerpujące. Dopóki te fakty nie są ustalone, sąd o całym epizodzie po-monachijskim nie może być ostateczny.

13) Por. Wh.-Bonnett, p. 338, według którego władze polskie, przy wykonywaniu zawartej umowy i zajmowaniu przyznanego terytorium daleko wykroczyły poza ułożone warunki: „l'appetit vient en mangeant...” etc. Autor nie podaje żadnych źródeł ani podstaw dla tego zupełnie nowego zarzutu.

się, niestety, nie mylił. Z każdą obecną publikacją, przybywają nowe materiały do oceny ówczesnych niebezpieczeństw, grożących Polsce, jej granicom, a nawet jej egzystencji. Już nazajutrz po gwarancji, udzielonej Polsce w parlamencie brytyjskim, dnia 1 kwietnia, naczelny organ *City* i stały wskaźnik różnych *remous d'opinion*, *The Times*, pisał, że gwarancja nie jest bynajmniej równoznaczna ze ślepym utrzymaniem status quo, subtelizował rozróżnienie między „niepodległością” a „integralnością”, stwierdzał, że W. Brytania nie gwarantowała bynajmniej każdego cała istniejącej granicy polskiej i sugerował nawet pewne „niezbędne wyrównania”<sup>14</sup>). Od tego czasu uzyskaliśmy bardziej jeszcze miarodajne zaświadczenia uczestników dziejowego dramatu. Bonnet w najnowszej swej książce, przypisując słusznie znaczenie rozstrzygające dacie 15 marca, — zamachowi Hitlera na Pragę — wyznaje otwarcie, że aż po ten dzień „można było jeszcze żywić nadzieję”, iż cztery mocarstwa monachijskiego zespołu dojdą, wraz z Polską, do „wspólnego uregulowania spornych zagadnień europejskich, takich jak Gdańsk i Korytarz”. Stojąc w tym czasie na skrzydle bezkompromisowych Winston Churchill uważa teraz, że najdogodniejszym dla Anglii wyjściem było wyrównanie różnic między Francją a Niemcami, a to mianowicie przez ustępstwa dla Niemiec na ich wschodnich granicach, czyli kosztem Polski. Zaś Wheeler-Bennett, który niejedno w tych czasach wiedział i słyszał, konkluduje, że było przecież „o tyle łatwiej” użyć, dla programu ugody z Niemcami, platformy polskiej! Zaś obok Francuzów i Anglików, wybitny dyplomata niemiecki, krytykując niedawno posunięcia polityczne Hitlera, wskazuje na to, ileż łatwiejszym do przełknięcia dla Zachodu byłoby rozpoczęcie jego działań od akcji, skierowanej przeciw Polsce<sup>15</sup>).

Ta koniunktura niepewności trwała dla Polski do ostatniej chwili, aż prawie do samego wybuchu wojny. Czymże innym były bowiem, między majem a sierpniem, rokowania francusko-brytyjskie z Rosją Sowiecką, jeśli nie tym ciągle grożącym wyborem: pomiędzy gwarantowaniem Polski, a zredukowaniem jej na rzecz Rosji, między oferowaniem Polsce pomocy, a zostawieniem jej własnym losom? W umysłach wielu polityków zachodnich ciągle wydawało się dogodniejsze poświęcić Wschód imperializmowi wschodniemu, to znaczy po prostu przywrócić stan rzeczy sprzed 1914. Obalenie dzieła Traktatu Wersalskiego na Wschodzie miałoby ten awantaż, że restytuowałoby granice

14) Artykuł w „*Times*” był, jak się okazuje, odzwierciedleniem poglądów N. Chamberlaina: Feiling, p. 403, podaje jego własne wypowiedzenie z początku kwietnia: „*What we are concerned with, is not the boundaries of States, but attacks on their Independence.*”

15) Bonnet, II p. 158; Churchill p. 30; Wheeler-Bennett p. 375; Erich Kordt p. 135 sq. — Poprzez liczne wspomnienia i opracowania historyczne tej epoki przewija się jakby żal, że Hitler, nazajutrz po monachijskiej ugodzie, nie zwrócił się zamiast Pragi przeciw Polsce i nie postawił żądań, które wobec ogólnego kapitulacyjnego usposobienia, a także wobec niepopularności polityki Becka, miały znaczne szanse urzeczywistnienia.

wspólną niemiecko-rosyjską, a z nią razem tarcia między Niemcami a Rosją, w gruncie rzeczy dla Zachodu pożądane i korzystne. Na to wszystko musiał pilną uwagę zwracać Beck: nie mógł on angażować się przedwcześnie i całkowicie przeciw Hitlerowi, zanim ostatnia nadzieja na pokojowe ułożenie nie wygasła, zanim zobowiązania brytyjskie nie przybrały formy ostatecznej i nieodwołalnej. A i wówczas jeszcze, jak się teraz okazuje, niebezpieczeństwo nie było skończone: owszem, tylko się pod życzliwymi radami dawany Polsce niepropokowania, niemobilizowania zawczasu, ciągnęło się i trwało nieprzerwanie aż do popołudnia 2 września. Francuski minister spraw zagranicznych opisuje bez skrupułu, nawet z samochwałą, swoje próby ratowania pokoju do ostatniej chwili i wszelkim możliwym sposobem, co w praktyce oznaczało poświęcenie Polski. Niecierpliwi się on raz jeszcze na Becka, zarzucając mu, zresztą niesłusznie, celową zwłokę w wysłaniu „pełnomocnika” do Berlina. A Churchill mówi nam o swoich obawach „ostatnich tygodni... że W. Brytania cofnie się przed wydaniem wojny w razie jeżeli Niemcy zaatakują Polskę”; po czym podaje swój list do premiera Chamberlaina z 2 września, w którym wspomina o tajemniczych usiłowaniach „ostatniej chwili... utrzymania pokoju” — wtedy, gdy już pożary zapalały się w Warszawie, gdy Polska krwawiła w śmiertelnym boju. Jeżeli więc Beck „lawirował”, to tylko w pełnym poczuciu odpowiedzialności za niepewny los Polski, wszystkimi siłami chcąc ją ustrzec przed izolowaniem<sup>16</sup>).

Wszyscy popełniali błędy w tym smutnym czasie i zadaniem historyka nie jest oczyszczać jednych, a oczerniać innych, tym mniej zaś głosić chwalebne tych, co zyskują powodzenie w efemerycznej dziejowej chwili. Zadaniem historyka nie jest deptać poniżonych, a wynajdywać moralne usprawiedliwienie dla powodzenia — takim było zadanie i obowiązek panegirystów XVII i XVIII wieków. Powodzenie jest gwiazdą zawodną i niestałą, jak o tym wielokrotnie przekonały dzieje. W perspektywie obecnej największy błąd popełnił Hitler, który, jak się okazuje, jeszcze w dniach 28-29 sierpnia mógł, przez pozory umiarkowa-

16) Wh-Bennett, p. 371, pisze o Becku: „... w trakcie swych peregrynacji pogwałcił większą ilość zasad postępowania i mógłby być nawet pozwany z oskarżenia o międzynarodowe korsarstwo i pieniactwo, a w końcu zapłacił się w swe sieci...” Do tego ustępu, już nie będącego wzorem dobrych obyczajów ani „zasad postępowania”, autor dodaje przypisek, zdumiewający w książce angielskiej, gdzie pewien *standart* moralny dotychczas obowiązywał. „Po militarnym rozgromie Polski, pisze Wh-Bennett, ptk. Beck przekroczył granicę Polski do Rumunii. Tamże zmarł w sanatorium w 1944.” Trudno o obrzute skupienie twierdzeń nieprawdziwych: Beck przekroczył granicę rumuńską jako członek Rządu polskiego, ewakuowanego na skutek wkroczenia armii sowieckiej do Polski; internowany na żądanie Hitlera przez Rząd rumuński, po nieudanej a zapewne zdradzonej próbie ucieczki, osadzony został w izolowanym i strzeżonym ściśle domu, gdzie zmarł, nie uzyskawszy — również pod naciskiem niemieckim — prawa przeniesienia się do sanatorium. Jedynie tylko jakaś osoba nienawista lub też mafijna zemsta mogły podyktować słowa tak nieprawdziwe i oczerniające o człowieku, którego głównym dziełem życia był sojusz z Wielką Brytanią.



nia, izolować i osaczyć Polskę. W świetle perspektyw jutra, cyniczne kalkulacje Stalina mogą się okazać równie wielkim błędem, jakim już dzisiaj okazał się jego pakt z Hitlerem. I w coś się obróca wtedy, nazajutrz po zmianie losów, próżne chwały? — Zadaniem historyka jest badać, czy kroki i działania polityków opierały się na trafnym rozeznaniu rzeczywistości i czy odpowiadały interesom i dążeniom własnych społeczeństw. Z takiego tylko stanowiska można sprawiedliwie ocenić i krytykować politykę Becka. W każdym razie pamiętać należy: przez swą dyplomatyczną wytrzymałość doprowadził w kwietniu 1939 do zaangażowania się Anglii; przez swój umiar i uniknięcie manowców prowokacji przetworzył to zaangażowanie w aktywny sojusz; mową 5 maja pierwszy powiedział Hitlerowi czynne „nie pozwalam”. Zaś naród polski w tym momencie uznał go za wyziciela swej woli, poszedł za nim, nie uląkł się i w odróżnieniu od innych — błł się o swoją egzystencję. Co w boju tym stracił, wiemy już wszyscy; co zyskał w ostatecznym rachunku — tylko przyszłość pokaże.

W powodzi lekkomyślnych osądów, ignoranckich niezrozumień i tendencyjnych fałszów, nic może nie jest bardziej uderzające jak przypisywanie Polsce niepodległej rządzenia się ślepyimi, uczuciowymi kompleksami. Według Churchilla, w wojnie 1920 Polacy okazali „krwawą mściwość”. Według Wheeler-Bennetta, Polska była „przez wieki całe rozdarta pomiędzy nienawiść do Berlina a nienawiść do Moskwy”; a dalej — „niezdolna była wybrać jednej spośród tych dwóch tradycyjnych nienawiści (*traditional hatreds*)”. Próby porozumień z Niemcami przypisuje tenże autor „ślepej nienawiści do Rosji”. W tych z gruntu fałszywych określeniach współczesnej polityki polskiej brzmi jakaś nuta dawno nieaktualnych, romantycznych lektur, echo jakiejś piosenki powstańczej, zarażającej swą goryczą tak wrażliwą kiedyś na krzywdy Polski opinię Zachodu. W rzeczywistości to echo i ta piosenka — to dawno przebrzmiałe głosy, a społeczeństwa dzisiejsze, w tej liczbie także i polskie, innymi rządzą się kategoriami. Nie było w Polsce 1920 roku nienawiści do Rosji; było to samo, co w Anglii w dwadzieścia lat potem — pasja własnej obrony. Nie było w przede dniu nowej rozprawy o śmierć i życie — w 1938-39 — rządzenia się w „wyborze” ślepyim uczuciem. Było trzeźwe i słuszne rozeznanie, że oba niebezpieczeństwa dla Polski są równe, że więc wyboru nie było i nie ma. Było też w postępowaniu Polski to, czego Anglikom po dziś dzień brak: znajomość wschodniej Europy i spraw rosyjskich, lepsza o nich informacja i sąd bardziej chłodny i rzeczowy, niezabarwiony iluzjami o Rosji, nie od dzisiaj pokutującymi w umysłach angielskich. Kto się mylił? — Teraz, w samym zaraniu 1949, wydaje się, że ostrzeżenia i rady polskich czynników kompetentnych posiadały swą wagę i swe znaczenie i nie powinny były zostać pominięte i zlekceważone.

Na historię tych groźnych czasów i ich tragicznych omyłek — jeszcze jest czas. Szersze trzeba otworzyć horyzonty, głębiej

należy sięgnąć w przemiany, dokonywujące się w zbiorowej naturze ludzi, aby zrozumieć i rozumienie móc przekazać innym. Historię należy pisać *sine ira*, inaczej, jak każda publicystyka, przestanie ona jutro istnieć. I lepiej jest pisać ją bez uprzedzeń i bez złudzeń przemijającej chwili.

Michał SOKOLNICKI  
Ambasador R. P.

## „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym  
tygodnikiem społeczno-religijnym  
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>

C.C.P. 4955-03

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY  
I INSTYTUTU LITERACKIEGO  
NA W. BRYTANIĘ JEST

## „GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą  
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać  
się do wymienionej firmy

## Archiwum polityczne

### Konferencja Brukselska

Konferencja „Ruchu Europejskiego” w Brukseli w dniach 25 — 28 lutego 1949 roku, była pierwszym wystąpieniem masowym „Ruchu” od chwili powołania do życia uchwałą, przyjętą również w Brukseli dn. 25 października, 1948. Ta z kolei opierała się na rezolucji „kongresu europejskiego” zwołanego do Hagi w maju 1948 r. przez „Międzynarodowy Komitet Koordynacyjny Ruchów o Jedność Europy”. „Koordynacja” w sposób organiczny i bez protestów z którejkolwiek strony przerodziła się w „organizację”. Pozostał po niej znak widomy w składzie Komitetu Wykonawczego Ruchu, który obejmuje przedstawicieli stowarzyszeń, które objęte były w Hadze koordynacją. Są to obecnie: Conseil Français pour l'Europe Unie, Ligue Economique de Cooperation Européenne, Mouvement Socialiste pour les Etats Unis d'Europe, Nouvelles Equipes Internationales; Union Européenne des Fédéralistes, United Europe Movement. Poza tym obejmuje jednak Komitet Wykonawczy przedstawicieli komitetów narodowych, utworzonych ad hoc, a reprezentujących demokratyczną Europę zachodnią, a także koła emigracyjne narodów poddanych reżimom totalitarnym, (tj. wschodnio-europejskich oraz Hiszpanii...) Razem liczy Komitet Wykonawczy mniej niż 50 członków. Liczniejsza, licząca stukilkudziesięciu członków „Rada Międzynarodowa”, zbierająca się raz do roku, ma skład podobny. Uczestniczą w niej bowiem wybrani przedstawiciele Komitetów Narodowych, a obok nich, z urzędu, wszyscy członkowie Komitetu Wykonawczego o. Wreszcie na całokształt Ruchu Europejskiego składają się sekcje w liczbie jak dotychczas trzech, a mianowicie:

- 1) Studiów ekonomicznych i społecznych — przewodniczący Sir Harold Butler.
- 2) Studiów kulturalnych — przewodniczący Salvador de Madriaga.
- 3) Studiów prawnych — w przygotowaniu.

Ruch europejski jest w obecnym kształcie bez precedensu o tyle, że ogniskuje pod jednym dachem organizacyjny czynnik: rządowe, parlamentarne, i prywatne krajów demokratycznych, oraz ośrodki emigracyjne narodów, których kraje stały się pastwą „totalizmu”. Z jednym wyjątkiem Hiszpanii określenie to obejmuje ofiary Rosji. Jest więc Ruch Europejski pierwszym terenem politycznym, na którym możemy wystąpić na prawach niemal równych z szczęśliwymi od nas narodami Zachodu.

Prawa nie są — bo i na dobrą sprawę nie mogą być — identyczne. Tamte komitety narodowe wybierają swoich przedstawicieli w pewnym stosunku do liczby ludności — największe delegacje liczyły w Brukseli po 8 członków — poza tym zaś wyznaczają same swoich przedstawicieli do Komitetu Wykonawczego. Narody wschodnio-europejskie mają w Radzie tylko po dwóch przedstawicieli nie zależnie od swej liczebności, a przedstawiciel ich do Komitetu Wykonawczego nie jest wyznaczany przez Komitety Narodowe lecz kooptowany przez ten komitet, zresztą z uwzględnieniem życzeń zainteresowanej grupy

Krzęsia więc dla nas są być może „drażkowe” przeciw czemu rekryminowali w Brukseli niektórzy delegaci wschodnio-europejscy — ale są.

Ten pierwszy wyłom w izolacji w której pozostawaliśmy od r. 1945 jako kłopotliwi goście i „podopieczni” Zachodu zarazem odsłonił słabość naszą, a mianowicie brak dotychczas jednolitego kierownictwa politycznego; zresztą nie naszą tylko! Z 7 narodów dopuszczonych do Ruchu Europejskiego tylko Bułgarzy i Węgrzy zdobyli się na utworzenie Komitetów Narodowych i wprowadzili swoich kandydatów bez trudności do Komitetu Wykonawczego Ruchu (Bułgarzy: Dimitrowa, Węgrzy: Auera). Pozostałe emigracje nie zdobyły się na utworzenie komitetów. Delegaci do Rady dobrani zostali „ad hoc”, przy współudziale Ruchu Europejskiego, bez oparcia o komitety. W rezultacie ani Polacy, ani Czeši, ani Jugosłowianie nie otrzymali miejsca w Komitecie Wykonawczym. Tylko Rumuni dzięki osobistym zabiegom G. Gafencu otrzymali w Komitecie Wykonawczym przedstawiciela w jego osobie. Ta skrócona procedura wywołała zresztą w kołach emigracji rumuńskiej odruchy niezadowolenia.

Racją bytu Ruchu Europejskiego jest wytęczenie drogi po której iść winny narody europejskie do wspólnego celu. Wobec istniejącej między nimi różnicy poglądów wynikającej z przyczyn gospodarczych, sytuacji geograficznej, prężności etnicznej, stopnia zagrożenia — określenie zbyt szczegółowe ostatecznych zamierzeń byłoby zamysłem niebezpiecznym. Powodowałyby to tarcia, mnożąc teraz już, w okresie początkowym, niepożądane polemiki. By temu zapobiec inicjatorzy „Ruchu” rozwijają go w ramach bardzo ogólnikowych i elastycznych, używając dla określenia go wyrazów pozwalających na szeroką interpretację. Stosując metodę, drogą sercom anglo-saskim unikają zarazem zbyt ambitnego planowania zabie-

gając natomiast o stworzenie warunków dla organicznego wzrostu instytucji i praktyk, przy pomocy których współzycie Europejczyków przybrać ma z czasem nowy kształt. Konferencji brukselskiej poddali oni starannie dobrane cele na okres najbliższy, oparte na zaleceniach zeszłorocznego Kongresu w Hadze, śmiało, a więc posiadające własności dynamiczne zarazem zaś na tyle oderwane, by nie podrywać jedności obrad bardzo różnorodnych grup wchodzących w skład Zjazdu.

Konferencja stanęła przed zadaniem: zaprojektowania „Europejskiego Trybunału Praw Człowieka” i uzgodnienia „Zasad ogólnych polityki europejskiej”.

„Karta Praw Człowieka” spisana już została w myśl zaleceń zeszłorocznego Kongresu Haskiego. Konferencja brukselska przyjęła z kolei uchwałę zalecającą utworzenie Trybunału celem zabezpieczenia przestrzegania jej postanowień. Projekt konwencji przygotować ma stała sekcja prawna Ruchu Europejskiego. Ma ona przewidywać dopuszczalność skarg indywidualnych po wyczerpaniu co prawda toku instancji w każdym kraju. Trybunał więc dla określonej kategorii wypadków byłby instytucją ponad suwerennością państw, członków wspólnoty europejskiej.

Nam, Polakom, projekt ten mimo woli przywodzi na myśl wspomnienia genewskiej procedury ochrony mniejszości. Różnica na korzyść Trybunału leży w tym, że Trybunał nie jest pojmowany jako „lex specialis” lecz przeciwnie, winienby w zasadzie być uznany przez wszystkie państwa. Bieda w tym, że zobowiązania takiego na pewno nie przyjmą notoryczni gwałciciele praw człowieka. O ileby zaś przyjęły je tylko państwa praworzędne to mogłyby się znaleźć w położeniu równie przykrym jak było nim niegdyś nasze i innych państw, obarczonych serwitutem „mniejszościowym”. „Gwałciciele” postaraliby się o to — jak niegdyś czynili to wobec nas Niemcy — by nigdy nie zabrakło trybunałowi skarg. Takie obawy znalazły wyraz np. w prasie belgijskiej ostatnio, już po zakończeniu Konferencji. Także w czasie jej obrad słyhać było głosy sceptyków czy przy obecnym napięciu „zimnej wojny” szlachetne zamiary obrońców praw człowieka dadzą się wprowadzić w życie. Jeśli nie mamy zwątpić o postępie po okresie tragicznego upadku w latach ostatnich wierzyć winniśmy, że przecieć nastąpi to niezadługo.

„Zasady ogólne polityki europejskiej” dały szerokie pole dla polemiki, którą prowadzili z talentem, swadą i wspaniałą rutyną delegaci różnych narodowości: parlamentarzyści, weterani wielu kongresów i zjazdów. Jak zwykle w takich okolicznościach płynnością wyśłowienia, zręcznością argumentacji, a także precyzyjnością formuł celowali na konferencji bardzo licznie w niej występujący Francuzi, których język zapanował zresztą w salach obrad z uszczerbkiem dla języka angielskiego. Mówiono o sprawach gospodarczych, o terytoriach zamorskich, uzgadniając rezolucje po długich dyskusjach przy pomocy kunsztownych formuł. Uchwalono niezwłoczne zaproszenie Niemiec

zachodnich do zajęcia miejsca w „Jednocie” europejskiej. Decyzja ta była przesądzona z góry... Jeden z angielskich członków Komitetu Wykonawczego, p. Hore-Belisha wysunął w toku obrad, nieprzewidzianą w przygotowanych drukowanych projektach rezolucję o potrzebie wspólnej obrony Europy „w oparciu o inne demokracje”. To zdawałoby się niewinne stwierdzenie smutnej konieczności napotkało na ostry sprzeciw delegatów w różnych kątach sali, ze strony Włochów, Francuzów a nawet jednego z delegatów brytyjskich... Odezwały się jeszcze zapomniane zdawać się by mogło akcenty wiary w cudowne, zbawcze łagodzące właściwości neutralności, której zawierzyć by miała swoje ocalenie Europejska „trzecia siła”. Rezolucja musiała zostać wycofana.

Jednak najważniejszą polityczną demonstracją konferencji, czym wyprzedziła gabinety europejskie wskazując kierunek po którym pójść będą musiały, jest danie świadectwa publicznego nie nowej zapewne, ale wciąż jeszcze starannie przemilczanej prawdziwie o jedności Europy.\*) Rezolucja głosi w punkcie 7, że: „bariera, dzieląca narody wolne od innych (gdzie nie obowiązuje karta praw człowieka) nie może być uznana za stałą; celem naszym jest zjednoczenie w wolności wszystkich ludów Europy”.

Rezolucja postanawia w osobnym rozdziale poświęconym organizacji i działalności przyszłego „Zgromadzenia Doradczego Europejskiego”, że w sali obrad Zgromadzenia pozostać winny puste krzesła, zastrzeżone dla przedstawicieli tych krajów, które nie mogą „wypowiedzieć się sposobem demokratycznym”. Wreszcie rezolucja zaleca uczestnictwo w Zgromadzeniu na zasadzie wyboru przez to grono: „osobistości posiadających reprezentatywny europejski charakter”, i postanawia, że w tej kategorii znaleźć się mają osobistości także z tych krajów.

Czy uchwały brukselskie teraz już, tj. w najbliższych miesiącach, przekształcą się w postanowienia wiążące rządy zachodnio-europejskie, można wątpić. Nie przekreśla to ich doniosłości tak jak wstydlive wystąpienia, wypierające się wszelkiej intencji wzmożenia obronności Europy nie mogą zagłuszyć przemówienia Winstona Churchilla kiedy na plenum Konferencji po zdaniu, zamieszczonym w tekście przygotowanym zawczasu i odbitym na roneo: „z gorącym uczuciem sympatii przyjmujemy także przedstawicieli krajów europejskich, które dzisiaj trzymane są w szponach tyranii o działaniu nieszczycielskim trwałszym i głębszym od tyranii Hitlera”, dorzucił słowa: „Nasze uczucia biegną ku nim, naszym ostatecznym celem jest ich wyswobodzenie”.

Było to oświadczenie o znaczeniu przełomowym w określeniu stosunku narodów wolnych do obszaru Europy Wschodniej opianowanego przez Rosję; „postawieniem kropki nad i” brzmien-

\*) Hasło to podjęte zostało już w roku 1948 na Kongresie w Hadze, jednak w sformułowaniu ostrożniejszym.

nym w konsekwencje — zapowiedzią, że podbój dokonany przed czterema laty i wówczas przyjęty bez sprzeciwu zostanie prze-krślony.

Nie można zataić, że wśród uczestników brukselskiego zebra-  
nia nie brakowało takich, którzy krytycznie patrzyli na tak  
otwarte wystąpienie, podyktowane przecież nie przez sentyment  
p. Churchill'a do nas czy innych' narodów Miedzymorza, lecz  
wynikające ze słusznej oceny, że wznoszenie gmachu Europy  
bez tych narodów i z zamknięciem oczu na to co się z nimi dzie-  
je jest budowaniem na piasku. Jak to uczynił już w innych oko-  
licznościach, w latach ubiegłych, Churchill rzucił hasło, które  
jutro wstrząśnie przeciwnikiem, chociaż dzisiaj rodzi raczej  
przestрах we własnych szeregach. Otwiera ono nam możliwości  
działania, wymagającego wiele rozważli, stanowczości i jasnego  
myślenia.

Tym bardziej żalować wypada, że partnerzy zaproszeni do  
wystąpienia na arenie politycznej, z której usunięto ich niegdyś  
dla dogodzenia Stalinowi, nie mogą uczynić tego skuteczniej  
przez obsadzenie bezzwłoczne stanowisk, które im ofiarowano  
i przez ściślejsze dzięki temu współdziałanie wzajemne. Warun-  
ki po temu istnieją i niewątpliwie u wszystkich zainteresowa-  
nych także i dobra wola i chęć naprawienia zaniedbań i opóz-  
nień. Świadczy o tym m. inn. skwapliwość z jaką zebrane w  
Brukseli delegacje wyraziły zgodę na przemówienie moje na  
„plenum” imieniem wspólnym, a więc — prócz swojej — imie-  
niem delegacji: bułgarskiej, węgierskiej, rumuńskiej, czechosło-  
wackiej i jugosłowiańskiej. Tymczasem jednak nie będą mieli  
sposobności po temu na zebraniach „Ruchu Europejskiego” sko-  
ro na następne zebrania Rady czekać wypadnie rok, a w Komit-  
ecie Wykonawczym zbierającym się co dwa miesiące nie ma  
ani, nas, ani Czechów, ani Jugosłowian.

Edward RACZYŃSKI.  
Ambasador R. P.

## „KRONIKA”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg  
US Zone, Germany.

Przedstawicielstwo we Francji:

Librairie «LIBELLA», 12, rue St-Louis en l'Île,  
Paris IV<sup>e</sup> (Metro: Sully Morland). Prenumerata  
roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena poj-  
dynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wplacana w markach na terenie  
Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

## Najnowsza historia Polski

### Przemilczane podziemia

Są to urywki z obszerniejszej publikacji, którą napisałem w r. 1945.  
Postanowiłem ją wówczas ogłosić drukiem. Dziwnie jednak tajemnicze  
losy moich manuskryptów nie pozwoliły osiągnąć tego celu. List, wy-  
ślany w r. 1945 pocztą wojskową z Niemiec do Rzymu i zawierający  
maszynopis tych wspomnień, doszedł wprawdzie do adresata, ale bez  
maszynopisu, który nieznaną ręką usunęła z koperty. W styczniu  
1946 r., podczas pobytu w Rzymie, nie tylko zawarłem pisemną  
umowę w sprawie druku moich wspomnień, ale otrzymałem nawet  
wysokie honorarium autorskie z góry wypłacone, przy czym w umo-  
wie zobowiązano się, że wspomnienia zostaną wydrukowane jako  
książka, najpóźniej do kwietnia 1946 r. Od tego czasu minęły trzy  
lata i książka nie tylko się nie ukazała, ale, pomimo usilnych po-  
szukiwań — nie ma śladu z maszynopisu, który zaginął po raz drugi.

AUTOR.

Był właśnie dzień św. Jerzego, w kwietniu 1942, kiedy na  
przyjęciu u jednego z warszawskich dziennikarzy dowiedziałem  
się po raz pierwszy od „Ireny”, że za jej pośrednictwem mogę  
otrzymać kontakt z ludźmi „Myśli Państwowej”. Był to organ  
podziemny, który zwracał nasza uwagę już od dłuższego czasu.  
Dotychczasowe jednak usiłowania, aby odnaleźć grupę „Myśli  
Państwowej” nie dawały rezultatu.

Grupa ta interesowała nas dlatego, że już w grudniu 1939  
podjęliśmy samodzielną inicjatywę stworzenia ośrodka, a wo-  
ków tego także pisma, które przeciwstawiłoby się haniebnej  
fali, jaka szła wówczas przez Kraj, podsycana z jednej strony  
przez niezmordowaną propagandę niemiecką, z drugiej zaś przez  
oficjalną propagandę czynników polskich we Francji. Społec-  
zeństwo w Kraju, ogłuszone wynikami kampanii wrześniowej  
i osaczone od pierwszej chwili terrorem niemieckim, szukało  
rozpaczliwie przyczyn niespodziewanego nieszczęścia.

„Nowy Kurier Warszawski”, jedyny organ, wydawany dla  
Warszawy przez propagandę hitlerowską, rozpoczął druk cyklu  
artykułów, które zohydzały ludzi i system rządu przedwrześ-

niowego. Nie było obelgi i nie było zarzutu, których propaganda niemiecka piórem szpiega i zdrajcy nie użyłaby wówczas przeciwnym wszystkim po kolei przedstawicielom obozu Piłsudskiego. Radio polskie z Francji dolewało gorliwie oliwy do ognia.

W opinii publicznej olbrzymia większość poszła na lep tym podszeptom. Upodlenie sięgało bardzo głęboko. W październiku 1939 były prezes Klubu 11 Listopada, który — jak wiadomo — uważał się za przyboczną organizację Naczelnego Wodza, oświadczył mi podczas rozmowy, że „największą hańbą Polski jest marsz. Śmigły-Rydz”. Zwróciłem mu uwagę, że gdyby to było nawet prawdą, to przywódca grupy, która istnienie swoje związała z nazwiskiem marszałka, powinien raczej z nim utonąć, aniżeli opuszczać go w godzinie klęski. Z tym większą jednak pasją postanowiłem wtedy bronić tego, co mi się przedstawiało jako najprostszy obowiązek osobistego, żołnierskiego honoru Polaka.

Tylko nieliczna garstka próbowała przeciwstawić się wszechwładnej sugestii, ale nikt nie zdecydował się głośno i publicznie przeciwdziałać. Poszczególne grupy Piłsudczyków podjęły już w tym czasie pierwsze kroki organizacyjne. Ukazały się nawet pierwsze pisma. Jeżeli wymawiano w nich jednak nazwisko Piłsudskiego, to tylko na to, aby odgrodzić się od tego, co wydawało się jedyną i bezpośrednią przyczyną klęski. Był to najokrutniejszy i najboleśniej moralnie okres okupacji, ponieważ uderzając w system przedwrześniowy i w jego reprezentantów, grzebano równocześnie w świadomości polskiej wiarę w polską zdolność do walki i samodzielnego życia. W kierunku takiej sugestii zdążyła zupełnie otwarcie propaganda niemiecka. Artykuły prasy hitlerowskiej, przeznaczonej dla nas, kończyły się zawsze wnioskiem, że państwo polskie, a nie tylko jego kierownictwo, nie zdało egzaminu, że zawiodł zmysł organizacyjny i państwowy Polaków, że jedynie sensownym wyjściem z sytuacji jest podporządkowanie wszelkich ambicji mądrej i przewidującej polityce Trzeciej Rzeszy, popieranej drugocząca i imponującą siłą niemieckiej armii. Propaganda hitlerowska była w tym okresie prawie jedynym czynnikiem, który miał bezpośredni i szybki dostęp do umęczonego społeczeństwa polskiego.

Radio polskie z Francji potwierdzało tezy niemieckie: zawiódł rząd, zawiódł wódz naczelny. Wszystko, co było, jest nieważne. Polskę trzeba zaczynać od początku. Ale te ostatnie wnioski wydawały się beznadziejne, skoro rzeczywistość przemawiała do Kraju straszliwą wymową faktów: Niemcy zacieśniaли szybko żelazną obręcz terroru, całe życie narodowe zostało zrujnowane, głosów otuchy było nie wiele i słyszeli je zaledwie wybrani, którzy w skromnych jeszcze wówczas rozmiarach podejmowali organizację tajnego nasłuchu.

Nad całym Krajem zawiśła głucha beznadziejność. Organizacja ruchu podziemnego znajdowała się w powijakach. Ludzie zajęci byli gorączkowym organizowaniem najprymitywniejszych

warunków rozbitego życia. Wszystkie nieszczęścia zdawały się walić na głowę: Warszawa leżała w gruzach i poniewierce, przez ulice przelewały się tłumy nędznie ubranych, wystraszonych mieszkańców, szukających zarobku i chleba. Zima nadeszła wyjątkowo okrutna.

Intensywną akcją prasową podjął Józewski, wydając szeroko wówczas kolportowane pismo „Polska żyje”, ale właśnie w tym piśmie powołując się na związek z nazwiskiem Józefa Piłsudskiego, najmocniej uderzano w „sprawców” klęski. Chaos pogłębiał się tak silnie, że budzić zaczął najsmutniejsze refleksje o możliwościach przywrócenia równowagi w zagubionym psychicznie społeczeństwie.

Istniało w tym czasie ponadto poważne niebezpieczeństwo, że Niemcy, wyzyskując depresję opinii, będą próbowali budować pomost pomiędzy sobą a najsłabszymi i załamanyimi jej odłamami. Nie trzeba ukrywać prawdy, że odłamy tego rodzaju istniały i gdyby Niemcy nie uczynili na samym wstępie wielu zasadniczych błędów w zakresie taktyki i polityki w stosunku do społeczeństwa polskiego, mogliby na tym polu uzyskać bodaj częściowe sukcesy.

Wspólnie z grupą kilkunastu przyjaciół z okresu przedwojennego postanowiłem podjąć bodaj skromną, ale natychmiastową inicjatywę przeciwdziałania groźnym objawom. Prócz dobrych intencji i wiary w słuszność naszego stanowiska, nie posiadaliśmy żadnych zgoda środków do tego celu. Ale w ten właśnie sposób rodziły się wówczas różne inne akcje podziemnego życia w Polsce.

Dnia 6 stycznia 1940, przy ul. Noakowskiej, odbyliśmy pierwsze zebranie. Skonfrontowaliśmy szczegółowo nasze poglądy na sytuację i stwierdziliśmy ich zgodność. Uradziliśmy przystąpić do wydawania pisma. Następne zebranie dla omówienia szczegółów tego planu wyznaczone zostało na koniec miesiąca. Na drugim posiedzeniu zjawił się jeden z naszych przyjaciół poznańskich i ten ustalona już koncepcję wywrócił. Stał bowiem na stanowisku, że pierwszym zadaniem w obecnej chwili jest zabezpieczanie bytu poszczególnych ludzi, a w sprawie wydawania pisma, jak się ironicznie wyraził, trzeba się postarać o zezwolenie Gestapo. W ten sposób zamierzał powiedzieć, że wydawanie konspiracyjnego pisma jest przedsięwzięciem skazanym z góry na niepowodzenie i pociągnie za sobą najcięższe konsekwencje.

Wśród grupy zebranych powstały wątpliwości. Tylko trzech z nas postanowiło zostać przy swoim. Nawiązaliśmy wkrótce łączność z grupą ludzi przedwojennego Związku Młodej Polski. Skontaktowaliśmy się z „Franciszkiem”, który pracował już wówczas w jednym z okręgów zachodniej Małopolski w akcji ZWZ. „Franciszek” solidaryzował się całkowicie z nami i obiecał nawet skromną, jednorazową pomoc finansową. Ponadto nawiązał nam cenną łączność z innymi ludźmi Związku Młodej Polski, którzy mieli objąć techniczną stronę roboty. Technika

i kolportażem zajął się w ten sposób Stefan Przybysz („Łukasz”).

Redakcję stanowiło trzech ludzi: późniejszy „Tadeusz” (Józef Białasiewicz), „Roman” i ja. Przybrałem pseudonim „Twardziec”. Pismu nadailiśmy nazwę „Słowo Polskie”. O druku nie było naturalnie jeszcze mowy. Postanowiliśmy przeto odbijać „Słowo” na powielaczu. Dwa pierwsze numery przygotowaliśmy przy ul. Chmielnej w mieszkaniu Solingerówny, jednej z przedwojennych działaczek Związku Młodej Polski. „Łukasz” odbijał numery gdzie indziej.

Już przy drugim jednak numerze nastąpiła pierwsza „wspapa”. Solingerówna — w nieznanym mi okolicznościach — wręczyła matryce do przeniesienia posłańcowi, który okazał się agentem niemieckiej policji. Równocześnie w związku z wykryciem, jak twierdzono, radiowej stacji nadawczej przy Sosnowej, nastąpiły aresztowania w okolicy. Solingerówna dostała się na Pawiak. Trzymała się dzielnie, przysyłała „grypsy” przez dłuższy czas, a w jakiś czas potem zginęła bohaterską śmiercią od kuli niemieckiej.

„Słowo Polskie” wyrzucaliśmy co dziesięć dni. Mimo incydentu przy Chmielnej, nie uległo ono żadnej przerwie. Dyktowałem numery w różnych punktach miasta. Pomagały mi po kolei trzy maszynistki: „Kazimiera” ze Smolnej, „Blanka” z Walecznych i „Dzidka” z Noakowskiego. Redakcja mieściła się w sklepie „Seniorita” przy pl. Trzech Krzyży 2. Stąd gotowe matryce doręczała późniejsza „Zosia” do Ośrodka Zdrowia przy Nowogrodzkiej 62, gdzie przesyłkę podejmował następnie „Łukasz”.

Praca trwała bez przerwy do stycznia 1941. W tym czasie nastąpiła pierwsza katastrofa. „Łukasz” został aresztowany zresztą bez związku z naszą robotą prasową. W kilka miesięcy później wywieziono go do Oświęcimia. Zorganizowaliśmy pomoc pieniężną dla rodziny, a w jakiś czas nadeszła wiadomość, że „Łukasz” umarł. Ubytek jego był dla naszej roboty bolesną luką i spowodował upadek „Słowa Polskiego”, ponieważ nie zdołaliśmy zorganizować nowego zespołu techników.

Sytuacja i nastroje społeczeństwa uległy jednak od kilku miesięcy zasadniczej zmianie po klęsce i kapitulacji Francji. Doszliśmy do przekonania, że typ pisma dotąd przez nas wydawanego nie jest już tak nagłą potrzebą, jak przed rokiem. Poglądy opinii polskiej w Kraju uległy korzystnej ewolucji, ponieważ okazało się, że to nie tylko Polska ugięła się pod nawałą niemiecką. Trzecia Rzesza kroczyła bezkarnie po całej już niemal Europie, korzystając ze swojej przewagi militarnej. Dotychczasowe argumenty w sprawie przyczyn niepowodzenia wrześniowego stały się nieaktualne, a całe zagadnienie rysować się zaczęło na szerszym, niż dotąd tle.

„Słowo Polskie” spełniło swoje zadanie przynajmniej w tych skromnych rozmiarach, na jakie mogliśmy się w tym czasie zdobyć. Pozostało dokumentem i było w naszym rozumieniu manifestacją jawnego i publicznego protestu przeciwko zbrodniczej propagandzie niemieckiej i ogłupiającej oraz nieodpo-

wiedzialnej akcji oficjalnych, ówczesnych czynników polskich z zagranicy na temat przyczyn klęski wrześniowej. Pismo było wówczas w Kraju próbą otwartej obrony tego, co wbrew całej ówczesnej propagandzie stało się w dniach wrześniowych źródłem dumy i chluby narodu polskiego, a co w sposób nikczemny usiłowano przedstawić jako nędzną sromotę.

Ambicją naszą było pozostawienie śladu, że nie wszyscy Polacy, nawet w tym tragicznym okresie, zatracili równowagę, że nie wszyscy poszli utartym szlakiem niewolnego stała, które w godzinie nieszczęścia podejmuje między sobą bezmyślną walkę, aby za wszelką cenę wynaleźć ofiarę. Pragnęliśmy pozostać trwały ślad, że bezpośrednio po wrześniu żyli przecież Polacy, którzy w obliczu zwycięskiego wroga i reszty świata nie chcieli brać udziału w ponurym widowisku obrzucania oszczerstwami tych, którzy poprowadzili Polskę ku wojnie w obronie jej granic i honoru. Pozbawieni wszelkiego kontaktu z zagranicą i z właściwymi źródłami informacji na temat przebiegu kampanii wrześniowej, kierowaliśmy się wyłącznie politycznymi przesłankami samodzielnie wysnutymi z oceny sytuacji międzynarodowej i rzeczywistości, jaką stworzyła z jednej strony bezwzględna przewaga militarna Rzeszy, a z drugiej niemoc państw europejskich. Głęboko urażeni w naszej dumie narodowej nie chcieliśmy pozostać bezczynni wobec akcji skierowanej przeciw własnemu Naczelnemu Wodzowi i rządowi, który pierwszy z rządów świata przeciwstawił się agresji i zbrodni niemieckiej. Uważaliśmy, że akcja ta skierowana przeciw tym czynnikom, może się stać dla nas wszystkich moralnie większą klęską, aniżeli niepowodzenie militarne we wrześniu.

Zgodnie z tymi intencjami, podjęliśmy kampanię. Zaznaczyliśmy wyraźnie nasze stanowisko w wstępnej uwadze pierwszego numeru, wydanego z datą 19 marca 1940, a napisanej przez Białasiewicza. W kolejnych artykułach rozwijałem przez długie miesiące tezę, że Polska przegrała kampanię wrześniową nie wskutek niedbalstwa czy nieumiejętności kierowniczych czynników państwa, armii i Naczelnego Wodza, ale wskutek olbrzymiej przewagi niemieckiej. Podejmowałem polemikę z dziesiątkami bezsensownych zarzutów na temat rzekomej ucieczki rządu i Naczelnego Wodza, krótkiego przebiegu kampanii i braku należytego przygotowania armii. Wypadki we Francji dały nam wkrótce silne argumenty do ręki. W ciągu jesieni i zimy, przebieg wydarzeń osłabił znacznie cynizm propagandy niemieckiej, przeznaczonej dla Polski i uciszył furie rodzimych, zaślepionych krytyków z emigracji i Kraju. W społeczeństwie zaznaczyło się znaczne uspokojenie nastrojów i tylko zaciętrzewione grupy partyjne nie ustawały w ataku. Trafiały one już jednak w znacznym stopniu w próżnię, nie znajdując powszechnego oddźwięku w masach.

Trudno byłoby ocenić, w jakim stopniu „Słowo Polskie” wpłynęło na zrównoważenie poglądów w ówczesnym czasie, jak trudno w ogóle ściśle stwierdzić wpływ prasy podziemnej na opi-

nię, nie mniej jednak byliśmy przekonani, że w granicach naszych możliwości spełniliśmy obowiązek zgodnie z najgłębszym naszym przeświadczeniem. W imię tego obowiązku padły z naszych szeregów pierwsze ofiary. Działając samotnie i bez niczyjego poparcia przeciw powszechnej hipnozie, ogarniającej nieszczęśliwe społeczeństwo — mieliśmy tym większe zadowolenie wewnętrzne, że pierwsza nasza próba nie była nadaremna.

Nastąpiła dłuższa, bo przeszło roczna przerwa. Postanowiliśmy z „Tadeuszem” i „Romanem” powołać do życia miesięcznik o charakterze organu, rozpatrującego zagadnienia z punktu widzenia zasadniczych założeń państwowej myśli polskiej. Rozpoczęliśmy poszukiwać łączności z grupami o zbliżonej do nas ideologii. Pierwsze próby nie dawały rezultatu.

Jednym z pierwszych kontaktów były rozmowy z „Unią”. Grupie tej przewodził jeden z byłych młodszych posłów, związanych w swoim czasie z Walerym Sławkiem. Łączność tę nawiązałem za pośrednictwem jednego z dowódców kompanii ZWZ, w której sam byłem dowódcą plutonu. Napisałem nawet na temat polityki zagranicznej trzy krótkie artykuły do organu Unii „Naród” i przeprowadziłem szereg rozmów orientacyjnych ze wspomnianym posłem i z redaktorem „Narodu” Siniewiczem. Rozmowy jednak okazały się bezowocne. „Unia” ze swoim przywódcą zmieszała się z falą ogólnego chaosu myślowego, ulegając wszystkim aktualnym i szkodliwym sugestiom. W późniejszym okresie jej stanowisko zaznaczyło się najbardziej gwałtowną postawą w stosunku do Obozu Polski Walczącej.

Zimą 1941 postanowiliśmy wznowić znowu samodzielną akcję. I tym razem byliśmy zdani wyłącznie na własne siły. Łączność z „Franciszkiem” znacznie osłabła. Na fundusz wydawniczy złożyliśmy we trzech kilkaset złotych. Nie mając powielacza, musieliśmy zdecydować odbijanie miesięcznika na zwykłej maszynie. Redakcję tworzył „Tadeusz”, „Roman” i ja. Przepisywania podjęła się nieoceniona „Ala” ze Złotej. Na moją propozycję nadaliśmy nowemu piśmie tytuł „Przegląd Polityczny”. Poprzedni projekt, aby wznowić nazwę „Słowa Polskiego” uznaliśmy zgodnie za niebezpieczny ze względu na ciągle nieznaną nam wtedy jeszcze treść zeznań „Łukasza”.

„Przegląd Polityczny” ukazał się w rocznicę uchwalenia Konstytucji Kwietniowej, wiosną 1942. Obejmował imponującą ilość 32 stron, przepisanych na maszynie w 25 egzemplarzach. Rozkolportowaliśmy je wspólnie między najważniejsze ośrodki życia podziemnego. W raporcie delegata rządu, przedstawianego czynnikiem oficjalnym na emigracji ze stanu prasy w Kraju, znalazł się już pierwszy numer pisma. Figurowaliśmy w tym rejestrze jako organ obozu Piłsudskiego. „Przegląd” zwrócił w ten sposób od razu uwagę czynników Polski Podziemnej. W maju i w czerwcu wydaliśmy tym samym systemem dwa dalsze numery.

Moje pierwsze spotkanie z Julianem Piaseckim („Wiktorem”,

późniejszym „Bogusławem”) i Hemplem („Łukaszem”) nastąpiło w maju 1942. Spotkanie odbyło się w mieszkaniu przy ul. Oboźnej, naprzeciwko Teatru Polskiego. Rozmowa trwała około 2 godzin. Obaj rozmówcy wyrażali mi uznanie za „Przegląd Polityczny”, przy czym „Łukasz” proponował, aby zespół „Przeglądu” sfuzjonował się z „Myślą Państwową”. Zaoponowałem, motywując to odmiennym charakterem „Przeglądu”, którego założeniem było omawianie zagadnień myśli i polityki polskiej z zasadniczego, a nie bieżącego punktu widzenia, kiedy „Myśl Państwowa” — przy całym jej wysokim poziomie — poświęcona była raczej aktualnym ocenom bieżącej sytuacji. Była ponadto dwutygodnikiem, a „Przegląd” wychodził co miesiąca. „Wiktor” gorąco poparł moje stanowisko bez żadnych zastrzeżeń. Pod koniec rozmowy przyjąłem pseudonim „Marian”, uzgadniając równocześnie w imieniu naszej grupy współpracę z zespołem „Wiktora” i „Łukasza”.

Obaj rozmówcy, jak się okazało, poszukiwali nas również już od kilku tygodni, opierając się na informacji w raporcie delegata rządu. Od pierwszej chwili naszego spotkania, wytworzyła się wśród nas jak najlepsza atmosfera. Oczywiście w czasie pierwszej dyskusji nie rozpoznałem obu moich partnerów. Spotkanie i jego rezultaty oparły się wyłącznie na wzajemnej wymianie poglądów i stwierdzeniu jednomyślności w zasadniczych założeniach. W ten sposób wyeliminowane były, jak zresztą w większości wypadków życia konspiracyjnego, wszelkiego rodzaju motywy natury personalnej. Stwarzało to zawsze zdrową i prawidłową platformę współdziałania.

Nawiązanie łączności z „Myślą Państwową” poderwało nas na nogi. Wchodziliśmy po raz pierwszy w kontakt z grupą, odpowiadającą nam całkowicie ideowo. „Wiktor” zaproponował od razu wydanie najbliższego numeru drukiem. Ponieważ jednak czerwcowy numer „Przeglądu” był już w robocie u „Ali”, przyjąłem propozycję, ustalając druk dopiero numeru lipcowego. Nie trzeba tać, że byliśmy bardzo zadowoleni. „Przegląd Polityczny” był najmilszym naszym dzieckiem, które wiązało nas mocno szczególnymi węzłami. Marzyliśmy często o tym, aby zdobyć warunki wydania pisma drukiem.

Rozmowa z „Wiktorem” i „Łukaszem” dała nam dużo materiału do rozważań. Mimo wszystko postanowiliśmy wobec obu zachować umiar, dopóki nie rogrzyziemy splotu wszystkich elementów nowej dla nas sytuacji. Zbyt wiele wiary wewnętrznej w słuszność naszego stanowiska włożyliśmy w dotychczasowy wysiłek, którego owocem stał się „Przegląd”, aby zbyt pochopnie zagubić ten dorobek w labiryncie tajemnic i zagadek życia podziemnego. Zdołaliśmy skupić nie dużą, ale wartościową grupę ludzi, rozrzuconych w różnych punktach Polski. Nowa sytuacja narzucała konieczność bardziej zwartej skupienia tych sił, aby — obok „Przeglądu” — wprowadzić we wspólne szeregi zorganizowany zespół. „Wiktor” i „Łukasz” zorganizowali natychmiast bezpośrednią z nami łączność. Obaj posługiwali się

obrebnym łącznictwem. Łączniczką „Wiktora” była „Marta”, jedna z najbliższych jego współpracowniczek. Otrzymaliśmy pierwsze wydawnictwa, a wśród nich broszurę o kampanii wrześniowej, która była w tym czasie jedyną publikacją na ten temat wydaną w Kraju na podstawie źródeł polskiego sztabu głównego. Bardzo cennym materiałem były starannie wydawane przeglądy prasy i audycji radiowych. Samodzielną pozycją „Łukasza” była „Myśl Państwowa”, która powstała przed przybyciem do Kraju „Wiktora” i marszałka Śmigłego-Rydza.

Tajemnicę tej sprawy poznałem dopiero w kilka tygodni później na podstawie relacji „Wiktora” w czasie spotkania z nim w Chylicach, gdzie „Wiktor” przez jakiś czas się ukrywał. Marszałek po ucieczce z Rumunii przeszedł na Węgry, gdzie w ukryciu przebywał w jednym z zamków. Spisał tam swoje pamiętniki, przewiezione później do Kraju. Fragmenty z nich drukowałem w „Przeglądzie Politycznym”. Na Węgrzech marszałek powołał do życia Obóz Polski Walczącej, a jesienią w 1941 zdecydował udać się do Kraju. Granicę przeszedł w bezpośrednim towarzystwie późniejszego szefa wydziału łączności OPW „Korala”. Pierwszym etapem pobytu marszałka był Kraków, a następnie Warszawa, gdzie nawiązano łączność z grupą „Myśli Państwowej” i innymi działającymi już oddziałami obozu Piłsudskiego.

Po powstaniu warszawskim zetknąłem się zarówno w Warszawie, jak i w Krakowie z ludźmi, u których ukrywał się marszałek Śmigły-Rydz. Pełnomocnikiem marszałka był „Wiktor”. W grudniu 1941 marszałek, którego stan zdrowia pod wpływem wydarzeń lat ostatnich i podróży odbywanych pieszo po ucieczce z Rumunii, a następnie z Węgier do Polski, uległ nagłemu pogorszeniu — umarł niespodziewanie na udar serca w jednym ze szpitali warszawskich. Następstwo w pracach objął „Wiktor”.

Wiadomość o powrocie Śmigłego-Rydza do Kraju i jego śmierci wywarła na nas szczególne wrażenie. Zarysowały się niezwykle tragizmem kontury człowieka, który rzucając 1 września rozkaz obrony Polski, uległ dramatycznemu przeznaczeniu pobitego wodza naczelnego. Nie załamało to woli Śmigłego, który uciekając z niewoli, nie wybrał drogi na obczyznę, ale skierował się do Kraju, aby dzielić jego losy i walczyć na jego ziemi. Były Wódz Naczelny staje w jednym szeregu z tysiącami żołnierzy Polski Podziemnej, aby kontynuować walkę. Jeżeli był kiedykolwiek w ubiegłej wojnie potężniejszy symbol niezłamanego charakteru Polski i bezinteresownego poświęcenia w rozprawie o wolność — to Śmigły-Rydz przybywający do Kraju i podejmujący czynny udział w podziemnych konspiracjach, oko w oko z przemożną siłą wroga — symbolem tym stał się jednym z najdoskonalszych, chociaż los nie oszczędził mu żadnej gorczy. Pod jego urokiem pozostawaliśmy przez cały okres wojny.

Aby ofiara dopełniła się do końca, wiadomość o śmierci Naczelnego Wodza na ziemi ojczystej zachowywaliśmy w całko-

witej tajemnicy, chociaż opinia powtarzała w tej sprawie różne pogłoski.

17-go marca 1943 „Wiktor” zamówił uroczystą mszę świętą w kościele Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu. W pomroce pustego kościoła jaśniał wielki ołtarz. W ławkach zajęliśmy miejsca rozrzuceni, aby uniemożliwić ewentualną obserwację. „Wiktor” zawiadomił tylko nieliczną garstkę najbliższych. Oprócz niego obecni w kościele byli „Koral”, „Marta”, „Wujek”, „Biały” i ja. Może jeszcze jedna lub dwie osoby. Za ławkami klęczały babki kościelne nieświadome intencji nabożeństwa. U stóp ołtarza siwy kapłan odprawiał modły. Ktoś grał na organach. Wyszliśmy z kościoła nie wymieniając nawet ukłonnów. W ten sposób podziemie polskie uczciło pamięć obu marszałków.

Po pierwszej rozmowie i wydaniu drukiem lipcowego numeru „Przeglądu”, zainicjowałem jeszcze jedną wspólną konferencję w towarzystwie najbliższych moich przyjaciół. Wyzaczyliśmy ją na Saskiej Kępie przy Walecznych w mieszkaniu „Tadeusza”. Udział wzięli: „Wiktor”, „Łukasz”, „Tadeusz”, „Roman” i ja. Zadawaliśmy różne pytania, nasi rozmówcy udzielali odpowiedzi Usiłowaliśmy ich zidentyfikować. „Roman” twierdził, że pod pseudonimem „Wiktora” ukrywa się prawdopodobnie Julian Łukasiewicz. Sprawa wyjaśniła się dopiero w kilkanaście dni później.

„Wiktor” przedstawił sytuację polską i międzynarodową po kampanii wrześniowej, udzielając bardzo wiele cennych informacji i oświeleń, które zbiegały się z dotychczasowymi naszymi wnioskami. Rozmowa związała nas mocniej, szczególnie z „Wiktorem”. Nie był to jednak jeszcze koniec procesu wiązania się z nową grupą.

Łączność z „Łukaszem” ograniczała się do odbierania jego wydawnictw. „Wiktor” utrzymywał częsty kontakt bezpośredni. Z końcem czerwca otrzymałem od niego dyspozycję sformułowania deklaracji ideowej przyszłego obozu politycznego. Wykonałem to zadanie podczas krótkiego pobytu w Rabce. Po moim powrocie do Warszawy, „Wiktor” powołał do życia komisję organizacyjną obozu, złożoną z trzech osób: „Korala”, „Pawła” i mnie. „Paweł” reprezentował grupę POW, był jednak w tym czasie nieobecny w Warszawie. Nieobecność przeciągała się przez dłuższy czas, wobec czego w jego miejsce wszedł do komisji „Łęga”, również przedstawiciel POW. „Łęga” kierował w tym czasie kolportażem wspólnych wydawnictw „Łukasza” i „Wiktora”.

Na pierwszym posiedzeniu, w mieszkaniu „Łęgi” przy Mariensztad w pobliżu mostu Kierbedzia, na wniosek „Korala” zostałem wybrany przewodniczącym komisji. Rozpoczęliśmy obrady nad projektem deklaracji tak, aby jak najszybciej przedstawić go grupom, które deklarowały gotowość przystąpienia do obozu. Dyskusja nad projektem trwała na kilku dłuższych posiedzeniach. Poczyniono nieznaczne poprawki. Na wniosek grupy



„Przeglądu”, wprowadzony został artykuł określający stosunek obozu do zagadnień kultury i sztuki. Grupa POW zaproponowała artykuł, dotyczący zagadnień spółdzielczości i wychowania młodzieży. W tej formie projekt rozesłano do poszczególnych organizacji celem powtórnego przestudiowania. Między innymi projekt otrzymał również „Łukasz”, jako przedstawiciel grupy „Myśli Państwowej”. Było to w pierwszej połowie sierpnia 1942.

Zupełnie niespodziewanie — w kilka dni później — „Łukasz” rozesłał zaproszenia na ogólne zebranie konstytuujące nową formację, przy czym do zaproszenia dołączył odpis naszego projektu oraz jeszcze inny projekt deklaracji. Termin proponowanego zebrania wyznaczony został na pierwsze dni września.

Zwołałem bezzwłocznie komisję organizacyjną i postawiłem wniosek o zwołanie walnego zjazdu obozu na dzień 25 sierpnia. Wniosek został aprobowany. Przystąpiliśmy do przygotowań. Równocześnie „Wiktor” podjął próbę porozumienia z „Łukaszem”. W konferencji w tej sprawie wzięliśmy udział we trzech jako komisja organizacyjna oraz ze strony grupy „Myśli Państwowej” „Łukasz” i jeden z najbliższych jego współpracowników Borkowski, który zginął później zamęczony przez Niemców, o ile pamiętam, w Majdanku. „Wiktor” był nieobecny.

Rozmowa z „Łukaszem” w pierwszej fazie odbyła się w atmosferze spokojnej. „Łukasz” atakował koncepcję Obozu, jako próbę wznowienia OZN. Był to jego główny argument. Wykazaliśmy zgodnie w polemice, że zarzut ten jest niesłuszny, bo chociaż do projektowanego Obozu mają wejść także niektórzy działacze przedwojennego OZN, to jednak gotowość udziału w jego pracach zgłosili również ludzie nie tylko niezwiązani nigdy z OZN, ale nawet mu przeciwni. Zwróciłem uwagę, że wyjątkowe i tragiczne warunki wojny i okupacji nie pozwalają na podtrzymywanie partykularnych różnic w Obozie Piłsudskiego, ponieważ jedność działania w tego rodzaju sytuacji jest nie tylko zgodna z tradycją Józefa Piłsudskiego, ale przede wszystkim jest politycznym nakazem obecnego położenia. Szczególnie mocno przemawiał w tym duchu „Łęga”, powołując się na ducha tradycji POW i Legionów.

Ze swojej strony powiedziałem, że jako przedstawiciel grupy, która z Obozem Piłsudskiego nie była zawsze związana, ale obecnie uważa za swój obowiązek skupienie wszystkich wysiłków około tych zasad, które reprezentował właśnie Piłsudski i jego obóz — apeluję także o zaniechanie wszelkich ambicji i przekreślenie różnic pomiędzy Piłsudczykami, które dotyczą zagadnień przeszłości. Wyraziłem przekonanie, że Obóz kontynuujący ideę Piłsudskiego nie może oprzeć się wyłącznie o stare kadry żołnierzy Komendanta Legionów, ponieważ stały się wówczas grupą weteranów skazanych na wymarcie. Przypominałem, że ambicją starych żołnierzy Piłsudskiego powinno być skupienie świeżych i młodszych elementów, które przejmą ich ideę, pogłębia ją i będą ją realizowały w dalszych etapach życia narodu. Podstawą porozumienia i współdziałania mogą być dla

nas tylko wspólne zasady ideowe, a nigdy przynależność do takich lub innych formacji sprzed lat kilkudziesięciu.

„Łukasz” w pewnym momencie poruszył sprawę Śmigłego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że Śmigły był w Kraju i że nie żyje. „Łukasz” zaskoczył mnie pytaniem, dlaczego „Wiktor” ukrywa wiadomość o zgonie marszałka. Odpowiedziałem, że jest to mi zupełnie obojętne, czy Śmigły żyje czy nie, ponieważ ja i moi przyjaciele — wiążemy się w pracy podziemnej nie pod zawołaniem tego lub innego nazwiska, ale w imię zasad i idei, które wspólnie uzgodniliśmy, przede wszystkim zaś w poczuciu konieczności budowania jednolitego frontu wobec najwyższego niebezpieczeństwa, które zagroziło naszej niepodległości.

Dyskusja przeciągała się. „Łukasz” był nieustępliwy. Wiedzieliśmy, że znaczna większość zorganizowanych grup obozu Piłsudskiego nie podziela zdania „Łukasza”. W pewnym momencie oświadczyłem, że wyczerpaliśmy nasze argumenty i próbę uzgodnienia naszych stanowisk, a wobec stanowiska „Łukasza” nie widzę celu dalszego kontynuowania dyskusji.

Po zakończeniu rozmowy spisałem szczegółowy protokół, uzupełniony przez „Korala” i „Łęgę”. Podpisany przez nas trzech protokół przekazaliśmy „Łukaszowi” do wiadomości. „Łukasz” nie wniósł przeciw treści protokołu żadnego sprzeciwu.

W ten sposób nastąpił rozłam pomiędzy nami a grupą „Łukasza”.

Przygotowania do walnego zjazdu były w pełnym toku. Ze względu na bezpieczeństwo, postanowiliśmy odbyć zjazd w jednym czasie, ale w trzech grupach. Zgodnie z tym planem, konstytuujące zebranie Obozu Polski Walczącej odbyło się 25 sierpnia 1942 r. w Warszawie w trzech miejscach: jedna grupa obradowała w domu przy ul. Czeczota pod moim przewodnictwem, druga przy Walecznych pod kierownictwem „Korala” i trzecia przy Marienstał pod przewodnictwem „Łęgi”.

Udział w zebraniach wzięli delegaci ośmiu organizacji: POW, Związku Legionistów, Strzelca, Grupy Emigracyjnej „Wiktor”, Grupy „Przeglądu Politycznego”, Grupy Nauczycielskiej ZNP, Grupy Kolejarzy ZZZ i Grupy Byłych Posłów. Po zagajeniu nastąpiło odczytanie projektu deklaracji i głosowanie nad jej przyjęciem, następnie głosowanie nad projektem przysięgi organizacyjnej, a wreszcie wybór szefa Obozu. Wszystkie trzy grupy wypowiedziały się jednomyślnie za wyborem „Wiktor”. Ponadto uchwaliliśmy tekst hodeowniczy do Prezydenta Rzeczypospolitej.

Po zebraniach trzech przewodniczący przybyli do mieszkania przy Filtrowej w gmachach PKO. Przybył tam również „Wiktor”. W postawie żołnierskiej złożyłem mu raport o przebiegu zebrania i zawiadomiłem, że został wybrany szefem Obozu. „Łęga” przyniósł wiązanek biało-czerwonych kwiatów i wręczył je „Wiktorowi”. Szef podziękował nam za wysiłek i wywiążanie

się z przyjętego zadania. Po krótkiej rozmowie rozeszliśmy się.

W kilka dni później mianowany został Komitet Wykonawczy Obozu. W skład Komitetu wszedł „Wiktor” jako szef, „Koral” jako szef wydziału personalnego i łączności, „Paweł” jako szef wydziału politycznego, „Marian” jako szef wydziału propagandy i prasy, „Biały” jako szef techniczny, „Łęga” jako szef kolportażu, ponadto szef wydziału wojskowego i finansowego, których pseudonimów — niestety — nie pamiętam. Skład Komitetu Wykonawczego ulegał w ciągu dwu następnych lat zmianom i uzupełnieniom. „Łęga” został wkrótce aresztowany. Komitet Wykonawczy zebrał się tylko dwa razy w komplecie, ponieważ tego rodzaju liczne zebrania prędzej czy później kończyły się zawsze aresztowaniem obradującego grona. „Wiktor” przestrzegał bezpieczeństwa organizacji i najściślejszych zasad konspiracji i dzięki temu aresztowania w OPW nigdy nie naruszyły całości prac ani głównego trzonu roboty. W związku z rozłamem, niektórzy z nas zmienili pseudonimy. „Wiktor” przyjął pseudonim „Bogusław”, ja zmieniłem „Mariana” na „Andrzeja”.

Pierwsze zebranie Komitetu odbyło się w mieszkaniu przy Chmielnej. Mieszkanie było zdemolowane i bez okien, w półmroku zapadającego wieczoru.

„Bogusław” złożył w obecności Komitetu przysięgę, po czym odebrał ją od nas. Przysięgaliśmy przed krucyfiksem półgłosem, aby nie zwrócić uwagi przechodniów ulicznych i domowników. W Komitecie zaznaczyła się już podczas pierwszych obrad opozycyjna postawa „Pawła”. Podkreślał ją wielokrotnie także później w sprawach zresztą nieistotnych, zachowując zawsze umiar i poczucie odpowiedzialności wobec wspólnego celu.

Drugie i ostatnie zebranie plenarne Komitetu odbyło się w kilka miesięcy później w mieszkaniu „Pawła” przy Senatorskiej.

Normalnie łączność „Bogusław” z Komitetem utrzymywał przy pomocy codziennej korespondencji. Raz na miesiąc regularnie odbywał konferencję kolejno z każdym członkiem Komitetu Wykonawczego, w wypadkach szczególnej wagi zwoływał zebrania niektórych szefów wydziałów dla omówienia wspólnie interesujących ich zagadnień. Przeciętnie co miesiąc ukazywał się prócz tego okólnik wewnętrzny szefa Obozu.

Zorganizowana została centralna poczta organizacji pod kierownictwem „Marty”. Codziennie — między godz. 14 a 15 — łączniczki wszystkich wydziałów zjawiały się w wyznaczonym punkcie, ciągle zmienianym, aby przekazać i odebrać pocztę. Stałą urzędniczką poczty była „Teresa”. Mieszkała w jednym z gmachów, zajmowanych przez SS. Niewydaną pocztę i prasę zabierała ze sobą i przenosiła ją przez dwa lata przez posterunki hitlerowskich żołnierzy, pilnujących bramę. W czasie urzędowania na poczcie „Teresa” na wypadek wizyty Gestapo lub innych niepożądanych gości, zajmowała się wypychaniem sztucznych zwierzątek, czym zresztą zarabiała na życie. Lokal poczty zmieniał się przeciętnie co jeden lub dwa tygodnie. Był

to jeden z najtrudniejszych problemów „Marty”, ponieważ wyszukiwanie coraz to nowych mieszkań nie było prostym zagadnieniem. Lokal przeznaczony na pocztę był odwiedzany codziennie co najmniej przez kilkanaście osób, obladowanych niezbępnym bagażem.

Każdy wydział posiadał jedną wyznaczoną do obsługi poczty łączniczkę, której sprawne funkcjonowanie było warunkiem nieprzerwanej działalności Obozu. Kandydatki poddawane były przez „Martę” ścisłej i sumiennej obserwacji co do ich stanu nerwowego, uzdolnień i innych warunków. Praca łączniczek, z których tak wiele padło ofiarą swojej odpowiedzialnej, niebezpiecznej i bardzo ciężkiej służby — zapisała osobną, piękną kartę także naszego Obozu. Była to zawsze bodaj najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna praca obok bezpośrednich akcji bojowych podziemnego żołnierza. Wspominam dziś o tych niezmordowanych, bohaterskich towarzyszkach walki z najgłębszym wzruszeniem. Ich gorliwość, najczystsza ideowość, odwaga, niekończąca się pomysłowość w konspirowaniu wykonywanej pracy, ich niezłomna zawsze postawa w razie aresztowania, oczekują osobnej historii.

Każdy z wydziałów posiadał na poczcie swój kryptonim, którym adresowane były listy. I tak szef Obozu używał kryptonimu „Stanisława”, wydział łączności „Maria”, wydział prasy „Paulina”, wydział kolportażu „Klara”, wydział techniczny „Tekla” itd.

Łączność z ramienia „Pauliny” (wydział prasy i propagandy) utrzymywałem najpierw sam na zmianę ze „Zosią”. Później z polecenia „Krzysztofa” zaprosiłem do współpracy jako stałą łączniczkę — „Krystynę”. „Krystyna” okazała się świetną i dzielną towarzyszką pracy. Przemierzała codziennie Warszawę z ryzykownymi paczkami, dźwigając nieraz spore pakunki bibuły i listów. Należała do najbardziej dyskretnych pracownic. Była młodą, przystojną dziewczyną. Początkowo skład bibuły i listów doręczanych przeze mnie na pocztę mieścił się w jej prywatnym mieszkaniu, dokąd sam lub za pośrednictwem „Maćka” doręczałem przesyłki od siebie i odbierałem przeznaczone dla mnie. „Krystyna” miała jednak w związku ze służbą pewne trudności w rodzinie, wobec czego punkt rozdzielczy przeniesiony został do „Ali” przy Złotej. W mieszkaniu „Ali” mieściła się centrala mojego wydziału i tu również przechowywałem archiwum „Pauliny”.

Do pomocy „Krystynie” — w kontaktach z wszystkimi innymi punktami poza pocztą — służyła „Hanka”, młodzianka, osiemnastoletnia dziewczyna, która do ukrycia bagażu nie używała nigdy żadnej większej torby, prócz małej, zniszczonej torebki ręcznej. I wszystkie przesyłki nosiła po prostu w ręku. Mimo bezustannych zastrzeżeń i zakazów „Hanka” nie zmieniła swego systemu, twierdząc, że jest on najpewniejszy. Kiedy w jej mieszkaniu odbyła się raz rewizja w poszukiwaniu jej brata, żołnierza AK, „Hanka” przetrzymała tajne listy przez cały czas

rewizji w zaciśniętej pięści. Pozostała w robocie do końca. „Krystyna” — niestety — wpadła w ręce Gestapo. Wysiadając na Marszałkowskiej z tramwaju przystąpiła — według relacji świadków — do młodego człowieka, który stał na przystanku. Prawdopodobnie był to ktoś umówiony przez nią celem doręczenia przesyłki. Nieznajomy znajdował się już pod obserwacją agenta, który oboje aresztował. Więcej „Krystyny” nie zobaczyliśmy. Otrzymałem tylko od niej krótki gryps z Pawiaka, w którym napisała: „Andrzej może być spokojny o swoje dzieci”. Dzielną dziewczyna meldowała mi w ten sposób, że bez przeszkód możemy kontynuować prace wydziału i że nie zdradzi niczego ani słowem. Wiedziała zaś tak wiele, że jej załamanie mogło nie tylko rozbić cały wydział, ale pociągnąć szereg poważnych aresztowań. „Krystyna” wykonała swoją służbę do końca. Zginęła podczas śledztwa w Alei Szucha. W jej miejsce weszła wkrótce „Joanna”. „Joanna” była starsza, ale odznaczała się tą samą zawziętością, co jej poprzedniczka. Kiedy pod koniec powstania odnalazłem ją w jej własnym mieszkaniu przy Polnej, „Joanna” podzieliła się ze mną ostatkiem swoich skromnych zapasów.

Punkt rozdzielczy, ze względów bezpieczeństwa, przenieśliśmy od „Ali” do mieszkania „Józefa” przy Polnej. „Józef” był starym współtowarzyszem naszych prac przedwojennych. Łączność z nim przejęła z mojej strony „Zosia”. Ten stan utrzymywał się już do końca. Łącznictwo, dzięki niestrudzonej ofiarności łączniczki, nie zawiodło nas nigdy.

Wśród pracowników „Pauliny” z szczególną wdzięcznością wspominam „Bolka” z Nowowiejskiej na Starym Mieście. Na jego poddaszu mieścił się jeden z ważniejszych punktów rozdzielczych. Był robotnikiem ze Lwowa i pełnił swoją służbę do końca. W powstaniu warszawskim walczył jako sierżant na barakadach przy katedrze Świętego Jana. Prócz łączniczek, w skład wydziału wchodziły maszynistki. Było ich dwie: „Ala” ze Złotej i „Barbara” z Nowego Świata. Obie odznaczały się największą ofiarnością.

Wydziałowi prasy podlegały bezpośrednio: „Przegląd Polityczny” (znaczony w korespondencjach wewnętrznych kryptonimem PP1), „Państwo Polskie” (PP2), „Agencja Polski Walczącej” (APW), „Przegląd Prasy” (PP3), „Radio Polski Walczącej” (RPW). Ponadto istniał referat prasy zagranicznej.

„Przegląd Polityczny” był centralnym miesięcznikiem Obozu i jego głównym organem. „Przegląd” redagowałem sam. Skupiłem wokół niego w ciągu dwu lat kilkunastu publicystów, którzy ogłaszali w „Przeglądzie” swoje artykuły. Prócz artykułów oryginalnych, „Przegląd” umieszczał przedruki z prasy emigracyjnej, przemilczane przez prasę partyjną. Wśród autorów, których artykuły przedrukowałem na łamach „Przeglądu”, znajdowali się między innymi: Ignacy Matuszewski, Julian Łukasiewicz, Zygmunt Nowakowski, Marian Rojek i inni.

Prasę zagraniczną otrzymywaliśmy regularnie co najmniej

co kilka miesięcy za pośrednictwem naszej placówki na Węgrzech. Pocztę przywoził z Krakowa osobiście „Koral”. Były to najniebezpieczniejsze jego podróże, przed którymi zegnaliśmy go zawsze z największą troską. Łączność z Budapesztem skończyła się jednak po przewrocie na Węgrzech.

Od kwietnia 1942 do lipca 1944 wyszło 29 numerów „Przeglądu”. Każdy z nich obejmował 16 do 20 stron druku formatu ósemki. Ostatni numer ukazał się w lipcu 1944. Numer sierpniowy — wskutek wybuchu powstania — aczkolwiek gotowy i złożony, pozostał nieodbitym w drukarni.

„Tadeusz” redagował „Państwo Polskie”, założone jesienią 1942, jako dwutygodnik dla omawiania bieżących wydarzeń politycznych. „Państwo” obejmowało przeciętnie 12 do 16 stron druku formatu szesnastki i stanowiło drugi nasz organ oficjalny. Na jego łamach ogłaszano składki pieniężne na OPW.

„Agencja Polski Walczącej” ukazywała się co tydzień w ograniczonej ilości egzemplarzy i była odbijana na maszynie jako wewnętrzny serwis prasowy Obozu. Redagował ją również „Tadeusz”. W „APW” ogłaszane były instrukcje „Pauliny” dla całej prasy Obozu, artykuły publicystyczne dla jej użytku oraz przedruki z prasy emigracyjnej. W marcu 1943 „Tadeusz” został niespodziewanie aresztowany. Zabrano go przypadkowo, z biura przy Al. Jeruzolimskich podczas pościgu za łączniczką, która uciekając przed patrolem Gestapo, wpadła do biura, w którym pracował i znajdował się właśnie „Tadeusz”. Aresztowano wszystkich obecnych mężczyzn, których później wypuszczono z wyjątkiem „Tadeusza”. W kilka tygodni później wywieziono go do Oświęcimia. Jego aresztowanie było dużym ciosem, ale nie naruszyło prac „Pauliny”. Redakcję „Państwa Polskiego” i „APW” objąłem sam i prowadziłem je aż do wybuchu powstania. Zastępcą moim w „Paulinie” został „Roman”.

„Przegląd Prasy” odbijany również na maszynie, ukazywał się nieregularnie mniej więcej co miesiąc i był wewnętrznym komunikatem Obozu. Redagował go „Inspektor”, były oficer zawodowy i jeden z byłych polskich attachés wojskowych.

„Radio Polski Walczącej” (RPW) było naszym tajnym nasłuchem, wydawanym w formie codziennego komunikatu z ostatnimi wiadomościami. Na czele tej komórki stał „Mietek”. Stacja nasłuchowa mieściła się na poddaszu kamienicy przy Żelaznej, w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby posterunku policji niemieckiej na rogu Żelaznej i Chłodnej. „Mietek” pędził tam żywot niezbyt godny zazdrości. W zarzuconej rupieciami ruderze walczył bezustannie z walącą się powalą, która zasypywała mu jego kryjówkę. Dziełnie wytrwał na posterunku do ostatniej minuty. Komunikat „RPW” otrzymywałem od „Mietka” jeszcze w piątym dniu powstania warszawskiego, kiedy odcinek jego kryjówki znajdował się już na bezpośredniej linii frontu, a posterunek policji niemieckiej zamienił się w małą twierdzę. „Mietek”, zgodnie z wydaną mu przed tym instrukcją, prze-

dzierał się z Żelaznej poprzez Chłodną na Ogrodową i osobiście doręczał mi serwis. Potem straciliśmy łączność.

„RPW” posiadało odrębny aparat łącznikowy, a jego siedziba była konspiracyjna na równi z zakładami technicznymi.

Nikt — poza mną — nie posiadał adresu tego miejsca ani wstępu do mieszkania „Mietka”. W ostatnim okresie projektowali urządzenie małej stacji nadawczej, ale realizację tego projektu przerwało powstanie.

Prócz wymienionych pism drukowaliśmy szereg innych, które podlegały kontroli „Pauliny” i na kartce tytułowej posiadały znaczek „OPW”.

Tak więc jako dwutygodniki ukazywały się na przemian „Polska”, jako organ POW i „S”, wydawany przez Związek Strzelecki. Redaktorem „Polski” był początkowo „Paweł”, a potem „Konrad”. Pismo należało do najślabszych z naszego koncernu.

Żywo i inteligentnie redagowany był natomiast „S”. Redaktorem był „Pleban”, wytrawny, zawodowy dziennikarz. Obok „S” wychodził „RS”, szeroko kolportowane pismo codzienne, zawierające ostatnie wiadomości radiowe; „RS” odbijany był na powielacz. Zespół „S” i „RS” zaliczał się do jednej z najruchliwszych i ambitnych grup Obozu. Na jej czele stał „Wujek”, zawodowy pułkownik, którego niebawem zabrała śmierć z naszych szeregów. Zginął, odbierając sobie życie w chwili, gdy Gestapo osaczyło go w mieszkaniu, w którym chwilowo nocował. Kierownictwo grupy „S” objął po „Wujku” „Dr Z.”, z zawodu lekarz, energiczny i inteligentny działacz Obozu. „Dr Z.” poległ na posterunku w czasie powstania.

„S” należał do jednego z naszych najżywiej redagowanych pism, „RS” do najsumienniejszych redagowanych biuletynów Podziemnej Warszawy. „RS” posiadał własny nasłuch prowadzony przez „Plebana” i „Tomasza”. „Tomasz”, były starosta, nosił w ciągu dnia ciężkie worki z mąką, w nocy siedział przy aparacie. Cała robota prowadzona była w gmachu „Roma” przy Nowogrodzkiej, pokrywana działalnością RGO.

Wydawaliśmy dalej „Nurt”, jeden z dwu lub trzech miesięczników literackich Podziemnej Polski. Również i to pismo należało do rzędu najlepszych naszych wydawnictw. Redagowali go wybitni i znani pisarze. „Nurt” był jedynym pismem, z którym nie posiadałem bezpośredniej łączności ze względu na zastrzeżoną przez redakcję absolutną tajemnicę osób. „Bogusław” zgodził się na ten warunek i chociaż nie tylko znałem ludzi, prowadzących pismo, ale stykałem się z niektórymi z nich przy różnych okazjach — zachowaliśmy ściśle ustaloną umowę.

Pismem Obozu była także „Polska Gospodarcza”, jedno z dwu lub trzech pism tego typu w prasie podziemnej. „Polska Gospodarcza” wychodziła nieregularnie. Jej zespół uległ w r. 1944 dużemu rozbięciu wskutek dokonanych wśród niego aresztowań.

Ukazywała się regularnie co 2 tygodnie „Zwrotnica”, jedyne

pismo podziemne kolejarzy. Posiadało ono wśród nich szeroki zasięg wpływów. W każdym numerze — obok części politycznej — znajdowały się fachowe instrukcje w sprawie sabotażu na kolejach. Z redaktorem „Zwrotnicy” spotykałem się przy Marszałkowskiej w fabryczce pudełek.

Wydawaliśmy „Dekadę”, pismo ściśle żołnierskie, które było prawdziwą naszą chlubą. Redagował je Jerzy Ścibor. Na całość „Dekady” składała się nie tylko część doskonale opracowanych instrukcji i wiadomości wojskowych, ale również szata zewnętrzna, która przynosiła zaszczyt technice podziemnej. Pismo o mikroskopijnych rozmiarach było pod tym względem wyjątkowo piękne i należało do najbardziej poszukiwanych w wojskowych kołach podziemnych, wyprzedzając analogiczne pisma oficjalne Armii Krajowej. „Dekada” nie ukazywała się regularnie i to było jej jedyną słabą stroną.

Prócz wymienionych pism, wychodziła „Młodzież Walcząca”, redagowana przez młodego literata Sowińskiego i „Robotnik Polski”, redagowany przez jednego z byłych posłów. Tuż przed wybuchem powstania przystąpiliśmy do wydawania drukiem dziennika OPW, który ukazywał się także przez pierwsze sześć dni powstania. Jako redaktor tego pisma, drukowałem je w czasie powstania w drukarni przy ul. Elektoralnej aż do chwili, w której musiałem opuścić ten rejon wobec wycofania się naszych oddziałów.

Ten bogaty i wszechstronny dorobek prasowy i wydawniczy Obozu Polski Walczącej uzupełnić należy wzmianką o szeregu obszernych broszur, z których niejedna — w normalnych warunkach — posiadałaby charakter książki. Broszury poświęcone były różnym zagadnieniom z dziedziny politycznej, gospodarczej, wojskowej, programowej itp.

Całość tej pracy stanowi nie tylko osobny rozdział w historii Polski Podziemnej, ale będzie wymagała kiedyś szczegółowego opracowania.

Klaudiusz HRABYK.

NAJTANIEJ • NAJLEPIEJ • NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

«LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV<sup>e</sup>.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

## Polacy w U.S.A. w 1833 r.

### 1

*„Oh! Poland, my Poland, the fond heart will break  
Of him who hath loved thee, and bled for thy sake.  
Oh! Why have I lived the dark moment to see  
When thou hast no longer a shelter for me.”*

(Wiersz napisany przez jednego z deportowanych).

24 listopada 1833 roku, w najbardziej burzliwą na Bałtyku i Morzu Północnym porę, wypłynęły z Gdańska trzy dziurawe fregaty pruskie: „Elisabet”, „Union” i „Mariane”, mając pod swoimi pokładami, oprócz szczerów, 630 Polaków, byłych powstańców z 1830/31 roku, dotychczas więzionych w twierdzach pruskich.

Dwa dni wcześniej, 22 listopada tegoż roku, z drugiego końca Europy, z Triestu, odpłynął podobny transport, 235 żołnierzy polskich stłoczonych jak bydło na austriackich tym razem fregatach: „Hebe” i „Gwezyera”.

Ani zbieżność tych dwóch dat, ani wspólny cel obu transportów i tysiąca blisko Polaków — nie były dziełem przypadku. Na mocy bowiem tajnego porozumienia między Prusami i Austrią, deportowano ich aż do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, której rząd, zapytany o zgodę, odpowiedział, że: „70.000 europejczyków wylądowało na naszych brzegach w ciągu roku.. i waszych kilkuset Polaków niezauważenie wsiąknie w nasze wielkie terytorium, jak kropla wody w oceanie”.<sup>1)</sup>

Starania Emigracji polskiej, oraz niespodziewanie przyszele z pomocą żywiły spowodowały, że transport deportowanych z Prus do Stanów Zjednoczonych nie dotarł.<sup>2)</sup> Transport z Austrii był mniej szczęśliwy — i o losach jego właśnie chcę tutaj mówić.

Poza indywidualnymi emigrantami politycznymi jak Kościuszkowski czy Pułaski, pierwszą licniejszą grupą Polaków, przy-

1) «Pruska Gazeta Urzędowa» z dn. 6. II. 1834.

2) Losom Polaków, deportowanych z Prus w 1833 r., będzie poświęcony artykuł Aleksandra Grobickiego pt. «Emigracja polska i francuska Legia Gudoziemska», który ukaże się w jednym z najbliższych Nrwów «Kultury».

byłych do Stanów Zjednoczonych, byli żołnierze zdziesiątkowanych na San Domingo 113 i 114 półbrygad polskich. Garstce tylko, pod dowództwem kpt. Malczewskiego, brata poety, autora „Marii”, udało się ująć niewoli angielskiej, galer lub przymusowego wcielenia w szeregi króla Jerzego III-go. Wylądowali oni na Florydzie, jednakże o dalszych ich losach prawie nic nie wiemy poza tym, że część z nich tworzyła w 1817 r. francuską „Wine and Olive Colony” w Albanie, a sam Malczewski wszedłszy do wojska meksykańskiego, dosłużył się w nim z czasem stopnia generała artylerii. De facto więc, owa grupa 235 Polaków w 1833 r. deportowanych z Austrii, tworzy pierwszą zbiorową polityczną emigrację polską w Stanach Zjednoczonych. Dzieje tych ludzi to jedna z najtragiczniejszych kart pierwszych lat Wielkiej Emigracji. Wyczytać z niej można wszystko: nienawiść wrogów i przewrotność przyjaciół, sentyment mas i oschłość rządów, wewnętrzne rozbięcie polityczne i pragnienie przetrwania kupą a nie w rozsypcie. Miłość Ojczyzny wreszcie i żal do rodaków...

### 2

Pochodzący z zaboru rosyjskiego żołnierze powstania listopadowego, którzy po klęsce przekroczyli granicę galicyjską i następnie nie skorzystali z „amnestii” łaskawie ofiarowanej im przez cara Mikołaja, ani też nie emigrowali dalej do Francji, żyli początkowo względnie swobodnie. Nie „internowano” ich w twierdzach, jak tych, którzy niefortunnie szukali schronienia w Prusach. W najgorszym razie przebywali wzorem Chłopcickiego i Skrzyneckiego — na „parolu”, co im bynajmniej nie przeszkadzało w politykowaniu i szykowaniu odwetu. Ten stan rzeczy odpowiadał chwilowo cesarzowi Franciszkowi II-mu, dając mu do ręki atut polityczny w stosunku do cara rosyjskiego. Gdy jednak nieszczęśliwa wyprawa Zaliwskiego i w związku z nią przybycie do Galicji licznej rzeszy emigracyjnych emisariuszy — wywołały w tej „austriackiej” prowincji poważne niepokoje i nagromadziły potencjalny materiał wybuchowy, cesarz przestraszył się własnej łagodności wobec „polskich buntowników” i szybko zgodził się na tajny układ o deportacji.

Rozpoczęły się więc w Galicji w drugiej połowie 1833 r. łapanki i pierwszą partię kilkuset „niebezpiecznych”, pochodzących z Królestwa, „internowano” w więzieniu w Brünn. Mieli tam — jak zapewniano — oczekiwać na paszporty do Francji lub Anglii i doczekali się, po trzech miesiącach odosobnienia, przybycia specjalnej komisji z Wiednia, która dała im do wyboru: repatriację do Królestwa lub deportację do Stanów Zjednoczonych. Wszelkie protesty żadnego nie odniosły skutku i w sierpniu 1833 r. rozpoczęto „internowanych” wywozić do Triestu, dodawszy im dla okraszy pewną ilość zwykłych przestępców kryminalnych i awanturników, których zadaniem było, po przybyciu do Ameryki, dobre imię polskich emigrantów politycznych, odpowiednio zaszargać.

Osadzeni w kazamatach triesteńskiej cytadeli, pozbawieni prawa wychodzenia czy nawet komunikowania się z kimkolwiek, po dwóch miesiącach beznadziejnego wyczekiwania zbuntowali się. 7 Polaków i 11 Austriaków zostało rannych i — skutek był natychmiastowy. Przestraszone władze pozwoliły więźniom wychodzić pod eskortą na miasto.

Skorzystaliby z tego, wysyłając pisma do cesarza austriackiego oraz ambasadorów francuskiego i brytyjskiego w Wiedniu. Protestowali w nich przeciwko przymusowej deportacji i bezprawnemu pozbawieniu wolności, oraz prosili o zezwolenie jeżeli już nie na powrót do Galicji, to przynajmniej na udanie się do Francji lub Anglii. Tylko ambasador brytyjski raczył im odpowiedzieć, a i to wymijająco, i ostatecznie, 22 listopada, pod strażą batalionu wojska, 235 skazanych na deportację Polaków załadowano na fregaty „Hebe” i „Gwezyera”.

Burzliwa pogoda sprawiła, że statki, po makabrycznej podróży, dopiero na 70 dzień zawinęły do Gibraltaru. Tam jednak deportowani nie mieli tyle szczęścia co ich koledzy z transportu pruskiego, którym w Hawrze, Harwich i Portsmouth udało się zejść na ląd i tym sposobem uniknąć zsyłki za ocean. Wojskowy charakter fortecy gibraltarskiej i jej oddalenie od metropolii spowodowały, że nawet ponowny bunt nie zdołał ich uwolnić. I aczkolwiek plotką okazała się sfabrykowana przez Austriaków wiadomość, iż paru deportowanych za udział w buncie ukaranych zostało śmiercią, to jednak żadnemu w Gibraltarze nie udało się pozostać i wszyscy, 14 lutego 1834 popłynęli dalej.

Ocean był — jak zawsze o tej porze — niespokojny. Odżywianie na statkach fatalne. Woda do picia cuchnąca. Z jakąż więc ulgą spoglądać musieli na brzegi amerykańskie i New York, do którego wreszcie zawinęli 28 marca, po przeszło czteromiesięcznej podróży!

Nie powitał ich ani Posąg Wolności, ani drapacze chmur. Na molo nie było gubernatora, komitetów, orkiestr i reprezentacji. 13-to milionową wówczas, młodziutką republikę amerykańską nie stać jeszcze było na to wszystko. Oczekiwał ich tylko konsul austriacki, który każdemu wypłacił „z kieszeni cesarskiej” po 33 dolary.

W sam „prima aprilis” zeszli na wolny ląd amerykański ci pierwsi z Europy deportowani wychodźcy polityczni. Obdarci, głodni, wynędzniali... Nie piękne musieli zrobić wrażenie na tubylcach, ale i sami tego pierwszego dnia spędzonego w New Yorku nie musieli zaliczać do najpiękniejszych, skoro w listach do rodaków we Francji nie bawią się w żadne opisy czy wrażenia, lecz stwierdzają krótko, że przyjęci zostali — zimno.

Sentyment mas, który nieodmiennie towarzyszył wychodźcom polskim w czasie całej ich drogi tułaczki z Polski do Francji lub gdzie indziej — za oceanem nie istniał. Tam symbolem wolności był nie biało-czerwony lub trójkolorowy sztandar, lecz dolar. Hasłem zaś nie „za Waszą wolność”, lecz „help yourself”!

Za owe nędzne 33 dolary odziali się i znaleźli chwilowe pomieszczenie. Przyszłość stała przed nimi w szarej, nowojorskiej mgłę, w której drogowskazami być miały przykazania, udzielone im przez Niemcewicza:<sup>3)</sup>

„Szanujcie prawa i ustawy krajowe... Pamiętajcie, żeście sami tylko przychodniemi w tej ziemi... W dzisiejszym położeniu waszym nie do was zaciekać się w marzenia polityczne, poprawiać rządy, skreślać nowe społeczeństw systema... Moralnym sprawowaniem się, pracą, użyciem talentów jakie kto posiada, zapewnić sobie winniście swobodę, szacunek i przychylność mieszkańców.

„Żadne społeczeństwo bez kierującej nim zwierzchności i ugodzonych przez siebie same ustaw istnieć nie może. Miejcie więc własne urządzenia przypominające wam ile można ojczyznę. Jeżeli kiedy, to w początkach osadzenia się jedność i zgoda braterska panować między wami powinna. Ciężkie będą początki waszego osiedlenia. Przyjdzie wam trzebić lasy, budować domy, kopać studnie, pracować, lemieziem pierwszy raz otwierającą się ziemię — i to wszystko połączonymi siłami prędzej się dokona, niż gdyby każdy pojedynczo pracował dla siebie.

„Pamiętajcie, że wszyscy znajdujemy się pośród obcych narodów — mało co znających dzieje nasze a nawet i dzisiejszy stan nasz. Podług nas więc, na których patrzeć, sądzić będą te ludy o całym narodzie polskim...”

Łatwo jednak było Niemcewiczowi udzielać z Francji rad. Daleko trudniej zaś wychodźcom polskim w Ameryce, bez grosza w kieszeni, bez rzemiosła czy znajomości kraju lub języka — żyć według nich.

## 3

W dniu wylądowania, 1 kwietnia 1834 r., deportowani zrealizowali projekt, powstały jeszcze w podróży, i zawiązali pierwszą „Polski Komitet Narodowy” na ziemi Waszyngtona. Przewodniczył Ludwik Banczakiewicz, b. kapitan 10 p. piechoty liniowej. Sekretarzem został Wojciech Konarzewski, skarbnikiem ks. Ludwik Językiewicz. W skład Komitetu weszli: dr Karol Kraitsiz, sztabslekarz z powstania, Marcin Rosinkiewicz, profesor Liceum Krzemienieckiego, Feliks Gwibczewski, obywatel z Wołynia, Jan Hiż, Józef Kossowski i ppor. Jan Rychlicki.

Za główny cel postawił sobie Komitet — w myśl przykazań Niemcewicza, — działanie połączonymi siłami a nie w pojedynkę. Uważał, że jeżeli pobyt wychodźców polskich w Stanach Zjednoczonych ma być długi (a może i na zawsze), to winni oni stworzyć sobie „Nową Polskę”, żyć spolem wspierając się wzajemnie, w stałej gotowości do powrotu do „Dawnej Polski”!

3) J. U. Niemcewicz, do Polaków w Ameryce, Paryż 25. 8. 1834.

w której nabyte za oceanem doświadczenie, kontakty handlowe i znajomość praktycznych zasad życia oddałyby nieocenione usługi. Postanowił więc Komitet dołożyć wszelkich starań, aby uzyskać od rządu amerykańskiego ziemię pod Kolonię Polską, w której „gdy losy zawistne zaprowadzą tu nowych naszych ziomków, w tym będą od nas szczęśliwszym położeniu, że znajdują rodaków, którzy ich do bratniego łona przycisną.”<sup>4)</sup> Zaraz też po wylądowaniu Banczakiewicz, Rosinkiewicz i dr Kraitsiz udali się z ramienia Komitetu do Waszyngtonu, by tam na Kongresie i u Prezydenta starać się o przyznanie gruntów pod osadę.

Wysłuchano ich i przedłożony projekt przyjęto, ale nie w takiej formie, w jakiej go Polacy pragnęli. Nic na to jednakże poradzić nie mogli, zmuszeni z braku funduszy, opuścić stolicę jesszede przed zakończeniem sesji Kongresu.

W ostatecznej formie projekt nadania Polakom ziemi wszedł na obrady Izby Reprezentantów dopiero podczas drugiej sesji Kongresu, w trzy miesiące później, 2 lipca 1834. Brzmiał następująco:

„Nadaje się Ludwikowi Banczakiewiczowi i jego towarzyszom w liczbie 235, wychodźcom polskim, przywiezionym do Stanów Zjednoczonych z rozkazu cesarza austriackiego, 36 sekcji gruntów,<sup>5)</sup> które sobie wybiorą... w granicach prowincji Illinois i terytorium Michigan.

Obrane 36 sekcji gruntów mają być podzielone na równe części... i wylosowane.

Każdy z osadników polskich wprowadzi się do posiadanej przez siebie części, a w końcu 10-ciu lat będzie mu wydany piśmienny dowód posiadłości gruntowej... byle ją tylko uprawiał i przez 10 lat ciągle na niej przebywał...

Podpisali: John Bell, prezes Izby Reprezentantów i M. Vanrurem, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych w dniu 30. 6. 1834.<sup>6)</sup>

Było to maksimum, jakie można było wówczas uzyskać. I nawet zabiegi nieustrudzonego dr Kraitsiza, który ponownie jeździł do Waszyngtonu, by sprawy polskiej na miejscu pilnować, nie zdołały złagodzić tej ustawy, niekorzystnej i pełnej prawnych haczyków.

Już w samym swoim założeniu bowiem była ona skierowana przeciwko tym, dla których „dobrodziejstwa” została uchwalona. Ziemia przejść miała na ich własność dopiero po dziesięciu latach stałego na niej przebywania. Nie mogli nią wcześniej rozporządzać ani też zahipotekować jej. Wreszcie, aby darowizna ta przydała się na co, trzeba było naprzód wydać od osoby 25 dolarów na dostanie się na miejsce, oraz przeszło 50

4) Sprawozdanie Komitetu Polskiego w Ameryce, ogłoszone w «Kronice Emigracji Polskiej», 1835 r.

5) Był to tzw. «township», równy 23.000 morgom kw., co dzielił między 230 wychodźców, dawało po 100 morgów kw. na głowę.

6) «Kronika Emigracji Polskiej», 1834.

dolarów na utrzymanie się przez pierwszy rok, zanim można byłoby liczyć na jaki taki zbiór — nie mówiąc już o funduszach na zakup narzędzi rolniczych, statków gospodarskich, ziarna na siew, krowy czy drobiu...

Skąd wychodźcy polscy mieli wziąć na to pieniądze?

Postanowili odwołać się do ofiarności społeczeństwa amerykańskiego. W tym celu zawiązany został Komitet Amerykański pod przewodnictwem Alberta Gallatina, byłego reprezentanta Stanów Zjednoczonych w Londynie i Paryżu, przyjaciela J. U. Niemcewicza. Głównymi działaczami tego Komitetu byli: dr Samuel Howe, znany filantrop z Bostonu, były członek Komitetu Polsko-Amerykańskiego, założonego w 1830/31 r. przez Lafayetta w Paryżu,<sup>7)</sup> M. Carey z Filadelfii oraz znany poeta amerykański, znajomy Mickiewcza, J. F. Cooper z Albany. Równocześnie, by nie zasypiać sprawy, Komitet Polski, którego przewodniczącym w międzyczasie został Marcin Rosinkiewicz,<sup>8)</sup> wysłał do Illinois dwóch swoich delegatów, ppor. Ludwika Chłopickiego, bratanka generała oraz J. Prehala. Mieli oni na miejscu zbadać sytuację i wybrać ziemię pod przyszłą osadę polską.

W związku z darowizną Kongresu i wyjazdem delegatów, stan Illinois wydał do Polaków odezwę, którą jako jedyny wówczas publiczny głos prawdziwej dla nas sympatii, warto przytoczyć:

„Przybądźcie szlachetni potomkowie walecznego Narodu, przybądźcie bohaterowie i męczennicy wolności, wyciągamy do was braterskie dłonie, chodźcie z nami dzielić bujne owoce ziemi naszej i tej swobody, która również krwią przodków waszych kupiona była.”

Niestety, delegaci polscy niezbyt szczęśliwie byli dobrani.

Prehal, odłączywszy się od swojego towarzysza i legitymując się urzędowymi papierami, otrzymanymi od Kongresu, objechał prawie całe Stany, zbierając subskrypcję niby na rzecz kolonii polskiej, po czym wsiadł na statek i wraz z pieniędzmi uciekł do Europy. Chłopicki dotarł do Illinois i wybrał szmat ziemi, ciągnący się po obu brzegach rzeki Rock.<sup>9)</sup> Wybór ten jednak nie był roztropny — ziemia bowiem była już częściowo zamieszkała przez starych kolonistów, którzy ją Indianom odebrali i wykarczowali, oraz — jako wyśmienicie położona — stanowiła łakomy kasek dla innych, bardziej w fundusze i wpływy zasobnych.

Komitet amerykański również nie działał tak, jak tego wymagał ogólny interes wychodźców. „Mając wielkie trudności wzbudzenia dla Polaków jakiegokolwiek skutecznego współczucia”, z bardzo nielicznych składek, które „wypadły zupełnie po-

7) W 1831 roku dr. Howe wybrał się do Warszawy, wioząc zebrane w Ameryce pieniądze oraz dwa sztandary, ufundowane przez młodzież z Bostonu. Aresztowany przez Prusaków w Berlinie, do Polski nie dojechał.

8) Pierwszy przewodniczący Komitetu Polskiego, Ludwik Bańczakiewicz, już w maju 1834 z godności tej zrezygnował, przyjąwszy służbę instruktora w amerykańskiej marynarce wojennej.

9) 150 mil od Chicago, niedaleko dzisiejszego Rockfordu.

niziej oczekiwać",<sup>10)</sup> utrzymywał wprawdzie wychodźców przez pierwsze trzy miesiące — ale cele jego nie były jednakowe z celami Komitetu polskiego. Przede wszystkim był przeciwny zbiorowej kolonizacji i starał się zabezpieczyć byt tylko tym, którzy znajdowali się w bezpośrednim zasięgu danego Komitetu miejskiego. Między nich rozdawał uzyskaną pieniądze<sup>11)</sup> z krzywdą już nie tylko dla sprawy osadnictwa, ale i tych poszczególnych wychodźców, którzy na własną rękę szukali pracy i nie znajdując się „przy żłobie”, ani grosza z kasy Komitetu nie otrzymywali.

Doprowadziło to do ostrego konfliktu, wywołało oskarżenia pod adresem Gallatina, którego w zapamiętaniu okrzyczano „wykonawcą woli Mikołaja” i posądzono o malwersację. Rozdźwięk ten wykorzystywała skwapliwie i rozdmuchała prasa amerykańska, rozwodząc się nad winami Polaków, a nawet bez ogródek przedstawiając całą emigrację polską jako zgraję wyrzutków europejskich, przed którymi Ameryka powinna zamknąć swoje porty. Oliwy do ognia dolewali jeszcze demokraci polscy, zaciętrzewieni w swoim politycznym doktrynerstwie, informując Amerykanów, że powstanie listopadowe dla tego tylko nie udało się, bo szlachta przeciwna była uwolnieniu włościan i wobec tego przyszła wojna o Polskę rozpocząć się musi od wyrznięcia szlachty...

Rezultat był ten, że społeczeństwo amerykańskie z jednej strony słuchając podobnych bredni, z drugiej zaś nie mając przez Komitet amerykański „objawionych ani celu subskrypcji ani sposobu użycia pieniędzy już złożonych”,<sup>12)</sup> przestało płacić składki, co z kolei ostatecznie zniechęciło Gallatina.

Ze wina była obustronna, zdaje się nie ulegać wątpliwości, skoro Gallatin skarżył się w liście do Niemcewicza na „różne okoliczności... które w znacznej części pochodziły z przesadnych roszczeń tzw. Komitetu Narodowego Polskiego, wybranego za ledwie przez czwartą część tu będących Polaków... a które skłoniły mnie do ogłoszenia w dziennikach (w grudniu 1834 r.), że odtąd nie podejmuję się przyjmowania żadnych pieniędzy dla polskich wychodźców...”. Również i najbardziej Polakom przyjazny dr Howe pisał do ks. Adama Czartoryskiego, że zniechęciły ich „komitety i kontr-komitety, polskie reprezentacje i nie wiem jakie władze, powstające i niknące...”.

Polityczne rozbieżności ówczesnej Emigracji znalazło swoje wierne odbicie i za oceanem, przysłaniając roztropne przykazania nawołującego do jedności Niemcewicza. Równocześnie niezrozumienie, a nawet wyraźna niechęć Amerykanów w stosunku do najbardziej zbawiennego dla emigrantów planu osadnictwa zbiorowego, wywołały zrozumiałą w ich tragicznej sytuacji

10) A. Gallatin w liście do Niemcewicza, «Kronika Emigracji Polskiej», 1834 r.

11) Ogółem zebrano około 10.000 dolarów, w czym również sumy przekazane z Francji przez ks. Adama Czartoryskiego i Niemcewicza.

12) Sprawozdanie Komitetu Polskiego w Ameryce, ogłoszone w «Kronice Emigracji Polskiej», 1835 r.

gwałtowną reakcją — znowuż błędnie przez społeczeństwo amerykańskie pojętą.

I tak oto „entuzjazm amerykański dla Polski wygasł. Fundusze zebrane kończyły się. Było coraz mniej przyjaciół. Amerykański slogan „help yourself” dziwnie obco brzmiał w uszach tych, którzy zwyczajni byli pomagać wszystkim, tylko nie sobie”.<sup>13)</sup>

„Żaden obraz nędzy i rozpaczy nie przedstawi rzeczywistego stanu braci naszych w Ameryce”, pisał Bertold Wierciński,<sup>14)</sup> jeden z nielicznych, którym udało się powrócić do Europy. „Trzeba tam być, widzieć, doświadczyć — aby opisy nie uważać za bajki... W kraju gdzie kaleka, rodak bez dwóch szylingów w kieszeni, pod gołym niebem w największej ulewie nocować musi, gdzie wszystkie uczucia mieszkańców w jedno uczucie zysku są zamienione, w takiej załodowanej pustyni, gorzkim jest położenie politycznego emigranta.”

Kim jednak byli ci rozbitkowie polscy na tej amerykańskiej pustyni?

Oficerowie i żołnierze — powstańcy. Polityczni wychodźcy, w odróżnieniu od emigrantów zarobkowych, ludzie na ogół z wykształceniem, nienawykli do ciężkiej pracy fizycznej. Kilku za ledwie znało język angielski. Jedna czwarta tylko miała jakiś rękodzielniczy fach. Cóż z tego że w olbrzymiej swojej większości byli „ludźmi uczciwymi i grzecznymi”. Na stosunki amerykańskie było to grubo za mało. Obciążeni byli wreszcie tradycyjną, polską „nadszajką”.

Najlepiej ten ich kompleks rozumiał dr Howe, pisząc do księcia Adama, że: „...żaden Polak nie uważa się za wiecznie swej ojczyzny pozbawionego i nie utracił nadziei jej wyzwolenia... Muszą więc i nawet powinni uważać się za chwilowych wygnanców... wyglądać nowego powołania do walki za Polskę,” ale — „...w podobnym stanie umysłów nie są sposobni do tej gorliwości i wytrwałości w pracach, które jedynie pomyślność w naszym kraju zapewniają.”

Ta „nadszajka” i to ale spowodowały, że rozeszli się po całej Ameryce, „szukając środków, ażeby mogli zapracować na opłacenie statku do Europy...”. Karczowali i wycinali lasy, osuszali błota, imali się najczęściej pracy przy najędźniejszym wyżywieniu i za małą lub żadną zapłatą. A gdy upominali się o wynagrodzenie odpowiadano im, że kontenci być powinni, ucząc się pracować i języka; gdy chcieli się uczyć rzemiosła, nie przyjmowano ich jako „pełnoletnich” już; jeżeli wreszcie otrzymali pracę w jakiejś fabryce to taką, której nikt inny mieć się nie chciał...

Niektórzy — uparci, wybrali się piechotą na ziemię w Illinois. 1700 mil o żebraczym chlebie. Niewielu, z Turówskim na czele, dotarło i osiadło na roli. Większość na pół drogi z głodu i nędzy ostała, nie mając sił iść dalej ani za co wracać. Byli i tacy,

13) List emigranta, «Kronika Emigracji Polskiej», 1834.

14) «Kronika Emigracji Polskiej», 1834.



którzy, jak Rostkowski, obywatel z Lubelskiego, z desperacji gardło sobie poderzegli... Kilkunastu ożeniło się — ale wszyscy źle. Kilku jeszcze w 1834 r. umarło na suchoty. Domański Ludwik, ksiądz unicki, pracował u szewca. Dobiecki i Putrament u Żyda w fabryce czapek, mając za 18 godzin ciężkiej pracy tylko nędzny stół. Byli szmuklerzami w New Yorku, robotnikami w fabryce ołowiu w Bostonie i w fabryce sukna w Lowell.<sup>15)</sup> Dwudziestu wybrało się do Nowego Orleanu, gdzie za służbę w wojsku, w Texasie, obiecywano im tyle ziemi ile zachcą.<sup>16)</sup> Rodzimi demokraci od powieszenia szlachty rozpoczynający w swych marzeniach wyzwolenie Polski, nie omieszkali i im łatki przyrzepić, przekonując Amerykanów, iż powodem, dla którego wielu Polaków zaciąga się do wojska w Texasie jest zakorzeniony feudalizm...

Komitet bostoński dr Howe, najdłużej czynny i najenergiczniejszy ze wszystkich komitetów amerykańskich, starał się Polaków, przebywających w jego zasięgu, osiedlić na granicy Kanady, w stanie Maine, gdzie jakiś Francuz podarował im swoje grunta. Major Lepin (z 5 p. ułanów) wysłany na zwiady, „niczym ów gołąb z arki Noego wypuszczony, zastał tam tylko gołą ziemię i skały”, wobec czego i ten projekt osadniczy upadł. Nie bez przykrych ech jednak, komitet bostoński bowiem zdążył jeszcze przedtem rozdzielić między 30 kandydatów na osadników posiadane 3000 dolarów, których ci oczywiście, nie dostawszy ziemi, nie zwrócili... Inni wychodźcy, poszkodowani tą

15) Spośród Polaków, którymi w latach 1834-35 opiekował się Komitet Bostoński (dr Howe), zatrudnieni byli:

Teodor Baczyński, podoficer, robotnik kolejowy w Bostonie;  
Ferdynand Pluta, podoficer, u szewca w Bostonie;  
Kazimierz Dolski, żołnierz, marynarz na statku amerykańskim;  
Tomasz Chrańcewicz, ppor., w fabryce ołowiu w Bostonie;  
Teodor Rogowski, żołnierz; Stanisław Białkowski, żołnierz; Józef Kwiatkowski, żołnierz; Franciszek Petrańowski, żołnierz; Jan Sułkowski, żołnierz; Andrzej Szeleszczyński, żołnierz; żydek, żołnierz — wszyscy w fabryce ołowiu w Bostonie;  
Stefan Wyszomirski, ppor., profesor w instytucie dla ślepców w Bostonie;  
Karol Plewiński, podoficer, u kupa w Bostonie;  
Józef Karczewski, podoficer; kpt. Jagiełło; Józef Jankiewicz, podoficer;  
kpt. Karol Postępski — wszyscy w fabryce sukna w Lowell;  
Henryk Barczewski, por., uczył malarstwa w Bostonie;  
por. Numa Lepkowski; ppor. Władysław Kamiński; Bielawski; Siołcki; Kwiatkowski; kpt. Aleksander Berowski — wszyscy w fabryce w Bostonie;  
ppor. Mierzwiński; ppor. Jan Rychlicki; ppor. Rosenfeld; por. Lemański; Kaliksł Rożynkowski; mjr. Lepin — wszyscy w Bostonie, różnych zawodów się imając, przy czym mjr. Lepin niezadługo wyemigrował dalej — do Brazylii.

Z tych kilkudziesięciu wyżej wymienionych polskich emigrantów, dosłownie tylko jeden «wypłynął» — Jan Rychlicki, który z czasem został znanym w Stanach inżynierem.

16) Byli wśród nich: ppor. Jan Hummel; ppor. Franciszek Petrusiewicz; ppor. Antoni Krzemiński; obyw. Eugeniusz Puchalski; ppor. Konstanty Rudkowski; obyw. Jan Rowicki; ppor. Franciszek Wiśniowski; ppor. Włodzimierz Piasecki; obyw. Jan Lisowski; obyw. Ludwik Malleson; ppor. Ludwik Kozłowski; obyw. Leon Nowosielski; ppor. Wojciech Krasicki; obyw. Wincenty Horodziejewski; żołnierz Janat.

regionalną polityką finansową, słuszny acz bezskuteczny krzyk podnieśli, zrażając tym ostatecznie amerykańskich „przyjaciół”.

## 4

Na próżno już starał się prezes Rosinkiewicz ulżyć losowi tonących wychodźców. Przeniósłszy się do Filadelfii, założył tam szkółkę dla Polaków, wydał pierwszą w Ameryce książkę polską — podręcznik do nauki języka angielskiego,<sup>17)</sup> a przekonawszy się o niepowodzeniu akcji osadniczej, jeszcze w 1834 r. przystąpił do organizowania biblioteki polskiej, w niej widząc pewne szanse utrzymania spoiwości rodaków w Ameryce. W związku z tą biblioteką warto zanotować charakterystyczny, a i dzisiaj aktualny urywek z listu Rosinkiewicza do J. U. Niemcewicza:

„Dziwne się może zdawać będzie, że herb polski, którym książki są znaczone... jest nieco zmieniony. Orzeł utracił koronę... Zmiany te konieczne są tu potrzebne. Korona zrobiłaby na Amerykanach wrażenie dążenia do rojalizmu i zupełnie by przeszkodziła do podjęcia pożądanego celu... Co jest najgłówniejsze: Orzeł Biały i Pogoń te pozostają”.<sup>18)</sup>

Niewiele jednak mógł Rosinkiewicz dokonać<sup>19)</sup> acz samotrzeć położyć fundamenta pod wielkie dzieło Polonii amerykańskiej. Na próżno też dwoił się i troili ostatni działacze Komitetu Polskiego, dr Kraitsiz i Feliks Gwinczewski, „zapominając o sobie a tylko losem rodaków się zajmując”. Sytuacja wychodźców polskich była tragiczna i nic jej już pomóc nie było w stanie. Nie tylko „wsiąkali” w terytorium amerykańskie, ale po prostu w nim tonęli.<sup>20)</sup>

Bezskutecznie jednak ostrzegali rodaków z Europy, dokładnie im los swój obrazując i upominając, że naród amerykański jest: „zimny i chciwy, któremu dolar Bogiem, cnotą, uczuciem — na wszystko obojętny co mu nie przynosi korzyści materialnych”. Na próżno sam dr Howe, w swoim liście do ks. Adama Czartoryskiego zaznaczał: „muszę zacząć od przestrogi dla Polaków będących w Europie, aby żaden z nich tu nie przybywał dopóki tylko tam jeszcze przebywać może”.

Mimo tych rad i przestroż, Polacy jechali do Stanów Zjednoczonych jak do Ziemi Obiecanej. Liczba ich w samym Nowym Yorku nie tylko że się nie zmniejszała, lecz rosła. W

17) «Rozmowy dla ułatwienia nauki języka angielskiego dla emigrantów polskich», Filadelfia 1834.

18) «Kronika Emigracji Polskiej», 1835.

19) Zmarł w 1847 r. w Filadelfii.

20) Poza wspomnianym już inż. Rychlickim o dwóch tylko jeszcze spośród owych 235 deportowanych wiemy, iż «wypłynęli»: Józef Truskolaski, dzięki szczególnej opiece J. F. Coopera ukończył studia techniczne i od 1843 był zastępcą naczelnego geometry w stanie Louisiana, oraz dr Feliks Wierzbicki, który również dzięki opiece rodziny amerykańskiej ukończył medycynę, w czasie «gorączki złota» w 1849 r. zawędrował do Kalifornii, gdzie założył «Medical Society of California» i napisał pierwszą książkę o tym kraju («California as it is as it may be», 1840).

1835 roku było ich tam już 432, z których „50 dobrze się wiodło, 250 zarabiała na życie, reszta zaś była bez zatrudnienia i zdolności do pracy”. Przybywali dobrowolnie jak owa grupa kilkudziesięciu Polaków, którym udało się z końcem 1833 roku zejść w Portsmouth z pruskiego statku deportującego ich do Ameryki, a którzy w rok później, niezadowoleni z przyznanej im przez rząd brytyjski zapomogi, pod przywództwem płk. Oborskiego do Ameryki tej z własnej woli pojechali.<sup>21)</sup> Przybywali przymusowo, nadal z Austrii deportowani jak np. ów transport 51 deportowanych Polaków, którzy 8 października 1836 r. opuścili port w Trieście pod pokładem brygu „Talizman”. Burze i przeciwnie wiatry, po 142 dniach podróży, zagnały ich aż do wyspy Dominika (Indje Zachodnie), której ludność, dowiedziawszy się o tragicznych losach deportowanych, spontanicznie zebrała dla nich ponad 100 funtów.<sup>22)</sup>

Ci nowi przybysze do Stanów Zjednoczonych nie należą już jednak do dziejów owych pierwszych 235 polskich wychodźców politycznych, wyrzuconych na „zaludnioną pustynię amerykańską”. Ostatnim rozdziałem tragicznej historii tych ludzi było definitywne przekreślenie ich planów osadniczych.

7 lutego 1835 r., na skutek niestrudzonych wysiłków dr Kraitsiza, przedłożono w Senacie „Bill” (projekt do prawa) jako dodatek do przeszłorocznej ustawy, nadającej Polakom grunta w stanie Illinois. Poprawka ta miała na celu złagodzenie i upraktycznienie tej ustawy, zezwalała bowiem na zastaw ziemi pod fundusze, potrzebne na opatrzenie pierwszych potrzeb oraz na rozporządzenie się nią w testamencie. „Bill” przyjęty został przez Senat większością 13 głosów, po czym przeszedł do Izby Reprezentantów, gdzie podobnie jak ci, których dotyczył — utonął. Ostatni raz mówiono jeszcze o nim w Izbie dnia 31 maja 1836 roku. Głos zabierał poseł Virginii, zapytując:

„Czyż to nadanie (ziemi Polakom) nie będzie zachęceniem do buntów w obcych krajach? Krok taki mógłby zagrozić naszemu bezpieczeństwu... naszemu charakterowi mądrego i roztropnego ludu...”

W rezultacie „Billu” nie odczytano po raz trzeci i ponownie odłożono go, tym razem już nie do następnej sesji Kongresu — lecz na zawsze.<sup>23)</sup>

Pierwsi wychodźcy polscy, zagrażający bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ostatecznie w morzu amerykańskim utonęli.

21) Prasa emigracyjna podawała, iż były «mniemania i poszlaki, że konsul pruski ich do tego namówił, wystawiając im błogie w Stanach życie».

22) Podziękowanie z ramienia deportowanych Polaków podpisali: Michał Włoszczowski, Stefan Ludwik Piotrowski, Julian Biernacki, Franciszek Szawłowski, Jan Józefowicz, Stanisław Kamiński i dr Andrzej Kurzewski.

23) Polskie plany osadnicze, niczym duch smutnej przeszłości, po dzień snują się po aktach stanu Illinois, pod nazwą «Polish Claim».

## 5

Niektórzy jeszcze, wspólnie z nowymi wychodźcami, bezskutecznie usiłowali swą polskość i jedność ratować, zakładając 20. 3. 1842 r. „Towarzystwo Polskie w Ameryce”. Zebrało się ich 63...<sup>24)</sup> pod przewodnictwem ks. Ludwika Językowicza, b. skarbnika pierwszego polskiego Komitetu Narodowego. W 1848 roku nie ma już po nich śladu.

W 1852 r. powstaje jeszcze „Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich w Ameryce”. Liczyło przeszło 200 członków i — w 1858 r. podzieliło los swoich poprzedników.

Wielka fala polskiej emigracji zarobkowej z końca XIX i początku XX wieku nie znalazła już na zaludnionej pustyni amerykańskiej ani śladu ścieżek, wydeptanych krwią i potem skropionych, przez pierwszych 235-ciu politycznych wychodźców polskich w Ameryce.

Odnajdmy je dzisiaj, my — tych deportowanych wygnańców spadkobiercy — ku nauce i przestrodze!

Aleksander GROBICKI.

24) M. nimi: W. Lange, Bazyl Jaroszyński, H. Paięcki, Izidor Czarnowski, F. P. Wierzbicki, G. Mass, J. Wodzyński, E. Miller, N. Lępkowski i Henryk Kałusowski, późniejszy Komisarz Rządu Narodowego 1863 r. w Ameryce.

## „POD PRĄD”

(wychodzi 3 razy w miesiącu)

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

**FRIBOURG 1, case 155, SUISSE.**

DO NABYCIA:

**FRANCJA:** «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>  
(cena 25 fr.).

**NIEMCY:** Administracja «Universum», Waldhornstr. 25,  
München-Allach. (mies. 2 DM., kwart. 6 DM).

**W. BRYTANIA:** Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill  
Grove, London W.3. (cena 6 d.).

**BELGIA:** Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles,  
(cena 7 fr.).

**WŁOCHY:** Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.  
(cena 60 lirów).

## Kronika kulturalna

### Na scenach paryskich

Paryż, w marcu.

„Les Fourberies de Scapin” Moliera, wystawione ostatnio w teatrze Marigny w inscenizacji Jovet z Jean-Louis Barrault w roli głównej, wywołały ożywioną dyskusję, która przez kilka tygodni zapełniła kroniki teatralne pism paryskich. Dyskusja ta raz jeszcze postawiła pytanie, jak daleko iść może indywidualność reżysera w inscenizacji sztuki i do jakiego stopnia może on nie liczyć się z tradycją i stylem autora.

Jean-Louis Barrault, opanowany przez demona tańca, stworzył postać Scapina daleko odbiegającą od przyjętych dotychczas wzorów. Zamiast łobuza, filuta, wielokrotnie notowanego w archiwach policji kryminalnej, zobaczyliśmy lekkiego jak piłka pierrota, przeskakującego nieustannie z jednego końca sceny na drugi, postać żywcem przeniesioną z komedii włoskiej, w najlepszym razie przypominającą Lubina z „Les Fausses Confidences” Marivaux, niezmiernie jednak odległą od Moliera.

Wprowadzenie na scenę podwójnych schodów z żelaznymi poręczami skomplikowało przedstawienie i osłabiło jego rytm. Początek sceny z galerią tak jak i dialog pomiędzy Argente i Scapin w pierwszym akcie wypadły niestety blado i bez wyrazu. Przez cały czas Scapin wykonywuje szereg skomplikowanych łamańców na schodach, zakończonych karkołomną jazdą po poręczach. Znakomity dialog Moliera gubi się w tej pantomimie zupełnie.

Tak pomyślane przedstawienie musiało się spotkać z poważną krytyką. Jovet odpowiedział na nią w liście otwartym, ogłoszonym w jednym z ostatnich numerów „Figaro Littéraire”. Twierdzi on m. in., że w ciągu swego życia trzy razy wystawił „Les Fourberies de Scapin” i że za każdym razem nadał przedstawieniu inny charakter... „Rien n'est absolu. La mise en scène est comme la pirière. Tout y est relatif à la ferveur...”

Z twierdzeniem tym trudno się zgodzić. Sztuka teatralna nie

może stać się, pod żadnym pozorem, pretekstem dla realizacji takich czy innych pomysłów inscenizatorskich reżysera. Grozi to całkowitym zagubieniem literackich walorów dzieła i upodobnia teatr do Music Hallu. Reżyser musi również pamiętać, że każdy autor ma swój styl (dotyczy to w szczególności autorów klasycznych) i że obowiązkiem jego jest ten styl zachować. Np. recytowanie tekstu Moliera lub Marivaux z akcentem „argot” paryskiego, jak to często robi J. Desailly, jest rzeczą zupełnie niedopuszczalną. Tak samo „italianizowanie” Moliera nie prowadzi do niczego. Molière ma swój własny styl, zupełnie różny od komedii włoskiej, i utrzymanie go jest jednym z zadań teatru francuskiego.

„Les Fourberies de Scapin” poprzedzone są komedią Marivaux „La Seconde Surprise de l'Amour”. W przedstawieniu od początku do końca dominuje Madeleine Renaud. Trudno wyobrazić sobie więcej wdzięku, taktu i finezji. Trudno wykazać lepsze zrozumienie tekstu i jego wartości literackich. Zrozumienie to wymaga dużej kultury, której brak niestety niektórym z pozostałych członków trupy. Dowodzi tego choćby fakt, o którym już wyżej wspomniałem, że niektórzy aktorzy recytują tekst Marivaux z akcentem, przypominającym raczej argot z dzielnic robotniczych niż pełen finezji język z XVIII w. Kilka lat temu miałem możliwość oglądać tę samą sztukę w Komedii Francuskiej (gdzie również oglądała Madeleine Renaud grała rolę główną). Różnica aż zanadto wyraźnie rzuca się w oczy. W Komedii Francuskiej każda najmniejsza rola, każde zdanie są wystudowane w najdrobniejszych szczegółach. Każdy z aktorów zna dokładnie epokę i styl autora. Granie autorów klasycznych wymaga gruntownej ich znajomości i solidnego wykształcenia literackiego.

O ile inscenizacja „Les Fourberies de Scapin” może wzbudzić daleko idące zastrzeżenia, to wystawienie sztuki Claudela „Partage de Midi” uważać należy za udane pod każdym względem. Claudel napisał „Partage de Midi” w 1905 roku. Dramat wydano wówczas w 150 egz. i autor postanowił, że za jego życia nie będzie on grany na scenie. Szereg odpisów krążyło jednak w kręgach miłośników teatru i niektóre sceny, jak np. Cantique de Mesa, w krótkim czasie zaliczone zostały bez mała w poczet klasyków. Jean-Louis Barrault postanowił sobie jako jeden z celów swego życia wystawienie „Partage de Midi”. Po szeregu lat trwającej dyskusji, Claudel dał się wreszcie namówić i oddał dramat w ręce młodego reżysera. Premiera miała miejsce w drugiej połowie grudnia ub. r.

Dramat niewątpliwie nie należy do najłatwiejszych. Jeżeli przed pójściem do teatru widz nie zapozna się z tekstem\*) i nie przeczyta wstępu (wydrukowanego zresztą w programie) albo jeszcze lepiej komentarza Claudela w „Figaro Littéraire”

\*) „Partage de Midi” ukazało się niedawno w zwykłym wydaniu, nakładem Mercure de France.

re”, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zgubi się w dyskusjach filozoficznych, prowadzonych przez Ysé i Mesa i że w rezultacie przynajmniej część idei autora ujdzie jego uwadze. W żadnym wypadku nie będzie mógł jednak pozostać niezauważony na wartości literackie dzieła. Od samego początku zostanie porwany wspaniałym stylem i potęgą dialogu Claudela. Znakomita dykcja Edwige Feuillère, Jean-Louis Barrault, Pierre Brasseur i Jacques Dacquine odwrócą jego uwagę od historii niewiernej żony i od kary jaką pociąga za sobą wykroczenie przeciwko 6-temu przykazaniu, i pozwolą na słuchanie przedstawienia jak najpiękniejszego koncertu.

Inscenizacja Jean-Louis Barrault inteligentna i pełna umiaru podkreśla literackie wartości tekstu. Interpretacja roli Ysé przez Edwige Feuillère znakomita pod każdym względem. Słowem przedstawienie, które na pewno przejdzie do historii teatru francuskiego.

Jednym z głównych zarzutów, stawianym ostatniej — dwudziestej siódmej z rzędu sztuce Henri Bernsteina „La Soif” była zbyt duża ilość miejsca poświęconego miłości i wskrzeszenie komedii burżuazyjnej w czasach, w których niewspółmiernie ważniejsze zagadnienia domagają się rozwiązania.

Już kilka miesięcy temu miałem możliwość zwrócić w tym miejscu uwagę na wyraźnie zarysowującą się tendencję wprowadzenia aktualnych tematów politycznych i społecznych na scenę i na niebezpieczeństwo, jakie wyniknąć stąd może dla współczesnego teatru. Obecny sezon teatralny we Francji wykazuje pod tym względem znacznie więcej umiaru. Jedynie dwie sztuki starają się wprowadzić na scenę element aktualny. Są nimi „Les Mains Sales” Jean-Paul Sartre’a i „L’Etat de Siège” Alberta Camusa.

„Les Mains Sales” Jean-Paul Sartre’a cieszy się dziś niespotykanym wprost powodzeniem na całym świecie. Sztuka przetłumaczona została na kilkanaście języków i grana jest równocześnie na scenach szeregu stolic europejskich i amerykańskich. W Paryżu cieszy się ona niesłabnącym powodzeniem od przeszło roku i każdy z przejezdnych uważa sobie za jeden z pierwszych obowiązków zobaczyć rozprawę Sartre’a z komunizmem w teatrze Antoine.

W Komitecie Centralnym Partii Komunistycznej Illirii nastąpił rozłam. Haederer, najsilniejsza indywidualność w Partii nie zgadza się z taktyką, obraną przez Komitet. Dąży on do objęcia władzy na mocy układu z burżuazyjną Organizacją Ruchu Oporu i ze współpracującą z Niemcami Partią Regenta. Komitet, nie mogąc odwołać się do Moskwy, uznaje Haederera za zdrajcę. Hugo, sekretarz Haederera, otrzymuje misję zgłędzenia go. Hugo jest synem bogatego przemysłowca. Dąży on szczerze do wyrównania różnic społecznych i dlatego wstąpił do Partii. Zgłędzenia Haederera podjął się nie tylko dlatego, że uważa go za zdrajcę czystej doktryny marksistowskiej, ale

również dla udowodnienia swym towarzyszom, a równocześnie i sobie samemu, że zdolny jest do akcji w całym tego słowa znaczeniu. Hugo nie może jednak zdecydować się na wykonanie powierzonych mu misji. Silna indywidualność Haederera oraz argumenty, przytoczone przez niego w obronie swej polityki wzbudziły w nim wątpliwość. Ażeby zabić, Hugo musi mieć pewność, że ma rację. Nie może on stać się ślepym narzędziem w rękach Partii. Zdecydowanym na wszystko działaczem politycznym trzeba się urodzić. Intelktualista nie zostanie nim nigdy. Pomiędzy Hugo a jego towarzyszami leży przepaść nie do przebycia; należą oni do różnych klas społecznych. Haederer zostanie jednak zabity. Hugo złapał go na gorącym uczynku flirtu ze swoją żoną i strzelił, nie tyle z przekonania, ile z zazdrości. W dwa lata później, po wyjściu z więzienia Hugo dowiaduje się, że Moskwa przysłała instrukcje, pokrywające się z polityką Haederera, który został uznany za bohatera narodowego. Partia Komunistyczna wydała rozkaz zgłędzenia mordercy. Hugo może jeszcze uratować swe życie, jeżeli zapomni o przeszłości, w szczególności o misji, którą otrzymał do wykonania. Partia przyjmie go z powrotem i da mu nowe zadania. Hugo odrzuca jednak to rozwiązanie. Partia Komunistyczna nigdy nie będzie miała z niego pociechy.

Na pierwszy plan wysuwa się problem, czy przedstawiciel klasy burżuazyjnej może zostać prawdziwym komunistą. Na pytanie to autor daje wyraźną odpowiedź: przynależność do klasy społecznej dzieli ludzi raz na zawsze. Hugo nigdy nie zostanie przyjęty w szeregi ruchu robotniczego. Mniej wyraźną wydaje mi się odpowiedź na postawione raz jeszcze pytanie: czy cel uświęca środki? Autor nie wypowiada się ani po stronie Haederera, ani po stronie Hugo. Dlatego też wydaje mi się, że trudno jest uważać „Les Mains Sales” za atak na Partię Komunistyczną i nieprzejednaną krytykę stosowanych przez nią metod.

Sztuka jest znakomicie napisana i stanowi nowy dowód zrozumienia wymogów sceny i dużego talentu literackiego autora. Jeżeli dodamy do tego doskonałą inscenizację i znakomitą grę André Luget, Marie Olivier i François Perier, łatwo zrozumieć powodzenie, jakim cieszy się ona od tak długiego czasu.

Nie można tego niestety powiedzieć o dziele nie mniej znanego pisarza egzystencjalistycznego, Alberta Camusa „L’Etat de Siège”, pomimo aktualnego tematu (krytyka totalizmu ze szczególnym uwzględnieniem jego hitlerowskiego wydania) i znakomitej inscenizacji Jean-Louis Barrault, po kilkunastu przedstawieniach została zdjęta z afisza. Przyczyna tego jest bardzo prosta: Camus nie umie pisać dla teatru. Już kilka lat temu, jego pierwszy utwór dramatyczny „Caligula” nie wróżył nic dobrego na przyszłość. „L’Etat de Siège” potwierdza dziś pierwsze wrażenie. Znakomity autor „La Peste” — w przeciwieństwie do swego kolegi J.-P. Sartre’a — nie rozumie wymogów sceny i nie może być uważany za pisarza dramatycznego. Oto jeszcze jeden dowód, że nawet najbardziej aktualny temat

i najlepsza inscenizacja nie zdołają zastąpić prawdziwego talentu dramatycznego.

Mała sala teatralna w Museum Grevin już po raz drugi w tym sezonie gości teatr Arlekina Xavier de Courville, zwany również „Théâtre Joli”. Założony około 50 lat temu Théâtre d'Arlequin przez cały czas swego istnienia stara się zachować i utrzymać coraz bardziej zapominany dziś rodzaj teatru. Program, składający się z szeregu krótkich scen, może być często bogatszy od jednego długiego przedstawienia. Teatr Arlekina odznacza się przede wszystkim różnorodnością. Od starych piosenek ludowych poprzez sceny z opery XVIII w., operetki ub. stulecia, aż do dzieł współczesnych autorów. Od dawnej pantomimy poprzez balet klasyczny aż do dzieł realistycznych, żaden rodzaj teatru nie jest mu obcy.

Xavier de Courville dał nam w tym roku dwa przedstawienia. Pierwsze składa się najpierw z kilku starych i współczesnych piosenek, później z 5-ciu bajek La Fontaine'a, wśród których przede wszystkim wymienić należy „La Cigale et La Fourmie”, nieznanne dotychczas dzieło Offenbacha, i wreszcie z 5 piosenek — 5 kontrastów z muzyką Cassadessus, Rameau i Auber. W programie drugiego przedstawienia znajdujemy: „La Cantate du Café” J. S. Bacha, „Le Combat de Tancrède et de Clorinde” Monteverdi, „Le Ruban Egaré” Mozarta i „M. Choufleuri restera chez lui le...” Offenbacha.

Obydwa przedstawienia pomyślane i zmontowane przez Xavier de Courville przy pomocy Jacqueline Pianavia — stanowią przykład, do jakich rezultatów może doprowadzić prawdziwe umiłowanie teatru, połączone z dużą kulturą i jak przy pomocy minimalnych środków można zrobić doskonałe przedstawienie. Wśród nowych sztuk wymienić należy „Le Voleur d'Enfants” Jean Supervielle, starannie wystawiona w teatrze Oeuvre przez Raymond Rouleau, „107 minutes” Stève Passeur, znakomite przedstawienie, zmontowane przez Marguerite Jamois w teatrze Montparnasse — Gaston Baty i przede wszystkim „Ardèle ou la Marguerite” Jean Anouilha.

Koncząc rok temu „Invitation au Château” Jean Anouilh chciał dodać na afiszu dopisek: komedia intrygi. Komedia intrygi, która swego czasu cieszyła się wyjątkowo dużym powodzeniem — szczególnie we Włoszech i Hiszpanii — poszła od dłuższego czasu w zapomnienie. Zarzucano jej, że operuje osobami konwencjonalnymi, i że charaktery jej postaci są sztuczne. Teatr XIX wieku zwrócił się w kierunku realizmu. Postawił sobie za zadanie przeniesienie na scenę „prawdziwych” postaci, wziętych z codziennego życia. Dziś niektórzy pisarze, odsuwając się od przesadnego realizmu oraz nie chcąc dopuścić do wprowadzenia na scenę dyskusji na tematy polityczne i społeczne, od czasu do czasu wracają do komedii intrygi. Anouilh od początku swej twórczości literackiej wykazywał duże zainteresowanie dla tego rodzaju teatru. „Bal des Voleurs” jest znakomitą

komedią z tego zakresu. Po „Invitation au Château”, „Ardèle ou la Marguerite” jest do pewnego stopnia dalszym krokiem na tej drodze.

Nowa sztuka nie może być jednak zaliczona w poczet pogodnych i beztrudnych komedii. Obfituje ona w szereg momentów o wysokim napięciu dramatycznym. Niewielu autorów może pozwolić sobie na tego rodzaju eksperyment. Włączenie do wodewila scen dramatycznych bez naruszenia konstrukcji sztuki i tempa akcji jest zadaniem nad wyraz trudnym. Anouilh wywiązał się z niego znakomicie. „Ardèle ou la Marguerite” tworzy zwartą całość, i od kilku miesięcy cieszy się niesłabnącym powodzeniem na scenie teatru Comédie des Champs Elysées.

Z prawdziwą przyjemnością można już dziś twierdzić, że wyśiłki p. Pierre-Aimé Touchard, mające na celu zreorganizowanie Komedii Francuskiej (Comédie Française) i przywrócenie jej dawnej świetności, zostały uwieńczone pełnym powodzeniem.

Przed wszystkim nowemu administratorowi udało się zrekonstruować zespół. Powoli większość wybitniejszych artystów którzy opuścili Dom Moliere dwa lata temu, znalazła się z powrotem na deskach pierwszego teatru Francji. Przed paroma miesiącami powrócił do Komedii Francuskiej Aimé Clariond, a kilka dni temu mieliśmy możliwość ponownie usłyszeć wspaniałą dykcję Marię Bell w „Fedrze” Racina. Równocześnie zespół uzupełniono nowymi siłami. W ślad za Pierre Brasseur i Jean Davy w szeregach Komedii Francuskiej znaleźli się Pierre Blanchard i Henri Rollan. Po załatwieniu pierwszych trudności z personelem, trzeba było zająć się repertuarem. I tu również zaobserwować możemy znaczną poprawę i to zarówno pod względem jakości przedstawień jak i urozmaicenia repertuaru.

W sali Richelieu (dawna Comédie Française) przede wszystkim wymienić należy nową inscenizację „Monsieur de Pourceaugnac” Moliere. W pierwszej części artykułu zdecydowanie wystąpiłem przeciwko dającym się zauważyć tendencjom italizowania Moliere. Muszę przyznać, że inscenizacja J. Meyera często sięga do wzorów włoskich. I tak np. aptekarz w wykonaniu p. Hirsha znówu bardziej przypomina lekkiego pierrota z komedii włoskiej niż poważnego aptekarza Moliere. „Monsieur de Pourceaugnac” jest jednak jedną z nielicznych komedii która, dzięki baletom i pantomimom, pozwala na wprowadzenie wzorów włoskich. Na podkreślenie zasługuje fakt, że ani przez chwilę wartości tekstu nie są poświęcone na korzyść efektów inscenizacji. Pod tym względem Komedia Francuska bezapelacyjnie wyprzedza inne teatry. Zrozumienie autorów klasycznych przez całą grupę jest godne podziwu. Na podkreślenie zasługuje też doskonała dykcja zespołu, — zaleta coraz rzadziej spotykana na scenach teatrów bulwarowych. Ostatnio tłumaczono mi, że zanik dykcji spowodowany jest przez nakręcanie filmów dźwiękowych przez artystów teatru. Nie przemawia mi to jednak zbyt do przekonania. Renée Faure i Aimé

Clariond często oglądaliśmy na ekranie co nie przeszkadza im w poprawnym recytowaniu Racina.

W sali Luxembourg (dawny Odéon) uderza różnorodność repertuaru. „La Reine Morte” Henri de Montherlant, „L'Inconnue d'Arras” Salacrou, „Les Temps Difficiles” Edouard Bourdet, „Renaud et Armide” Jean Cocteau, „Les Mal Aimés” Mauriaca — trudno więcej wymagać od zespołu, który równocześnie musi obsłużyć klasyczny repertuar sali Richelieu. Pod względem inscenizacji, duży wysiłek włożono w zmodernizowanie panujących dotychczas w Komedi Francuskiej szablonów. Pod tym względem niejedno pozostaje jeszcze do zrobienia. Aktorzy przyzwyczajeni do grania Racina i Corneilla mają tendencję do deklamowania, co np. w sztukach Montherlant niezawsze robi dobre wrażenie. Duże talenty jak np. Marie Bell, Renée Faure, Aimé Clariond potrafią bez trudu uwolnić się od tych naleciałości — u innych tendencja do deklamacji wciąż jeszcze pokutuje.

Trudno jednak żądać od wszystkich doskonałości. Pomimo drobnych usterek śmiało już dziś można powiedzieć, że kryzys Komedi Francuskiej należy do przeszłości i że odzyskała ona w całej pełni produkujące stanowisko w teatrze francuskim.

Na zakończenie trudno nie wspomnieć choć w kilku słowach o śmierci Christian Bérard. — Około 15 lat temu Jouvet powierzył mu wykonanie dekoracji i kostiumów do „Ecole des Femmes”. Od tego czasu Bérard stał się jednym z najbardziej wziętych dekoratorów scen paryskich. Wyróżniał się on zawsze głębokim zrozumieniem teatru. Jouvet twierdził, że przy jego pomocy nie zawahałby się wystawić nawet „Maksym de La Rochefoucauld”. To zrozumienie teatru łączyło się z dużym wyczuciem poezji. Kostiumy i dekoracje projektowane przez niego wybornie podkreślały charaktery postaci i atmosferę panującą na scenie. Uczeń Villarda, Bérard odznaczał się dużym wyczuciem koloru. Z jego śmiercią Francja traci jednego z najlepszych dekoratorów.

Tadeusz HEINRICH.

**P O L S K A**  
**PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE**  
**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ**  
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej  
 lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism  
 wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*,  
*WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

# Pamiętnik

## Zjazdu Naukowego

### w Monachium

### 28. VIII. 1948 r.

28 i 29 VIII 1948 r. odbył się w Monachium Zjazd Naukowy, zorganizowany przez Koło Profesorów i Asystentów Uniwersyteckich. Celem Zjazdu była popularyzacja wyników prac naukowych. Warto podkreślić, że polscy pracownicy nauki w Niemczech znajdują się w sytuacji, uniemożliwiającej właściwą pracę naukową z powodu braku książek i konieczności pracy zarobkowej, niezwiązanej z nauką. W tych warunkach, oraz z uwagi na raczej popularyzacyjny charakter wygłoszonych referatów, może się wydawać słuszną uwagę, że właściwiej byłoby tu mówić o pracy kulturalnej, niż naukowej, oczywiście z dodatkiem, że ten stan rzeczy jest wynikiem ograniczenia do minimum pomocy dla polskich środowisk w Niemczech, które chciałyby posiadać prawo do nazywania się naukowymi.

Korzystając z propozycji wydawnictwa „KULTURA”, Koło Profesorów i Asystentów w Monachium oddaje do jego dyspozycji streszczenia wygłoszonych na Zjeździe referatów. Z żalem musimy zrezygnować z ogłoszenia referatów dr E. Góry „O strukturze cząsteczek elementarnych”, gdyż autor, wezwany nagłem do Stanów Zjednoczonych, nie miał możliwości dostarczenia nam swego referatu, oraz prof. prof. dr W. Fedukowicza, który nie mógł nam na czas dostarczyć streszczenia referatu „O wpływie prądów błądzących na rezultaty obserwacji magnetycznych” z powodu przeciążenia ważnymi sprawami społecznymi.

Koło Polskich Profesorów  
i Asystentów Uniwersyteckich  
w Monachium.

---

Polski Zjazd Naukowy w Monachium wywołał w swoim czasie ożywioną dyskusję prasową. Podkreślano, że to jest pierwszy zjazd na emigracji, że został zorganizowany w Niemczech nie zaś w Londynie, gdzie poza Ministerstwem Oświaty, jest tyle Instytutów, Zrzeszeń, Funduszy etc., że zorganizowali go nie uczeni polscy, przebywający we względnie dobrych warunkach w W. Brytanii, ale D.P., których położenie dobrze znamy, że Zjazd nie otrzymał najmniejszej pomocy od czynników «miarodajnych», że nawet nie można było wydstać paru funtów na ogłoszenie drukiem referatów zjazdowych. Dyskusja była bardzo ożywiona, ale — jak normalnie — nie z niej nie wynikło.

W dyskusji tej nie braliśmy udziału, natomiast podjęliśmy się wydrukowania Pamiętnika Zjazdu, jakkolwiek problematyka naukowa nie była przewidziana w planie redakcyjnym. Robimy to tym chętniej że wyżej przytoczone fakty napełniają nas optymizmem. Utwierdzają bowiem w przekonaniu, że emigracja jednak spełnia swe zadania, że są na niej ludzie, którzy w najgorszych warunkach umieją pracować dla celów ogólnych bez pomocy i subwencji, i że gorszące widowisko londyńskie nie jest miarodajne dla oceny całości naszej działalności. Takich przejawów jest więcej i będzie coraz więcej. Naszą ambicją, jako zespołu, będzie by zawsze wychodzić im naprzeciw i by zawsze mogły one znaleźć oddźwięk pozytywny na łamach «Kultury». Nasze trudne warunki nie pozwoliły na wydrukowanie wszystkich referatów w całości. Zamieszczamy więc obszernie streszczenia większości.

REDAKTOR.

## Gospodarcze źródła współczesnego kryzysu kultury

(streszczenie)

Zagadnienie współczesnego kryzysu kultury, którą nazywamy europejską, miało już swą obszerną literaturę przed drugą wojną światową. Ostatnio literatura ta wzbogaciła się o szereg nowych prac, że wymienię przykładowo Roepkego, Sorokina i in. Niestety, większość prac powojennych była dla mnie niedostępna, zaś, powołując się na prace przedwojenne, opieram się tylko na zawodnej pamięci. Niech ten drobny fakt posłuży za ilustrację niemożliwości prawdziwej pracy naukowej tzw. Dipisów w Niemczech. Zniszczone i niedostatecznie uzupełniane biblioteki niemieckie są trudno dostępne dla obcokrajowców, gdyż nie mogą zaspokoić nawet potrzeb nauki niemieckiej. O sprowadzaniu literatury naukowej na własny koszt nie ma, niestety, mowy.

Dlatego muszę się ograniczyć do dania pewnego rzutu oka na zagadnienie roli zjawisk gospodarczych we współczesnym kryzysie kultury, do wskazania pewnych powiązań, jakie łączą życie gospodarcze z innymi przejawami działalności człowieka na tle jednego współczesnego kryzysu, który możemy z wielu punktów widzenia rozpatrywać.

Pojęcia „kultury” i „cywilizacji” nie są, jak wiadomo, sprecyzowane i bywają używane w różnym znaczeniu, przy czym dochodzi do takich dowolności, jak używanie przez jednych terminu „kultura” dokładnie w tym znaczeniu, w jakim inni używają terminu „cywilizacja” i na odwrót. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest zadaniem ekonomisty ich precyzowanie, muszę jednak wyjaśnić, o co mi chodzi w niniejszym referacie.

Kulturą będzie dla mnie całokształt twórczości i zdolności twórczych człowieka, zarówno w dziedzinie ducha, jak i w dziedzinie materii. W tym znaczeniu możemy mówić o kulturze moralnej, o kulturze prawnej, o kulturze estetycznej, której wyrazem jest sztuka, kulturze technicznej itp.

Przemiany gospodarcze ostatnich dwu stuleci związane są z tymi wszystkimi dziedzinami twórczości ludzkiej i wydaje mi się, że wszystkie te dziedziny dotknięte są przesileniem, wyra-

zającym się w powszechnym niezadowoleniu z istniejącego stanu rzeczy i zależnie od reakcji osobistych wywołującym dążenie do przemian rewolucyjnych lub poczucie beznadziejności i biernego pesymizmu.

Zadanie, jakie sobie postawiłem, polega na próbie określenia wpływu współczesnego życia gospodarczego na całokształt twórczości ludzkiej z jednej strony, a z drugiej strony wpływu myśli ludzkiej na życie gospodarcze.

O ile bowiem przy powiązaniu objawów przesilenia we wszystkich dziedzinach skłonni jesteśmy na polu działalności gospodarczej i stylu życia, narzuconego przez gospodarcze przemiany, upatrywać jedną z głównych przyczyn przesilenia, o tyle jest rzeczą jasną, że przemiany te były wywołane nie tylko zdobyciami wiedzy technicznej, a może nawet nie przede wszystkim zdobyciami wiedzy technicznej, lecz jednostronnością myśli ludzkiej, gdyż sam rozwój wiedzy technicznej przypisać można wielkim prądom racjonalizmu, kierującego myśl ludzką ku naukom przyrodniczym.

Żyjemy w okresie, pozostającym pod wpływem myśli racjonalistycznej, której produktem był indywidualizm i liberalizm. Najogólniej powiedzieć można, że „ratio” miała wystarczyć do zapewnienia szczęścia jednostki i wystarczać do wytłumaczenia nakazów moralnych, które mają znaczenie czysto użytkowe i służyć zapewnieniu ludziom najlepszych warunków życia.

Po doświadczeniach ostatnich 150 lat wydaje się nam dziwne, jak wielką wiarę przywiązywano do rozumu ludzkiego, jako źródła moralności. Warto jednak zacytować powiedzenie ekonomisty francuskiego Jana Baptysty Say'a, charakteryzującego poglądy pierwszych liberałów: „najlepszą podstawą wychowania moralnego jest dobry traktat ekonomii politycznej”.

Doświadczenia XIX wieku i pierwszych lat naszego stulecia wykazały jednak, że nakazy moralne tracą wszelką praktyczną skuteczność, gdy jednostka i jej dobro mają być ich jedynym celem, ich jedynym źródłem i jedynym miernikiem.

Nie można zapominać o tym, że nie od razu, lecz stopniowo, w ciągu wielu dziesiątek lat, życie gospodarcze uwalniało się od pozagospodarczych kryteriów, gdyż istniał niewyczerpany zasób zwyczajów i pojęć moralnych, czerpanych z chrześcijaństwa. Kto chce się o tym przekonać, niech sięgnie do manifestu komunistycznego Marksa i Engelsa z r. 1848. Historyczny ten dokument przesycony jest pojęciami etycznymi chrześcijaństwa, niezgodnymi w gruncie rzeczy z dialektyką marksowską, jak to wykazali badacze niemieccy, a zwłaszcza Troeltsch.

Trzeba więc było upływu wielu lat i wielkich przemian organizacyjnych, by zasady moralne przestały w życiu gospodarczym obowiązywać. Proces ten dokonywał się różnymi drogami.

Przed wszystkim następowało stopniowe ograniczanie roli państwa i organizacji społecznych w kontroli życia gospodarczego. Dobre traktaty ekonomiczne mogły wykazać, że istotnie

w interesie wszystkich jednostek leży przestrzeganie pewnych zasad moralnych przez ogół, nie mogły jednak zaprzeczyć oczywiście faktu, że w społeczeństwie, przestrzegającym ściśle zasad moralnych poszczególne jednostka, zasady te przekraczająca, zapewni sobie dobrobyt o ile tylko uniknie konsekwencji karnych. Im większa była rola państwa i organizacji społecznych przy regulowaniu życia gospodarczego, tym większa była też obawa przed tymi konsekwencjami, zagrażającymi bezpośrednio jednostce. Skoro jednak państwo miało się kierować zasadą *laisser faire*, sfera wolności od kary coraz bardziej się rozszerzała.

Sorokin, którego prace znane mi są jedynie ze streszczeń, wskazuje na to, że osłabienie norm etycznych łączyło się ze wzrostem znaczenia umowy dobrowolnej w życiu gospodarczym, kosztem kurczenia się sfery stosunków rządzonych przez organizacje społeczne lub rodzinne, stwarzające pewien przymus gospodarczy, zacieśniający ramy wolności.

Konsekwencją tworzenia nowych form organizacyjnych w życiu gospodarczym było też powstawanie nowego typu stosunków. Do tego rozwoju nowych form prawo po prostu nie miało czasu się dostosować. Nie mogło nadażyć z ustaleniem systemu zastosowania norm ogólnych do konkretnych wypadków. Tak samo było zresztą i z moralnością. Ucieknę się do prostego przykładu, by wyjaśnić o co mi chodzi. Wyciągnięcie komuś z kieszeni portfela jest niewątpliwie kradzieżą. Co jednak sądzić o takim wypadku: udziałowiec spółki akcyjnej, posiadający decydujący o większości portfela akcji, w imieniu tej spółki dokonuje zakupów u siebie samego, tzn. w innym przedsiębiorstwie, należącym wyłącznie do siebie, na takich warunkach, że konsumuje cały zysk przedsiębiorstwa, zabierając innym akcjonariuszom należną im część. To już nie jest kradzież, lecz „polityka handlowa”.

Zacytowany przeze mnie przykład jest jeszcze ogromnie prosty w porównaniu do niezmiernej komplikacji współczesnego życia gospodarczego. Umysławia ona nam jednak, w jaki sposób i dlaczego prawo i moralność nie mogły nadażyć za potrzebami życia, stwarzającego w szaleńczym pędzie burzliwego okresu kapitalizmu coraz nowe rodzaje stosunków, coraz nowe typy organizacji, coraz bardziej zawily aparat, zacieraający odpowiedzialność jednostek.

Nasuwa się uwaga, że tylko aktywny i pozytywny stosunek do zasad moralności mógł zachować ich żywotność. Ograniczenie się do unikania postępów narażających na konsekwencje karne, czyli bierny stosunek do moralności przy bierności czynników, obowiązanych do jej strzeżenia, wynikającej z nauk liberalnych, musiał doprowadzić do powstania całej afery działalności gospodarczej rzeczywistości uwolnionej od zasad moralnych. A była to sfera najbardziej decydująca w życiu całych społeczeństw: sfera wielkiego kapitału bankowego, kolosów przemysłowych, monopoli itp.



Byłoby wielkim błędem przypuszczać, że ogromna koncentracja bogactw w ręku nielicznych jednostek jest wyłącznie następstwem przemian technicznych, tzn. mechanizacji produkcji, technicznego podziału pracy, korzyści produkcji seryjnej itp. Być może, że koncentracja techniczna jest przede wszystkim skutkiem nowej techniki produkcji, natomiast koncentracja własności z tym związana jest w znacznej mierze źródłem zaniku kryteriów moralnych w życiu gospodarczym.

Polski ekonomista liberalny, Adam Krzyżanowski, mawiał na wykładach — choć zdaje się nigdy tego nie napisał — że przy lekturze pamiętników milionerów, wyjaśniających w jaki sposób doszli oni do fortuny, zawsze znajdował opisy poczynań, nie wytrzymujących przy bliższej analizie kryteriów moralnych, po czym dodawał, że „przecież było jeszcze i to, czego milionerzy w swych pamiętnikach nie napisali, a wielu z nich przeźornie pamiętników nie pisało”.

Wielkie przemiany techniczne stworzyły niezwykle korzystne warunki dla działalności jednostek, dążących za wszelką cenę do zdobycia bezwzględnej supremacji i rozszerzenia zasięgu swojej władzy. Hamulce moralne odgrywały przy tym coraz mniejszą rolę. Jakiś czas istniało jeszcze poczucie przyzwoitości, dobre obyczaje handlowe, jakiś czas działały jeszcze zakazy prawne. Woda w miejskich rurach jeszcze ciekła, ale źródła w górach już wysychały. Wiek XX przyniósł nam dopiero pełne skutki tego procesu.

Zatrzymajmy się przy analizie tych przemian życia gospodarczego, które były wyraźnie owocem zaniku moralności, a prowadziły wprost do ogromnej koncentracji kapitału w rękach nielicznych jednostek.

Założeniem nauk ekonomii liberalnej było, że wolność wymiany dawała zabezpieczenie przed wyzyskiem, gdyż sprzedawano towar, podobnie jak pracę, najwięcej dającemu, a współzawodnictwo nabywców wzgl. sprzedawców miało być zabezpieczeniem, że uzyskana będzie właściwa cena. W ten sposób pojęcie ceny rynkowej, opartej na grze sił, miało zastąpić pojęcie ceny słusznej, opartej na kryteriach sprawiedliwości. Zasady te miały być zastosowane do pracy, której podażą i popytem rządzą te same prawa, które rządzą kształtowaniem się cen towarów. Nie sposób nie zauważyć, że przy umowach o pracę nie istnieje właściwie równość stanowiska między pracodawcą a pracobiorcą, gdyż jeden pracodawca ma do czynienia z wielką ilością pracobiorców. Najwyraźniej występuje ta różnica w małych osadach, w których mieści się jedna fabryka, nawet jednak w wielkich miastach niewielkiemu gronu przedsiębiorców przeciwstawia się liczna rzesza poszukujących pracy.

W tych warunkach nie było na początku XIX wieku mowy o zawieraniu umów o pracę, a tylko o przyjmowaniu pracowników według ustalonej jednostronnie taryfy. Nawiasem mówiąc, teoria wartości Marksa da się tylko wytłumaczyć jako produkt epoki, w której płace robotnicze obniżyły się wydatnie

mimo powiększenia wydajności pracy, które zawdzięczać należy zastosowaniu nowej techniki produkcyjnej. Proste pojęcie słusznej płacy zostało odrzucone, ponieważ jednak płaca stała się oczywiście niesłuszna, należało znaleźć inne uzasadnienie dla walki o jej podwyższenie.

Rzecz jasna, że monopolistyczne stanowisko pracodawców musiało wpłynąć na wzmocnienie tendencji koncentrowania własności w ręku nielicznych jednostek. W chwili gdy robotnicy zaczęli się organizować dla obrony przed tą formą wyzysku i uzyskali polepszenie warunków bytu, odpowiadające na ogół wzrostowi wydajności pracy wskutek ulepszeń technicznych, rozpoczęła się nowa forma eksploatacji, tym razem już nie szerokich mas pracowników, lecz szerokich mas konsumentów. Mam oczywiście na myśli kartele przemysłowe, które ograniczając współzawodnictwo w zakresie sprzedażnych cen towarów, uzyskiwały znowu cenę, która w świetle dawnych zasad moralnych, mających obowiązywać w życiu gospodarczym, musiały być uznana za cenę niesłuszną. Organizacja kartelowa przemysłu w dalszym ciągu powiększała procesy koncentracji przemysłowej. Dawała ona w ręce kierowników przedsiębiorstw monopolowych wielkie kapitały, które musiały szukać lokaty i nieraz lokatę tę znajdowały poza skartelizowanym działem przemysłu. Oczywiście kapitały te szukały lokaty możliwie skoncentrowanej, a nie rozproszonej na wiele małych przedsiębiorstw. Z tej potrzeby wyrosły szczególne praktyki kartelowe, które doprowadzały w dziale przemysłów surowcowych, takich jak górnictwo węglowe, czy hutnictwo żelazne, do rozrostu pionowego trustów przemysłowych, tzn. do obejmowania przez wytwórcę żelaza przemysłu maszynowego, narzędziowego, przetwórstwa itp. Odbywało się to drogą tzw. przepisów o zapotrzebowaniu własnym w kartelach. Na mocy tych „klausul o zapotrzebowaniu własnym”, szczególnie rozpowszechnionych w przemyśle niemieckim, a przed wojną także i w polskim, zakład przetwórczy, należący do przedsiębiorstwa skartelizowanego, mógł uzyskać surowiec od firmy hutniczej wzgl. górniczej, do której należał, po cenach o wiele niższych niż kartelowe.

Wskutek tego małe zakłady przetwórcze, „obce”, choćby potrafiły ze względów technicznych czy innych, produkować taniej, nie mogły się utrzymać, gdyż musiały nabywać surowce drożej niż konkurenci. Te przedsiębiorstwa konkurencyjne były zawsze przedsiębiorstwami wielkimi, gdyż były zakładane przez wielkie koncerny półsurowcowe. Tu znowu koncentracja nie była wynikiem korzyści mechanizacji, lecz wynikiem specyficznych warunków organizacyjnych, przy czym nie dawała ona żadnych korzyści gospodarczych w sensie ilościowego powiększenia produkcji.

Biorąc dalej przykład przemysłu metalowego trzeba stwierdzić, że np. produkcja różnych śrub, nakrętek, gwoździ i setek innych artykułów tego rodzaju jest jednakowo tania, bez względu na to, czy się pod jednym dachem ustawi jeden auto-

mat, czy też 100 automatów, czy odbywa się w wielkiej hali fabrycznej miasta przemysłowego, czy w szopie przy kuźni wiejskiej. Natomiast koszty wielkiej i zawiłej organizacji handlowej takiej produkcji na wielką skalę czyniłyby ją niewątpliwie mniej rentowną, gdyby nie szczególne uprzywilejowanie koncentracji wskutek kartelizacji. Wyrażając to innymi słowami, ogół nabywców pokrywać musi „podatkiem kartelowym” koszta nieracjonalnej organizacji produkcji.

Trzeba zaznaczyć, że z chwilą rozpowszechnienia się systemu sztucznego monopolizowania zbytu, kapitalizm wszedł w nową erę. Oszałamiające tempo wzrostu wytwórczości w epoce prawdziwie wolnokonkurencyjnej przypomniawszy swym niczym nieokreślonym dążeniem naprzód ku coraz większym rezultatom ilościowym rwący potok górski. Styl kapitalizmu bardziej nowoczesnego jest już inny. To obwałowane nasypami kartelowymi stojące jezioro, otoczone cuchnącym bagniskiem. To już wyraźnie okres zastoju i zaniku dynamizmu. Oczywiście w różnych państwach ten proces ewolucji osiąga różne stadia. Są kapitalizmy młodsze (Ameryka) i starsze, ale wiemy już z doświadczeń, na czym polega tu proces starzenia się, ku czemu młode kapitalizmy będą dążyć.

Zorganizowany kapitalizm wywiera skądinąd wpływ wszechpotężny na rządy szeregu państw. Grupy interesów posługują się na wielką skalę metodami korupcji, obejmującymi prasę, wybitniejszych działaczy, całe ugrupowania polityczne, wyższych urzędników administracji państwowej itp. W historii wszystkich niemal państw mieliśmy do czynienia z głośnymi skandalami na tym tle. Stąd można by powiedzieć, że są to fakty historycznie stwierdzone. Wolno jednak postawić hipotezę, że znacznie więcej było faktów niestwierdzonych i nieujawnionych, na których ujawnienie poczekamy może dziesiątki albo setki lat. (Przekupienie kanclerza Szydlowieckiego przez Fuggerów ujawniono w 370 lat po fakcie!).

Nie chodzi nam oczywiście o kronikę skandaliczną kapitalizmu, lecz o uwydatnienie wpływu zorganizowanych interesów wielkokapitalistycznych na życie polityczne, a zwłaszcza na ustawodawstwo. Nie ulega wątpliwości, że ustawodawstwo to w szeregu dziedzin, jak np. prawo o spółkach akcyjnych, prawo patentowe itp., jest narzędziem dążeń do likwidowania współzawodnictwa małych przedsiębiorstw wzgl. koncentrowania kapitałów dla przedsiębiorstw wielkich w sposób, pozwalający na wyzyskanie drobnych oszczędności wielu małych ludzi przez nieliczne ośrodki centralnej dyspozycji gospodarczej w ustroju kapitalistycznym.

Podobną rolę odgrywa w życiu gospodarczym reklama. Zagadnienie jej roli wiąże się z zagadnieniem wpływu ośrodków wielkokapitalistycznych na opinię publiczną i prasę. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że najważniejszym działem w szeregu przedsiębiorstw tzw. markowych jest dział reklamy, pochła-

niający większe sumy niż właściwa produkcja reklamowanego towaru.

W reklamie nigdy nie mówi się prawdy. Reklama polega na wmówieniu nabywcy pewnego towaru przez to, że spotyka się on wciąż z nazwą jego marki: w radiu, kinie, na łamach gazety, na boisku sportowym, na plakacie ulicznym, na napisach, umieszczanych wzdłuż torów kolejowych, na dworcach, ba, nawet na niebie, gdzie wypisuje się ją dymnymi literami przy pomocy samolotów.

Reklama taka wypada oczywiście najtaniej, jeżeli jest prowadzona na terenie całego kraju, czy nawet całego świata tzw. cywilizowanego. Spotykaliśmy przecież we wszystkich krajach Europy te same nazwy pasty do zębów, ostrzy do golenia, mydła toaletowego itp.

Jest rzeczą dobrze znaną fachowcom, że w gruncie rzeczy wartość użytkowa tego rodzaju wyrobów różnych marek jest jednakowa, a cena ich wielokrotnie przekracza rzeczywisty koszt wytworzenia wraz z uczciwym zarobkiem. Konsument musi jednak płacić za koszty bezsensownej reklamy, która wpoiliła w niego przekonanie, że dany artykuł jest jedyny, niezastąpiony, posiada jakieś szczególne, cudowne właściwości itp.

Zrozumiemy skutki gospodarcze takiego układu stosunków na podstawie przykładu przemysłu papierosowego w Stanach Zjednoczonych. Wydaje on na reklamę znacznie więcej niż na zakup surowca tytoniowego u rolnika. Zagadnienia tego nie można lekceważyć, gdyż podobny układ stosunków panuje w bardzo licznych działach wytwórczości.

Tu znów koncentracja jest wynikiem nie wyższości technicznej wielkiego zakładu wytwórczego, lecz specyficznych cech organizacji gospodarczej, a ściślej się wyrażając, wynikiem skorumpowania wszystkich narzędzi kształtowania opinii publicznej, skorumpowania, na skutek którego nie ma przestępstwa w dziedzinie reklamy, które byłoby ścigane przez prawo, jakkolwiek w świetle naszych pojęć etycznych reklama zasługiwałaby często na najsurowsze potępienie. Każdy właściciel składu towarów aptecznych w małym miasteczku prowincjonalnym mógłby wytwarzać równie dobre pasty do zębów i sprzedawać je za cenę dwukrotnie niższą od cen past reklamowanych w całym kraju i produkowanych w kolosach przemysłowych, gdyby nie fałszywa reklama.

Osobnym zagadnieniem jest rola wielkich banków i instytucji finansowych w rozwoju gospodarczym XIX wieku. Jest to zagadnienie odrębne, ale skądinąd bardziej znane iświetlone w literaturze: banki, udzielając kredytu wielu przedsiębiorstwom z tej samej dziedziny, potężnie ułatwiały procesy koncentracji i monopolizacji życia gospodarczego.

W wielu krajach, jak np. w Niemczech, stały się one wprost udziałowcami wielkich przedsiębiorstw. Cztery wielkie banki niemieckie skupiały w swym ręku decydujący wpływ na cały niemal wielki przemysł niemiecki. Dodać tylko należy, że wiel-

kie banki umiały wyzyskać nawet przesilenia dla wzmożenia swego stanu posiadania. Punkt ten wymaga pewnych wyjaśnień.

Wszyscy niemal teoretycy ekonomii przyznają, że źródłem cyklicznych przesileni gospodarczych są zjawiska pieniężne, mianowicie następujące po sobie kolejno okresy deflacji i inflacji — z tym, że pojęcie deflacji i inflacji zostały ostatnio znacznie dokładniej i precyzyjniej zdefiniowane.

Otóż procesy deflacyjne i inflacyjne w ośrodkach dyspozycji kredytowej mogą być łatwiej przewidziane, jeżeli nie wprost sztucznie wywołane przez te ośrodki. Wyzyskanie przez wielki bank cyklu koniunkturalnego dla powiększenia jego zasobów jest tylko kwestią dobrego przewidywania. Wyzbycie się akcji w okresie inflacji i odkupienie ich w okresie deflacji odpowiada zasadom zdrowej polityki bankowej.

Zdrowa polityka bankowa przynosi w rezultacie poważne zyski bez pracy. Nasuwa się pytanie, czy przypadkiem ciągnięcie zysków bez pracy nie jest jaskrawo sprzeczne z zasadami moralnymi tak samo, jak wyciągnięcie portfela z cudzej kieszeni?

Nie będzie już żadnych wątpliwości co do sensu tej transakcji, skoro przyjmemy, że niektóre wahania cykliczne były celowo wywoływane lub zastrzane przez wielkie banki.

Reasumując dochodzimy do wniosku, że procesy koncentracji były w znacznej mierze wywołane nie koniecznościami technicznymi, lecz specyficzną organizacją życia gospodarczego i specyficznymi cechami współczesnego kapitalizmu.

Ekonomista amerykański R. Borsodi oblicza, że tylko 1/3 wielkiego przemysłu wykazuje istotnie niższe koszty produkcji od analogicznych zakładów wytwórczych małych rozmiarów, że natomiast w pozostałych 2/3 koncentracja jest wynikiem sztucznych warunków, jakie nakreśliłmy wyżej i została przeprowadzona kosztem dochodu społecznego.

Ale zmniejszenie dochodu społecznego to nie był jedyny koszt koncentracji. Zmechanizowanie produkcji, zastąpienie drobnego samodzielnego wytwórcy wielkim warsztatem, w którym setki czy tysiące ludzi wykonują wciąż, tygodniami, miesiącami czy latami te same poruszenia przy tej samej obrabiarce, skupienie tych ludzi w wielkich miastach, a co za tym idzie, przeważnie w domach koszarowych, pociągnęło za sobą i inne następstwa, które doprowadzają do zdeklasowania człowieka.

To zdeklasowanie wyraża się w różny sposób i różne ma objawy i skutki. Możemy tu rozróżnić trzy różne rodzaje degradacji człowieka we współczesnym społeczeństwie.

1) Człowiek traci samodzielność jako przedsiębiorca, tj. nabywca surowców i narzędzi, sprzedawca owoców swej pracy (dyspozycja własnością).

Punkt ten zasługiwałby na osobne obszerniejsze omówienie. Ograniczenie liczby przedsiębiorców w kategoriach teorii ekonomicznych sprowadza się do ograniczenia ilości ludzi, korzystających

jących z renty we wszelkich jej postaciach, a więc z renty gruntowej, z renty przedsiębiorcy itd. Masa ludzka ma tylko stałą płacę, natomiast dochody niestale, zależne od większego lub mniejszego wysiłku jednostek, czy też od ogólnego wzrostu dobrobytu, stają się monopolem nielicznych jednostek lub państwa.

2) Człowiek traci samodzielność jako twórca. Szewc samodzielny tworzy każdą parę obuwia — robotnik w fabryce obuwia wykonuje wciąż te same czynności.

3) Człowiek traci samodzielność przy kształtowaniu własnego życia, to jest czasu i rodzaju pracy, miejsca pracy itd. Całkowita samodzielność ustępuje tu miejsca rzeczywistej możliwości wyboru paru alternatyw — pracy w tej czy innej fabryce.

Do tego dodać należy pośrednie skutki „utłumienia” ludzi, będącego logicznym następstwem koncentracji. Jednakowa praca wywołuje potrzebę ostrych i łatwych podnieci dla odprężenia umysłu, stępienego monotonią pracy i całkowitą bezczynnością wyższych władz umysłowych przy tej pracy.

Łączy się to z mechanizacją i standaryzacją rozrywki w najszerszym tego słowa znaczeniu. Upodobnienie „zapotrzebowania”, będące wynikiem upodobnienia stylu życia, wiąże się z upodobnieniem podaży w wyniku seryjnej produkcji sztuki.

Przemiany dokonują się ze zdumiewającą szybkością. Jeszcze w moim dzieciństwie w każdym domu „kulturalnym” musiało istnieć co najmniej pianino, na którym co drugi mieszkaniec domu umiał grać lepiej lub gorzej. Dziś pianina zastąpione zostały odbiornikami radiowymi.

W krajach, które procesy koncentracji doprowadziły do logicznego końca, dochodzimy już do seryjnej produkcji pomników, umieszczanych w odlewach gipsowych we wszystkich mniejszych i większych miastach.

Można by powiedzieć, że odbywa się jednak proces pewnego upowszechnienia kultury. Otóż to upowszechnienie dotyczy tylko spożywania, a nie tworzenia dzieł sztuki.

Jeżeli porównamy, wracając do sztuk plastycznych, twórczość ubiegłych stuleci, wyrażającą się choćby w tych licznych miasteczkach Europy Zachodniej, w których zachowało się tak wiele zabytków, sięgających średniowiecza, z twórczością naszych czasów, ogarnie nas zdumienie i przygnębienie, zwłaszcza jeżeli porównamy możliwości techniczne i produkcyjne czasów tamtych i współczesnych oraz ówczesne zaludnienie z obecnym zaludnieniem.

Pomniki sztuki owych czasów to jak kwiaty, w których tonie mieszkanie każdego człowieka w osiedlu podmiejskim. Nasza sztuka współczesna to kwiaty w wazonach na korytarzu szpitala, domu obłąkanych czy więzienia.

Wydaje mi się, że ludzkość płaci za nowoczesny ustrój gospodarczy wysoką cenę w zaniku twórczości, że styl życia współczesnego proletariusza działa niszcząco na twórczość. Uwydatnił to już Ortega Y Gasset w swej głośnej książce „Bunt mas”.

Ale nie tylko to. Niemal zupełne oderwanie człowieka od natury pociąga za sobą gorsze następstwa. Trudno wracać w dziedzinie innych gałęzi nauk, ale warto zaznaczyć, że przedstawiciele medycyny poważnie zastanawiają się nad skutkami obecnego stylu życia. Alexis Carell w swej głośnej książce „Człowiek, istota nieznaną” pisze na ten temat, powołując się na niepokojący wzrost schorzeń psychicznych i nerwowych:

„Nowoczesny sposób życia kryje w sobie bardzo istotne zło: w świecie stworzonym przez technikę, nasze istotne funkcje rozwijają się tylko w sposób bardzo niedoskonały. Mimo wszystko co stworzyła nowoczesna cywilizacja, jednostka ludzka, człowiek idzie ku rozkładowi”.

Narzucone przez procesy koncentracji oderwanie się od naturalnych warunków życia zagraża podstawom tego życia, jest w istocie swej — można powiedzieć — awitalne.

Patrząc na objawy współczesnego kryzysu od strony zjawisk gospodarczych i zdając sobie sprawę z tego, że jest on zjawiskiem złożonym, które z wielu punktów widzenia może być obserwowane i oceniane, dostrzegamy sporo momentów, jak mi się wydaje, wyjaśniających zawiły obraz rzeczywistości. W szczególności wydaje mi się, że błędem jest obciążanie techniki winą za wszystko, co jest złe w dzisiejszym ustroju. Nie technika jest winna, lecz nadużycie techniki. Siły gospodarcze wprężyły technikę w swą służbę i kazały jej kształtować życie w określony sposób, odpowiadający ich interesom.

Nie sposób zaprzeczyć, że skutki obecnego układu życia gospodarczego dla ludzkości mogą być katastrofalne. Życie gospodarcze przed 200 laty otrzymało z zewnątrz zachętę do pójścia swoją drogą i oderwania się do wartości, stojących poza nim i od niego niezależnych, lub ściślej się wyrażając, od wartości stojących ponad nim. Ale zwulgaryzowanie tej wytycznej, wyciągnięcie z niej ostatecznych wniosków i narzucenie całym społeczeństwu nowej religii człowieka ekonomicznego odbyło się już na terenie życia gospodarczego. I jakkolwiek nie brak dziś objawów, świadczących o odwróceniu się od błędów, wprowadzających na złą drogę, to jednak skutki nowego stylu życia, według zasad największej przyjemności kosztem najmniejszego wysiłku, jeszcze dzisiaj w praktyce potęgują się, co wyraża się np. w różnicy stosunku do emigracji politycznych po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Wciąż jeszcze cierpimy na skutki wysychania źródeł tzn. zaniku zasad, które stwarzały postęp moralny ludzkości.

Jak starałem się wykazać, to samo wysychanie źródeł twórczości wywiera i wywierać musi wpływ na upadek kultury przez zubożenie świata także i na wartości estetyczne. Kult ilości niszczy kult jakości.

Ze szkieletu próby analizy zjawisk współczesnego kryzysu wynika, jak mi się wydaje, z dostateczną jasnością, iż niektóre próby szukania naprawy są w gruncie rzeczy tylko wyciągnięciem ostatecznych konsekwencji z systemu, niszczącego wszelkie

wartości etyczne i estetyczne przez całkowitą negację zasad bezwzględnych w dziedzinie moralnej oraz przez doprowadzenie koncentracji władzy w ręku nielicznych jednostek i sproleta-rzowania i uniewolnienia mas do maksimum.

Rozwiązanie komunistyczne nie jest żadnym rozwiązaniem, lecz jak się wyraził ekonomista niemiecko-szwajcarski Wilhelm Roepke, jest dokładnym i całkowitym przeciwieństwem tego, do czego winniśmy dążyć, jeżeli chcemy ocalić naszą kulturę, jest szczytowym punktem przemian ją niszczących.

Mówiąc o jej kryzysie pamiętać musimy, że nie jest on pierwszym w ciągu dwutysiącletnich dziejów chrześcijaństwa. Czyż nie był kryzysem upadek imperium rzymskiego i następujący po nim okres przekształcania się całej Europy, czyż nie mówiono o kryzysie przed „tysiącleciem”, czyż nie było kryzysów chrześcijaństwa przed wojnami krzyżowymi, czy odrodzenie a później reformacja nie wstrząsały podstawami chrześcijaństwa? Cóż dopiero mówić o rewolucji francuskiej, o okresie napoleońskim i jego następstwach.

To właśnie, że się o kryzysie mówi, że sobie ten kryzys uświadamiamy, jest zadatkiem poprawy, tak jak kryzys chorego organizmu może być tylko koniecznym wstępem do uzdrowienia.

Na płaszczyźnie samej gospodarki — bo źródła zła leżą w znacznej mierze poza nią samą, należy dążyć do likwidacji przerosłów koncentracji tam, gdzie jest ona tworem sztucznym, bynajmniej nie narzuconym przez konieczność techniczne. Nawet tam jednak, gdzie sama koncentracja produkcji jest technicznie uzasadniona, można myśleć o dekoncentracji własności, czyli o rzeczywistej organicznej demokratyzacji życia gospodarczego, o dekoncentracji mieszkania itd.

Przesadne dążenie do przekreślenia zdobyczy technicznych uważam za wielki błąd, gdyż po prostu bez tych zdobyczy przy wzrastającej liczbie ludności nie mielibyśmy co jeść i nie mielibyśmy w co się ubrać, nie mówiąc już o potrzebach kulturalnych. Rzecz bowiem polega tylko na tym, by technika była dla człowieka a nie człowiek dla techniki, a ściślej mówiąc, by miarą wartości systemu gospodarczego nie były wskaźniki produkcji, lecz wskaźniki szczęścia i najszerzej pojętego zdrowia człowieka.

Właśnie z tego, że przemiany gospodarcze ubiegłych 150 lat, które doprowadziły do obecnego kryzysu, były w znacznej mierze wynikiem błędów myśli ludzkiej a nie działania praw mechanicznych wynika, że poprawa jest możliwa i zależna od naszej woli. Od trafnej diagnozy i śmiałej terapii.

Trzeba zastąpić fałszywe ideały managera i dyktatora nowym, czy może właśnie starym, lecz nowoczesnie ujętym ideałem człowieka, świadomego zarówno swej wolności, jak i swego związku z całością społeczną oraz obowiązków bezwzględnych z tego związku wynikających.

## Problem kształcenia politycznego w ustroju demokratycznym

### Nakaz demokracji

Żyjemy w okresie demokracji. Nie oznacza to, by wszystkie narody świata rządziły się tą zasadą, bo zawsze istnieją różne ustroje polityczne obok siebie jednocześnie; nie oznacza to również, by zasadę tę przyjmowano bez zastrzeżeń, bo różne wytacza się przeciwko niej zarzuty; nie oznacza to wreszcie, by wszyscy ją jednolicie pojmowali i realizowali, by istniała jedna wzorowa forma demokracji, gdyż zakres jak i forma tego „panowania ludu” mogą być i bywają najróżniejsze.

Dwie rzeczy jednak przyjąć można za pewnik:

1. Demokracja oznacza emancypację całego narodu, podniesienie szerokich jego mas z roli przedmiotu rządzonego przez władzę, jego szczupłe otoczenie, kamarylę lub przyrodzoną czy też narzuconą cienką warstwę kierowniczą do roli podmiotu władzy;

2. Że ta zasada ustrojowa bardziej niż inne odpowiada naszemu charakterowi narodowemu, stanowiąc naturalne dopełnienie dawnej rzeczywistości szlacheckiej.

Możemy zatem śmiało przyjąć, że nie będzie ten okres — przynajmniej u nas — tylko krótkim, przejściowym stadium rozwojowym w naszym życiu politycznym, ale że zasada ta otworzyła długotrwały okres jego życia. Jeżeli zaś tak jest, to musimy doń podejść z całą powagą, z pełną troskliwością i dobrą wolą, aby warunki, w jakich narodowi naszemu żyć wypadnie przez długie może wieki, kształtowały się jak najlepiej, jak najrozsądniej i dlatego z możliwie najdokładniej przeprowadzoną celowością.

Nie można tego wszystkiego powiedzieć o pierwszym dwudziestolecu naszej odzyskanej niepodległości. Wiele przyczyn złożyło się na to, że okres międzywojenny był i pod tym względem okresem przejściowym, okresem fermentacji i niedojrzałych jeszcze pomysłów i odruchów; okresem, w którym nowość i sztywność doktryny panowała nad realizmem i mądrością życia. Obecnie jednak jest już na czasie, aby poznać możliwie wszechstronnie i bezstronnie zasady tego ustroju, różnorodności

jego form oraz bogactwo możliwości. Mało tego, należy prowadzić stałe i systematyczne badania nad tym problemem, jeżeli w najważniejszej dla nas życiowo, bo ustrojowej kwestii nie chcemy operować przesadami, fałszami, podlegać sugestiom mody lub służyć sztywnej doktrynie zamykając oczy na zmienne potrzeby życia.

Każde wielkie i szanujące się przedsiębiorstwo przemysłowe ma swój instytut naukowo-badawczy, pracujący metodami naukowymi, który przez swoją systematyczność daje gwarancję postępu i uniezależnienia się od przypadkowości. Jeżeli prywatne przedsiębiorstwa taki nakład pracy i wydatków uważają za celowy, to o ileż bardziej są one potrzebne i uzasadnione, gdy idzie o losy i przyszłość całego narodu. Jest to zatem pierwszy nakaz badań teoretycznych nad zagadnieniami politycznymi, obejmujący badania naukowe z dziedziny polityki, ustroju i zjawisk socjologicznych.

Obok tych badań teoretycznych jednak narzuca się konieczność ścisłego, możliwie wszechstronnego i obiektywnego badania możliwości konkretnych wyników stosowania zasady demokracji w życiu politycznym naszego państwa, np. w zakresie charakterystyki władzy, postępu kulturalnego, w zakresie ruchów ludności, stosunków socjalnych, zagadnień narodowościowych itp.

Całość tych badań teoretycznych i konkretnych ująć by można mianem badań politycznych.

Pytanie, kto i jak te prace badawcze winien przeprowadzać, aby uchronić je z jednej strony od bezdusznego akademizmu — z drugiej strony od teleologizmu i tendencyjności charakterystycznych dla poczynań władz państwowych czy stronnictw politycznych, stanowi podstawę właściwego rozwiązania problemu kształcenia politycznego. Poprzestaną jednak na razie tylko na jego zaznaczeniu, albowiem powrócę do niego jeszcze w dalszej części opracowania.

Przejdźmy jednak teraz od kształcenia do szkolenia politycznego w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Demokracja oznacza samorządzenie się narodu, jest zatem autokracją narodową. Znajduje to wyraz w szczególności w aktach wyborczych, w powoływaniu kierowników nawy państwowej przez cały naród pośrednio czy bezpośrednio, w inicjatywie ustawodawczej narodu, w tworzeniu organizacji politycznych itd. Nie jest zatem dla życia i przyszłości narodu obojętne, w jakim kierunku i na jakim poziomie to samorządzenie się odbywa. W ustroju demokratycznym jest udział każdego członka narodu w życiu politycznym nie tylko prawem ale i obowiązkiem, i to tym bardziej kategorycznym, im wyższy typ dana jednostka przedstawia. Udział w życiu politycznym nie tylko nie poniża jej, ale przeciwnie, wynosi ponad poziom zwykłego zjadacza chleba — czyni zeń nie tylko konsumenta demokracji; oczywiście pod warunkiem, że ten jej udział nie ma miejsca z myślą o sobie lecz w trosce o interes ogółu. Można powiedzieć, że naród będzie tym lepiej przygotowany do współzawodnictwa

w rodzinie narodów, im powszechniejszy będzie w życiu politycznym udział członków narodu oraz im lepiej będą oni do tego udziału w życiu politycznym przygotowani, tzn. im głębsze i powszechniejsze będzie ich przygotowanie polityczne, wychowanie polityczne i im głębsze ich poczucie odpowiedzialności politycznej.

Wymagania powyższe oczywiście stawiać należy przede wszystkim tym, którzy w życiu politycznym mają przodować i je kształtować, którzy mają prowadzić większą lub mniejszą część narodu. Albowiem tylko rzetelna wiedza polityczna i wysoki charakter polityczny są rękojmią najlepszą dobrego i mądrego przewodnictwa. Już Adam Mickiewicz zwraca uwagę na szczególny brak kultury politycznej właśnie u nas, wymieniając za Janem Kochanowskim, wśród trzech głównych wad narodowych „niezmienną płochość w traktowaniu najważniejszych zadań politycznych i religijnych” (Lit. Słow. I, 442).

Do każdego zajęcia, przekraczającego tylko własne potrzeby i zainteresowania wymagane jest pewne wykształcenie. Dla każdego zawodu wymagana jest kilkuletnia nauka i praktyka. Ekspedient uczyć się musi 3 lata; butów nie wolno podzelać bez trzyletniej nauki i egzaminów; nawet kominów nie wolno czyścić niewykszolonemu.

Tylko polityki imać się może każdy — byle spryciarz wymowny; i nikt go nie pyta, gdzie się do tego przygotował, z jakim wynikiem, jakie ma kwalifikacje do tego moralne czy fachowe. Psa nie wolno leczyć bez przygotowania, a do leczenia stosunków wśród ludzi brać się może każdy. Każdy jest tutaj samoukiem, rozpoczynającym od nowa i zbierającym z osobna doświadczenia — a za błędy jego i skutki niedociągnięć płaci najmniej on sam, ile raczej naród.

Zbyt szybki rozwój demokracji, który zwłaszcza u nas musiał olbrzymimi skokami dogonić przerwę wywołaną 130-letnią niewolą polityczną, nie zdołał wytworzyć pełnych form szkolenia politycznego, a choćby tylko tradycji myślenia czy przygotowania politycznego.

Problem szkolenia politycznego jest problemem niezwyklej wagi, domagającym się coraz natarczywiej rozwiązania, jeśli nie chcemy nadal brnąć w skutkach tego stanu rzeczy, którymi są: tysiączne rozbieżne poglądy indywidualne na podstawowe problemy naszego narodowego i państwowego bytu, niepoważne rozdrobnienie partyjne, niedoceniające pracy politycznej, a nawet awersja do niej, ciasnota horyzontu, parafianiszczyna i niska moralność polityczna. Szczęśliwe i poważne rozwiązanie problemu kształcenia politycznego jest konieczne, jeśli w naszym życiu politycznym mają brać udział wszystkie naprawdę wartościowe elementy narodu, i jeśli nie mają w nim panować demagogia, efemerydy polityczne i personalne gierki, jednym słowem — zamiast polityki — politykierstwo. Systematyczne kształcenie polityczne jest jedyną i najpewniejszą drogą do kultury politycznej, do umiejętności mądrego operowania tak

w zasadzie pięknym a zarazem czułym instrumentem, jakim jest zasada demokracji. Jednym słowem, planowe i systematyczne szkolenie i wychowanie polityczne jest w ustroju demokratycznym niezbędne, jeśli się nie chce przedstawiać niekulturalnego barbarzyńcy przy wspaniałym Bechsteinie. Najlepszy instrument, najlepsza ustawa nic nie pomogą, jeśli się nie umie na nich grać.

Jak zwykle w takich wypadkach należy i tutaj realizować dwa cele: nauczanie i wychowanie. Trudno jest powiedzieć, które z nich jest ważniejsze; przyjąć należy zasadę, że jedno i drugie jest potrzebne równocześnie, jeśli się chce osiągnąć pełną korzyść. Sama najlepsza wola i uczciwość polityczna społeczeństwa, a zwłaszcza przodowników politycznych, jest niewystarczająca, jeśli nie znajdują oni podstawy i oparcia w wiedzy i doświadczeniu politycznym; z drugiej strony rozpowszechnianie choćby najszersze wiedzy politycznej wśród warstwy przodowników politycznych może dać bardzo niedostateczne, a nawet wręcz ujemne wyniki, jeżeli moralność i kultura polityczna u nich będą niskie.

#### Stan dotychczasowy

Czy i jakimi drogami odbywało się dotąd szkolenie polityczne, i o ile czyniło ono zadość naszym wymaganiom.

Pomijając samouctwo, które było niestety najbardziej rozpowszechnioną drogą zdobywania wiedzy politycznej, przyjąć by można w dotychczasowym stanie rzeczy dwie drogi:

- 1) udział w życiu samorządowym,
- 2) szkolenie przez ugrupowania polityczne.

#### Praca samorządowa

Ogólnie utarło się zdanie, że udział obywatela w życiu samorządowym jest szkołą obywatelską. Bezspornie jest w tym dużo racji. Praca samorządowa wprowadza bowiem w grupowy sposób myślenia, uczy zrozumienia potrzeb ogółu, uczy przekładania dobra ogólnego nad interes osobisty, zapoznaje obywatela z różnymi potrzebami ogółu, otwierając wgląd w ich szeroki zakres. Krótko, zapoznaje choć w ograniczonym zakresie z różnorodnością i powikłaniami nowoczesnego życia społecznego. Trudno zatem pracy samorządowej nie uznać za pewnego rodzaju szkołę polityczno-obywatelską. Wydaje się ona jednak niedostateczna w nowoczesnym ustroju demokratycznym, gdyż obejmuje zbyt ciasny zakres tak pod względem materialnym jak i terytorialnym.

Zainteresowania samorządu obracają się prawie wyłącznie tylko w kole zagadnień gospodarczych — czy to będzie samorząd na stopniu gminy, powiatu czy województwa. Jest to zatem raczej szkoła gospodarności, a w najlepszym razie w ogóle

szkoła troski o dobro materialne i duchowe gromady obywatelskiej. Cechuje ją skutkiem tego pewnego rodzaju jednostronność w porównaniu z wszechstronnością dziedziny politycznej i stąd jest ona dla kształtowania umysłowości przodowników politycznych niewystarczająca a nieraz nawet niepożądana. Praca w samorządzie np. nie wprowadza dostatecznie w takie zagadnienia jak stosunków socjalnych, kultury narodowej, potrzeb terytorialnych, obronności kraju, stosunków narodowościowych, religijnych, gospodarczych w skali państwowej i między narodowej, polityki zagranicznej, zagadnień ustrojowych, władz naczelných, form rządzenia, itp.

Wreszcie obejmuje ona z natury rzeczy tylko bardzo ograniczony zakres terytorialny, skutkiem czego zawiera dalsze jeszcze niebezpieczeństwo pogłębienia tej jednostronności w kierunku lokalnym. Daje bowiem nawet na poznane zagadnienia aspekt ograniczony, zabarwiony jednostronnością danego regionu, to, co się pospolicie nazywa podejściem parafiańskim czy prowincjonalizmem. Wyniesienie się ponad ten poziom jest już zwykle tylko wynikiem osobistym danego działacza samorządowego, jego zalet osobistych czy indywidualnej pracy nad sobą. Praca samorządowa sama przez się tego nie daje — chyba tylko na nielicznych szczeblach najwyższych.

Można by zatem powiedzieć, że udział w życiu samorządowym ma poważne znaczenie pedagogiczne dla przygotowania politycznego — natomiast niedostatecznie zadowala pod względem dydaktycznym.

Z tej oceny wyprowadzić by należało wnioszek, że nawet wprowadzenie dla przyszłych działaczy politycznych przymusu wstępnej pracy w samorządzie, naszego problemu by nie rozwiązało całkowicie. Poza wymienionymi względami natrafiłoby wprowadzenie takiego przymusu nadto na niezmiernie trudności w wykonaniu. Przede wszystkim nasunęłyby się od razu trudności w określeniu ludzi, do których by się ten przymus miał odnosić. Należałoby dać w tym celu ścisłą i niedwuznaczną definicję, kogo uważa się za polityka, za działacza politycznego, na czym polega i gdzie się w ogóle zaczyna działalność polityczna — wszystko rzeczy, które dotąd są nieustalone. Należałoby ustalić, od jakiego stopnia pracy politycznej chciałoby się wymagać przygotowania samorządowego i do jakiego szczebla hierarchicznego. Ponadto powstałoby niezmiernie trudne zagadnienie przypilnowania wykonania tego przymusu; kto i jakimi środkami byłby w stanie to uczynić?

Wreszcie upowszechnienie tego przymusu pociągnęłoby za sobą nawet skutki ujemne, jak rozpolitykowanie samorządu z jednej strony, z drugiej strony byłoby w stanie powstrzymać od zainteresowań politycznych i w konsekwencji od udziału w życiu politycznym wiele jednostek skądinąd ze wszechmiar pożądaných w tym życiu, tylko dlatego, że praca samorządowa im nie odpowiada lub że im przeszkadza.

### Stronictwa

Drugim nurtem, w jakim się obecnie dokonuje przygotowanie przewodników politycznych, to partie polityczne.

Demokracja, która jako zasada ustrojowa jest wyrazem tylko formalnej równości życiowej i uprawnień politycznych, jest tylko formą przejawiania się woli politycznej ogółu; zadowala się ona formą wyszukania woli większości, abstrahując całkowicie od jej treści i kierunku.

Dlatego naturalną i logiczną konsekwencją demokracji, niejako jej uzupełnieniem, są organizacje polityczne, stronnictwa czy partie, które na miejsce monarchy czy grupy rządzącej przejąć musiały zadanie tworzenia myśli politycznej, strzeżenia jej ciągłości i jej rozwoju. O ile w ustroju niedemokratycznym były one, tj. partie, atrybutem mniej lub więcej zbędnym — nieraz nawet szkodliwym, o tyle w ustroju demokratycznym stały się one niezbędną instytucją uzupełniającą formę demokratyczną. Z dawnych stronnictw, zawiązywanych przeważnie ad hoc (konfederacje) i opowiadających się przeważnie za lub przeciwko takiej lub innej osobie czy przeciwko takiemu lub innemu poczynaniu politycznemu, przekształcić się one musiały w instytucje stałe, jeżeli ciągłość i systematyczny rozwój myśli politycznej w społeczeństwie miały być zabezpieczone.

W początkach tego rozwoju widzimy je w postaci niewielkich grup politycznie czynnych osób skupiających się zazwyczaj wokoło jakiegoś organu prasowego i kształtujących przy jego pomocy poglądy polityczne i opinię ogółu obywateli, przygotowując ich w ten sposób do jedynej funkcji politycznej — do oddania głosu w wyborach. Grupy te jednak, choć nieliczne i luźno tylko w sobie związane, musiały jednak już wypracowywać swój program i cele polityczne z dotąd niespotykaną otwartością i wszechstronnością; zająć musiały stanowisko wobec wszystkich — przynajmniej głównych problemów politycznych. Chociaż rozwój ten dyktowany był względami ściśle praktycznymi, bo chęcią przekonania jak największej ilości wyborców do swojej myśli czy koncepcji politycznej, to jednak był to już poważny początek kształcenia politycznego społeczeństwa. Takie programy np. głosiła narodowa demokracja w latach 1887 (Liga Polska), 1897 (Program Narodowej Demokracji Królestwa Polskiego) i 27. X. 1919 (Program Związku Ludowo-Narodowego), Polska Partia Socjalistyczna ogłosiła pierwszy swój program w 1892 r., a Polskie Stronnictwo Ludowe Piast w 1906 r. — żeby choć kilka wypadków wymienić.

O właściwym szkoleniu i kształceniu przywódców politycznych jednak w tym okresie jeszcze mówić nie możemy, przynajmniej w systematycznej i planowej formie. Polegało ono jeszcze ciągle na samouctwie i koncentrowało się wokoło redakcji pism partyjnych.

Dopiero następnie, gdy ugrupowania polityczne przekształciły się w organizacje masowe, utrzymujące stałe członkostwo

dziesiątek tysięcy członków, stanęły one przed koniecznością szerokiego i bardziej już systematycznego i celowego szkolenia tzw. działaczy politycznych. Wielki bowiem rozwój organizacji wymagał zakładania i prowadzenia setek lokalnych kół i ośrodków pracy politycznej, oraz bogatej hierarchii organizacyjnej ugrupowania politycznego; to z kolei wymagało licznych zastępów pracowników politycznych na różnych szczeblach i w różnych środowiskach. Wobec tych wzrastających w szybkim tempie wymagań nie wystarczało już teraz wyszukiwanie tylko i wprężanie do pracy politycznej działaczy, samych się niejako „rodzących”, lecz należało przejść do ich systematycznej produkcji przez szkolenie w pracy organizacyjnej i wiedzy politycznej. Należało ich wyposażyć w znajomość zasad i celów własnego ugrupowania, zapoznać z programem i dążeniami przeciwników politycznych, z zasadami pracy organizacyjnej (przemawianie, werbowanie, kierowanie zebraniem, prowadzenie jednostki organizacyjnej itd.) i wreszcie z metodami działania politycznego tak własnymi jak i przeciwników.

Szkolenie takie odbywało się zrazu przy pomocy pisanych instrukcji lub odpraw czy wykładów organizacyjnych; później przyjęto metodę bardziej systematyczną szkolenia na specjalnych kursach zamkniętych a nawet skoszarowanych. Przyznać przy tym trzeba, że w tym szkoleniu politycznym przodowały stronnictwa lewicowe — socjaliści i komuniści, i to nie tylko w Rosji i u nas, ale i w demokracjach zachodu. One też wypracowały najlepsze metody tego szkolenia i od nich dopiero system ten przejęły inne ugrupowania, dla których system ten okazał się niebezpieczną bronią.

Życie praktyczne i postulaty walki wytknęły zatem w ten sposób nowe drogi rozwojowe i wskazały na nowe potrzeby, wynikające z przyjęcia zasad demokracji. Wprawdzie zakres tego kształcenia był zrazu ograniczony, a poziom jego niewysoki; chodziło raczej tylko o szkolenie działaczy zamiast kształcenia polityków, aby uczynić zadość praktycznym potrzebom chwili.

Jednak życie w ten sposób odsłoniło nowy, ważny problem, daleko przekraczający chwilowe potrzeby. Odsłoniło ono zasadniczy problem ustroju demokratycznego, jeżeli demokracja ma zdać egzamin dziejowy, jeśli ma być długotrwałą formą rządzenia się narodów, jeśli nie ma utonąć w płytciznie, demagogii i dojrutkowości. Taka demokracja bowiem musiałaby w krótkim czasie zniknąć, wywołując przeciwko sobie reakcję aktywnych elementów i — doprowadzić do dyktatury. Takie właśnie reakcje na dotychczasowe braki młodej demokracji przeżywalismy już i przeżywamy w postaci współczesnych eksperymentów monopartyjnych i systemów wodzowskich. Powstały one właśnie w imię uporządkowania chaosu demokratycznego i zastąpienia jego beztreści i bezradności nową organizacją narodu, kierowaną odgórnie.

I właśnie te ruchy — czy to komunizm, hitleryzm czy faszyzm — interesujący nas problem kształcenia politycznego pchnęły

poważnie naprzód, zdając sobie dokładnie sprawę z jego znaczenia. Zrozumiały one, że dotychczasowe sposoby praktycznego tylko szkolenia działaczy nie są wystarczające, że należy je pogłębić i rozszerzyć w kierunku naukowego kształcenia politycznego.

Ruchy te, dzięki wielkiemu rozmachowi, z jakim wszelkie problemy zwykły rozwiązywać, zwróciły uwagę nie tylko na konieczność szerokiego szkolenia, ale próbowały dać w skomplikowanym systemie początek planowego kształcenia i wychowania przywódców politycznych dla nadania im potrzebnych cech charakteru i umysłu w specjalnych zakładach; próbowali nawet stworzyć — choć z konieczności ustrojowych jednostronnie nastawione — laboratoria „naukowe” z zadaniem prowadzenia „naukowych” badań politycznych; wreszcie w wyniku tego wszystkiego, stworzyły obszerną literaturę polityczną.

Oczywiście trudno mówić w tym wypadku o prawdziwej nauce, skoro ma ona z góry wytknięty kierunek. Nauka prawdziwa musi być pod tym względem całkowicie wolna i nieskrępowana. Przyczyniło się to jednak do zrozumienia, że cała rozległa polityczna strona życia ludzkości i narodów winna również korzystać z skarbnicy nauki i z naukowych metod badawczych, jeśli chce się opierać na podstawach prawdziwych a nie tylko na mitach dowolnych lub nawet błędnych. Do problemu tego powrócę jeszcze w końcu tego opracowania. Tutaj chciałbym tylko zakończyć stwierdzeniem, że dotychczasowe usiłowania wykazały w każdym razie, że:

- 1) kształcenie polityczne w ustroju demokratycznym jest niezbędne,
- 2) że stronnictwa polityczne mogą z powodzeniem w nim brać udział,
- 3) że konieczne jest rozbudowanie wiedzy politycznej na zasadach nauki.

#### Udział państwa

Należałoby się jeszcze zastanowić nad tym, czy kształcenie polityczne pozostawić tylko stronnictwom, dając jedynie do jego podniesienia i udoskonalenia, czy też wprowadzić do realizacji tego zadania jeszcze inne czynniki. W rachubę wchodziłoby jedynie jeszcze państwo, bo samorządy, jak już wyżej wykazałem, z natury swoich ograniczonych zainteresowań i możliwości, gdy idzie o całość życia politycznego, odpadają.

Odrzucić jednak należy również możliwość, by państwu przyznać wyłączność kształcenia politycznego, by miało ono wyreżyczyć lub nawet zastąpić w tej dziedzinie udział stronnictw. Raz nie mogłoby ono prowadzić kształcenia odpowiadającego potrzebom stronnictw poszczególnych, tak iż te musiałby i tak to kształcenie uzupełniać. Ponadto nie mogłoby państwo prowadzić szkolenia na niższych szczeblach, gdyż obejmuje ono w wysokim stopniu praktykę pracy politycznej. Wreszcie zachę-



działaby poważna obawa wystawienia jednostronnego, odpowiadającego tylko celom i potrzebom grupy rządzącej, co by znowu było niepożądane ze stanowiska nauki.

Udział państwa należałoby zatem uznać za uzupełniający w całości tego zadania, o charakterze bardziej ogólnym. Zadanie państwa w tej dziedzinie widziałbym zatem w tym, by

- 1) dało ono obywatelom podstawowe ogólne wykształcenie polityczne — a więc coś więcej niż znaną dotąd naukę obywatelską lub naukę o państwie czy o Polsce współczesnej. Np. należałoby wprowadzić młodzież szkół średnich w sposób obiektywny i spokojny w powagę i doniosłość życia politycznego, w podstawowe problemy tego życia, zaznajomić ją z istniejącymi ugrupowaniami politycznymi, ich historią i programami, z podstawową współczesną literaturą polityczną itp.;
- 2) wspomagało i brało udział w kształceniu politycznym wyższego stopnia;
- 3) zorganizowało i przy udziale stronnictw prowadziło naukowe badania nad problemami politycznymi.

Zadanie pierwsze nie wymaga szerszego w tym miejscu omówienia, gdyż nie budzi większych wątpliwości. Podkreślić jedynie wypada, że zaznajamianie młodzieży ze stronnictwami, ich historią i programami, winno być naprawdę obiektywne i spokojne, pozbawione nawet cienia propagandy; wybór najcenniejszych pomników literatury politycznej obejmować winien różne kierunki polityczne. W ten sposób nabyłaby dojrzewająca młodzież w formie beznamiętnej podstawowe wiadomości polityczne oraz od razu szerokie spojrzenie na całokształt życia politycznego zanim stronnictwa polityczne zdołają jej podsunąć swój pogląd jednostronny. Wykonanie tego zadania stawia oczywiście najwyższe wymagania pod adresem nauczycielstwa, aby powstrzymało się od jakiegokolwiek jednostronnego nastawienia młodzieży, i to tak dalece, że dopóki to nie byłoby w pełni zapewnione, należałoby raczej z tej części kształcenia zrezygnować.

Zadania drugie i trzecie omówię razem, gdyż łączą się one ze sobą całkowicie w wyższej uczelni politycznej, a nadto mogą i powinny być realizowane wspólnie przez stronnictwa i przez państwo.

Udział państwa winien tutaj gwarantować przede wszystkim inicjatywę i ciągłość badań i kształcenia, ich materialne podstawy, poziom odpowiedni i autorytet; zaś udział stronnictw ich różnorodność, wszechstronność, aktualność i szerokie przyjęcie w społeczeństwie. Dwa te czynniki razem winny rozwiązać problem kształcenia politycznego i wiedzy politycznej, przed jakim rozwój życia politycznego demokracji postawił. Nadszedł czas, by to powiązanie polityki z nauką nie zostawiać przypadkowi, rozproszonym wysiłkom indywidualnym i samouctwu,

lecz by ująć je w pewną stałą i planową instytucję życia państwowego. Zainteresowane jest w tym zarówno społeczeństwo jak i państwo. Nie dość że podniosłoby to w ogóle poziom życia politycznego, ale szczęśliwe rozwiązanie tego problemu przyczyniłoby się niemało do złagodzenia dotychczasowych ujemnych przejawów życia demokracji u nas, jak rozdrobnienie partyjne, demagogia, płytkość zasad, wpływy mody itp. — a tym samym stanowiąłoby wielki krok naprzód w rozwoju naszej kultury w ogóle.

Postulat naukowego podejścia do zagadnień polityki poparty może być rozważaniami, jakimi prof. Bouglé uzasadnia taką samą konieczność odnośnie zjawisk społecznych w ogóle, których życie polityczne jest przecież częścią. W przedmowie do książki: „Qu'est-ce que la sociologie” (wyd. 1939) mówi on:

„Filozofia społeczna w ujęciu powszechnym rzadko operuje pojęciami ściśle naukowymi. Rzadko kiedy myśli nasze, stanowiące podstawę różnych naszych sądów społecznych, czy to zdobyte przez nasze własne doświadczenie, albo jak się to częściej zdarza, przejęte całkowicie z pewnego rodzaju zbiorowej tradycji, opierają się na dostatecznej ilości obserwacji porównawczych i krytycznych. Najczęściej jest nasze pole obserwacji ograniczone i z niego zbieramy spostrzeżenia bez wyboru, tak jak je daje przypadkowość życia. Wyobraźmy sobie, że zamiast znać tylko jedną i w dodatku tylko ogólnikowo taką lub inną rodzinę, takie lub inne wyznanie, taki rynek lub taki rząd, posiadalibyśmy wiadomości ściśle i sprawdzone odnośnie różnych typów suwerenności, różnych systemów produkcji i wymiany, różnych rodzajów organizacji rodzinnej czy odnośnie różnych form życia rodzinnego i politycznego, ekonomicznego czy religijnego. W ten sposób zastąpilibyśmy doświadczenie mocno ograniczone i fragmentaryczne — doświadczeniem metodycznie rozszerzonym; wybór dobrowolny i skutkiem tego mocno arbitralny — wyborem celowym; subiektywne pojęcia wstępne — pojęciami możliwie najbardziej obiektywnymi. Nad taką zamianą pracują w swoim zakresie poszczególne nauki społeczne.

Wyobraźmy sobie, że otwarto pewnego rodzaju magazyn myśli. Byłyby w nim zebrane, ułożone i systematyzowane, stosownie do ich stopni opracowania, najbardziej ogólne wyniki szczegółowych poszukiwań — z ekonomii politycznej, z nauki o religiach, morfologii społecznej lub etologii zbiorowej; wspólny ich wynik mógłby już dać wcale pożyteczną ilość pojęć naukowych.

Pojęcia te zresztą niedługo by obok siebie spoczywały spokojnie. Samo zestawienie ich oznacza konieczność koordynacji. Poszczególne myśli nie pozostają obok siebie w spokoju niezależnym jak towar w magazynie. Z chwilą zestawienia ich albo się do siebie dopasowują, albo się ze sobą kłócą; w błyskach ich zetknięcia widzimy nieoczekiwane stosunki między nimi. Są to wspaniałe iluminacje postępu nauki — czego dziesiątki dowodów może nam dostarczyć historia ekonomii politycznej,

nauka prawa lub religii; a jeszcze wspanialsze jest ich światło dla działalności ludzkiej...

Zastąpienie w umyśle niesprawdzonych wyników fragmentarycznego tylko doświadczenia krytycznymi rezultatami szerszych badań oznacza rozszerzenie a zarazem oświetlenie swojego pola działania; oznacza uniezależnienie się od przypadku; oznacza możliwość decyzji bardziej sumiennej i rozumnej.

Tak więc zbierając promienie prawdy, wydzielane przez poszczególne nauki społeczne natychmiast z chwilą pojawienia się ich, będzie mogła filozofia społeczna z pożytkiem rzucić snop światła nie tylko na drogi nauki, ale również — i to przede wszystkim — **na drogi działania ludzkiego** (str. VIII-X).

Te argumenty przemawiają również mutatis mutandis za koniecznością stworzenia naukowych podstaw dla polityki, która jest przecież jedną z głównych dziedzin społecznego działania ludzkiego.

Dla podkreślenia wreszcie, jak wielce błogosławiony, bo umoralniający zarazem i oczyszczający z namietności byłby takiego naukowego podejścia do zagadnień politycznych, warto przytoczyć myśli tegoż samego Bouglé, jakie wypowiada on na temat moralnych skutków uprawiania naukowej „socjografii”:

„Ponieważ to nas przyzwyczajają do wprowadzania ducha naukowego do rzeczy socialnych, przyzwyczajają nas tym samym do reakcji przeciwko drogom myślowym, jakie nam zbyt często publicystyka narzuca. Uwolnić się w podobnej dziedzinie od uprzedzeń, wyzbyć się zajętego stanowiska, przeciwstawić się naszym bodźcom — jest już pracą niezwykłą; i nie waham się powiedzieć, że jest to zadanie oczyszczające o najwyższej użyteczności. Wprowadzić ducha naukowego do badań nad zagadnieniami socjalnymi, oznacza już początek moralnego podniesienia... Istnieje „moralność nauki” jak się wyraża Albret Bayet; wystarczy odesłać do jego małego dziełka tak właśnie zatytułowanego, aby wykazać, w jaki sposób duch krytyczny, jaki nauka narzuca, przyzwyczajają nas do szczerości, do tolerancji, do poważania wolności w wszelkich postaciach, otwiera nas wreszcie dla wszelkich wysiłków wolnościowych ducha ludzkiego... Ktokolwiek bierze udział w tym wspaniałym wysiłku, jest już na drodze moralności.”

„Gaston Paris w swojej mowie inauguracyjnej w Akademii Francuskiej oświadczył, że ten, kto wybrał sobie dyscyplinę poważną i czystą, która wymaga od niego poszukiwania prawdy, jest przez to samo już zabezpieczony od większości niedomagań i otwarty dla cnót.”

Jak te zadania realizować w dziedzinie politycznej?

### Instytut Polityczny

Rozwiązanie widzę w stworzeniu Instytutu Politycznego, który by był z jednej strony kuźnią naukowo-polityczną, z drugiej strony kształciłby i przygotowywał na wyższym poziomie na-

czelną warstwę przewodników politycznych narodu.

Ustrój jego rysuje mi się następująco:

Winna to być instytucja autonomiczna na wzór szkół akademickich, przy czym państwo wzięłoby na siebie poważną część jego wyposażenia materialnego, jak budynki, pracownie, biblioteki oraz wyposażenia profesorów. Mówię przeważną część, bo jak niżej zobaczymy, przewidując w tym względzie również pewien udział stronnictw.

Katedry czy przedmioty nauczania dzieliłyby się na dwie kategorie:

1. na katedry podstawowe — prowadzone przez państwo,
2. na katedry dodatkowe — prowadzone przez stronnictwa.

Część pierwsza obejmowałaby takie przedmioty, których znajomość jest bezwzględnie potrzebną dla każdego biorącego czynny udział w życiu politycznym lub społecznym na wyższym szczeblu. Byłyby to w przeważnej mierze nauki społeczne, prawne i polityczne, a więc np. historia polityczna, nauka o państwie, nauka o samorządzie, historia doktryn ekonomicznych, historia ruchów politycznych, socjologia, geografia gospodarcza, polityka gospodarcza itp. Dalej zakres tej części należałoby rozszerzyć o pewne nowe przedmioty, jak: filozofia polityki, psychologia społeczna, zagadnienia narodowościowe, obronność kraju itp. Ta część wykładów byłaby obowiązkowa dla każdego absolwenta.

Część druga składałaby się z katedr, prowadzonych i utrzymywanych przez poszczególne stronnictwa, istniejące w kraju, celem naukowego badania tych problemów politycznych, na jakie dane stronnictwo szczególnie kładzie nacisk, a które przez katedry państwowe byłyby lub nie z potrzebną gorliwością prowadzone. A więc w tej serii mogłyby powstać np. katedry: Nauka o narodzie, historia ruchów narodowych, słowianoznawstwo, nauka o związkach międzynarodowych, nauka o stronnictwach politycznych, socjologia wsi, socjologia klas, proletariatu, nauka o placach i zarobkach itp. Oczywiście że przedmioty te wymieniam tylko przykładowo. Utworzenie tej części katedr Instytutu zależałoby w większym stopniu niż w wypadku pierwszym od możliwości znalezienia odpowiednich sił naukowych a nawet w ogóle od dostatecznego naukowego przygotowania danego przedmiotu.

Katedry poszczególne miałyby swoje pracownie seminaryjne i biblioteki, w których prowadziłyby bardzo często pionierską pracę naukową.

Słuchacze byłiby, jak w każdej szkole akademickiej, zwyczajni i nadzwyczajni w zależności od posiadania przygotowania. Ukończenie Instytutu należałoby uznać za równoznaczne z ukończeniem szkoły uprawniającej do stanowiska urzędnika I stopnia. Instytut bowiem byłby w każdym razie wyższym zakładem naukowym a ponadto dawałby istotnie poważne przygotowanie do wielu stanowisk w administracji politycznej i samorządowej. W ten sposób studia polityczne nie byłyby dla życia zawodowego słuchaczy straconym czasem, a z drugiej strony nie skazywałyby

ich do zawodowego poświęcenia się życiu politycznemu. Jednak i tutaj, jak w wypadku przygotowania samorządowego — nie wyobrażam sobie, by można ukończenie Instytutu Politycznego uznać za obligatoryjne dla pewnych działaczy politycznych czy polityków. Powtórzyć należy i tutaj wszystkie zasadnicze argumenty, jakie już tam podniosłem. Zresztą państwo nie byłoby w stanie takiego przymusu wyegzekwować bez poważnego zachwiania stosunków wewnętrznych, zaś stronnictwa nie mogłyby się stosować do zbyt biurokratycznego załatwienia tej sprawy.

Tym niemniej jestem przekonany, że stronnictwa widząc wielkie korzyści, jakie by studia na takim Instytucie im dawały chociażby tylko przez możliwość systematycznego i poważnego kształcenia narybku, starałyby się we własnym interesie o to, by młode pokolenie możliwie licznie z Instytutu korzystało. Należałoby się nawet spodziewać szerokiego popierania przez nie studiów politycznych przy pomocy stypendiów. Takie stypendia winno przydzielać również i państwo; i to nie indywidualnie wybranym przez siebie jednostkom, lecz do dyspozycji stronnictw według klucza np. posiadanych przez nie ilości posłów w sejmie.

Na założeniu i prowadzeniu takiego Instytutu politycznego oraz na przydzielaniu stypendiów do dyspozycji prowadzących w Instytucie własne katedry stronnictw, widziałbym udział państwa w kształceniu politycznym za wyczerpany. Były to dach szkolnictwa politycznego, wznoszony wspólnym i zgodnym wysiłkiem tych właśnie czynników, które w kształceniu politycznym i jego poziomie są zainteresowane, a demokracja uzyskiwała w ten sposób ostatni organ, który by wypełnił i rozwiązywał poważny, a dotąd otwarty problem uzupełnienia dotychczasowego szkolenia politycznego na niższym i jedynie praktycznym poziomie.

Instytut taki, odpowiednio postawiony, mógłby się poważnie przyczynić do uzdrowienia w wysokim stopniu anarchicznych stosunków panujących w życiu politycznym, podnieść zaufanie i poważanie w społeczeństwie do tej niezmiernie ważnej strony życia społecznego, podnieść tak bardzo zdeklasowany autorytet polityków, przewodników politycznych i ich własne poczucie godności.

Instytut taki mógłby waleń przyczynić się do ograniczenia plagi partyjnicstwa, jakiego w niepoohamowanej u nas demokracji do 1926 r. byliśmy świadkami; mógłby utrudnić powstawanie małych, częstokroć dla aktualnych tylko i taktycznych celów tworzonych partii, gdyby np. otwarcie katedry własnej było obowiązkowe dla każdego stronnictwa lub jeżeli by tego przynajmniej opinia publiczna wymagała.

Wreszcie Instytut taki byłby poważnym przyczynkiem naukowym; może dałby nawet początek obszernej wiedzy i nauce politycznej.

Dr Tadeusz ZGAIŃSKI.

## Na marginesie procesów norymberskich

1

Wśród wydarzeń politycznych roku 1946, proces norymberski przeciw głównym zbrodniarzom wojennym — był jednym z najważniejszych. — Rozpoczęty 20 listopada 1945, trwał prawie 10 miesięcy, w czasie których odbyło się 403 posiedzeń sądowych. O ogromie prac tak trybunału sądzącego, jak i ławy oskarżycieli świadczą następujące cyfry: Ponad 40 stenografów sporządzało protokół, ujęty w 30 tomach na 16.000 stronicach. Oskarżyciele przedstawili Trybunałowi 2630, zaś obrona ponad 2700 dokumentów. Na powielenie i tłumaczenia zużyto 200 ton papieru; centrala dokumentów sporządziła 780.000 fotokopii, a za szklanymi ścianami pracowali nieustannie fotografowie i radiooperatorzy, umieszczeni w małych boksach. — Dla usprawnienia służby informacyjnej wprowadzono najmodniejsze środki, jak telefon, radio, aparaturę przenoszenia pisma w dal oraz wywołano 7300 metrów filmu i 2000 m. negatywów. — Cyfry te mają swą wymowę, ale jeszcze przed rozpoczęciem przewodu sądowego prowadzono iście mrówczą, niezwykle mozolną pracę przygotowawczą, której wynikiem było dotarcie do najtajniejszych aktów, do najskrytszych zapisków, pamiętników i korespondencji oskarżonych. Zebrane akty, dokumenty, filmy, pamiętniki i zeznania świadków stanowią nie tylko dowody winy oskarżonych, ale stanowiąc będą „pro aeterna memoria” dowody winy setek tysięcy ich współziomków, całych organizacji, liczących miliony członków. — Dowody te stanowiąc będą niewyczerpane źródło badań nie tylko dla prawników, ale i polityków, historyków, psychologów i filozofów całego świata.

Gdyby zatem tylko ten jeden sukces wieńczył kolosalny wysiłek pracy Trybunału i oskarżycieli w tym bodajże największym monstre-procesie świata, to sukces ten sam byłby wart tego ogromu syzyfowej pracy całego zespołu sądowego. — Niewątpliwie też jeszcze przez długi okres czasu będzie proces norymberski przedmiotem badań, rozważań i dociekań i nie zejdzie tak szybko z łam prasy i dyskusji całego świata. — Wszak w ostatnich czasach jeszcze wszczął ks. biskup Wurm na ła-

mach prasy krytykę procedury procesu a w czasopiśmie „Die Neue Zeitung” w końcu maja 1948 r. łamali kopie przedstawiciele zarówno Sądu jak i ławy obrońców! W każdym bądź razie nikt nie ma podstawy do wątpienia, jakoby proces norymberski nie osiągnął w pełni zamierzonego skutku utrwalenia, prawie sfotografowania faktów, stwierdzających winę wywołania wojny napastniczej i prowadzenia jej w sposób bestialski, jakiego dotąd historia ludzkości nie znała. — W niniejszym referacie omówimy dalsze cele procesu, podamy krótką analizę przewodu sądowego, wreszcie wykażemy niektóre braki i wady tegoż ze stanowiska narodu polskiego.

## 2

Drugim z rzędu skutkiem procesu, zamierzonym przez twórców Sądu, był cel wychowawczy, oraz odstrasający. Stwierdził to przewodniczący Trybunału, lord-sędzia Lawrence w swym przemówieniu wstępnym, oraz główny oskarżyciel francuski de Menthon w słowach, iż proces ten ma być pierwszym pouczeniem dla narodu niemieckiego-nazistowskiego, ma być pierwszym stopniem dla przyjęcia narodu niemieckiego w grono narodów wolnych. Uroczyście zapowiedziany powyższy cel wychowawczy procesu zawiódł niestety na całej linii nie tylko narody zjednoczone w ich nadziejach, czego dowodem głosy prasy amerykańskiej, krytyka francuskiej oraz innych narodów, ale przede wszystkim otwarcie wypowiedzianą krytyką narodu niemieckiego, stwierdzającą, że proces nie osiągnął bodaj najważniejszego z zamierzonych skutków, tj. odstraszania przyszłych hitlerowców, czy innych burzycieli pokoju świata. Ponad i poza wszelkimi problemami dyskusji na temat powyższy, argumentacji innych narodów, — mamy my, Polacy, jeszcze inne, własne, specjalne powody zastanowienia się nad sposobem prowadzenia procesu i jego wynikami.

W ramach dzisiejszego odczytu nie zamierzam powtarzać głosów krytyki wyroku i postępowania sądowego oraz składu trybunału, podanych w prasie narodów, które powołały do życia układem z 8 sierpnia 1945 trybunał norymberski dla osądzenia zbrodniarzy wojennych. Wydaje mi się, że najlepszym przedmiotem dla osądzenia, czy cel wychowawczy procesu został osiągnięty, będzie stanowisko prasy niemieckiej, odzwierciadlającej psychikę całego narodu niemieckiego, stojącej najbliżej źródeł badania tego problemu.

Otóż poza zgodnymi zresztą atakami prasy niemieckiej na zasady materialnego i formalnego prawa, jakimi kierował się Trybunał sądzący, przeważająca większość prasy niemieckiej, a wśród niej i wychodzące w Monachium pismo „Sueddeutsche Zeitung” stwierdza, że w pierwszej fazie przewodu sądowego duża część społeczeństwa niemieckiego wyrażała raczej opinię, iż nie należy się z oskarżonymi długo rozprawiać, lecz jak najszybciej wyrok wydać i wykonać. W końcowej fazie procesu tak

społeczeństwo, jak częściowo i prasa stały na diametralnie przeciwnym stanowisku.

Zbyt długi przewód sądowy, sam sposób prowadzenia rozprawy, danie oskarżonym możliwości wygłaszania długich mów, zawierających raczej akcenty propagandy i zwalania winy na rzekomy imperatyw rozkazu a nawet patriotyzmu, wszystkie te czynniki łącznie przyczyniły się z biegiem długiego okresu przewodu sądowego do powstania u dużej części narodu niemieckiego współczucia i litości dla oskarżonych, w końcu zaś otoczyły niektórych z nich, w pojęciach współziomków, aureolą męczeństwa a nawet bohaterstwa. Tak duży zwrot w opinii niemieckiej, przyznany przez samych Niemców, miał prócz wyżej wymienianych, jeszcze wiele innych przyczyn.

## 3

Przede wszystkim sam skład Trybunału sądzącego był od początku powodem wielu krytycznych uwag nie tylko ze strony ławy obrońców, ale i prasy niemieckiej, co więcej nawet i amerykańskiej. Stale w formie zrazu nieco maskowanej, wysuwano w prasie niemieckiej zarzut, że w procesie tym zwycięzcy sądzą zwyciężonych. Zarzut ten, o ile go wysunęła ława obrońców, został wprawdzie odparty, jednakże niestety nie z miejsca. Natomiast nie otrzymał żadnej odprawy, o ile pojawił się w prasie niemieckiej w formie relacji z mów obrończych. Może z tych powodów, a może i z innych utarło się w końcu, powtarzane z początku po cichu, a w końcu głośno zapatrywanie, że przewód sądowy nie jest i nie może być obiektywnym, skoro sądzeni są zwyciężeni przez zwycięzców. Od takiego zapatrywania niedaleko już do przekonania, że proces ten jest tylko pokazem tego, co zwycięzcy wzgl. ich trybunał chce światu wykazać, a zarazem zamilczeniem tego, co mu nie jest wygodne, wskutek tego i wyrok nie jest obiektywny i sprawiedliwy. Oczywiście takie zapatrywanie nie mogło powstać bez przyczynienia się propagandy, wynikłej z wywodów większości obrońców, atakujących już nie tylko sam skład Trybunału sądzącego, ale i samą jego kompetencję do sądzenia oskarżonych, którzy zresztą i sami do końca przewodu sądowego, nawet w wygłaszaniu swego ostatniego słowa, nie uznawali Trybunału sądzącego jako właściwego dla siebie Sądu.

Omówienie wad w składzie Trybunału sądzącego odkładam do rozdziałów, obejmujących krytykę prawniczą, na której opierała się obrona oskarżonych. Już teraz choć jednakże zauważyć, że w myśl zasady, iż czyn karygodny ma być sądzony w miejscu jego popełnienia i według prawa obowiązującego (forum delicti), wszystkie czyny objęte oskarżeniem, a nadto i te, których nie objęto, byłyby na zasadzie ustaw europejsko-kontynentalnych uznane za dostateczne uzasadnienie wyroku, jaki orzekł Trybunał norymberski. Identyczne zapatrywanie wypowiada również i prezydent rady ministrów bawarskich

Dr Hans Ehard w swym studium, drukowanym w „Sueddeutsche Juristenzeitung” z lipca ub. r.

## 4

W zakresie krytyki prawniczej główne zarzuty dadzą się spreycyzować następująco: 1) **zarzut natury proceduralnej**, iż w ułożeniu, czy też skodyfikowaniu ustawowych przepisów prawnych, na jakich opiera się sądownictwo norymberskie, brał udział przedstawiciel Związku Sowieckiego, 2) oskarżeni winni być nie karani, skoro inni, którzy popełnili identyczne czyny, nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, 3) **prawo materialne**, na którym opiera się Sąd, nie istniało w czasie popełnienia czynów, zarzucanych obecnie oskarżonym, za czym na skutek zasady prawnej: „nulla poena sine lege” oskarżeni nie mogą odpowiadać za inkryminowane czyny.

Rozpatrzmy wszystkie te zarzuty prawne, na jakich obrona oparła swe wywody.

Uzasadniając pierwszy zarzut, podnosi obrona, że układ londyński z 8 sierpnia 1945, który powołał do życia Trybunał sądzący norymberski, zawiera komplet prawa materialnego, jak i formalnego, określa skład Trybunału i ławy oskarżycieli, — wprawdzie nie osobowo, lecz według tzw. państw sygnatariuszy, czyli stanowi cały statut Sądu. W tej kodyfikacji brał również udział Związek Sowiecki. Przede wszystkim jednak zarzut obrony streszcza się w tym, że na skutek takiego składu kolegium, tworzącego statut i delegującego Sąd, stała się jedna strona twórcą, zarazem przepisów prawa materialnego, określającego definicję czynów karygodnych, jak i formalnego, określającego procedurę przed zespołem sądzącym, stała się nadto oskarżycielem i sędzią. Co gorsza — w zespole sądzącym uczestniczy nie tylko jako twórca ustaw, ale jako sędzia i prokurator Związek Sowiecki, który według określeń, przez statut zdefiniowanych, sam popełnił identyczne czyny, za jakie Trybunał oskarżonych do odpowiedzialności pociąga. Do tych czynów, które zdaniem obrony podpadają pod kompetencję tegoż samego Trybunału na zasadzie własnego statutu, należy przede wszystkim **tajny układ z 23 sierpnia 1939**, zawarty między Związkiem Sowieckim a Niemcami w sprawie podziału sfer wpływów na terenie Polski, oraz następne zajęcie przez wojska sowieckie tej właśnie części Polski, którą oznaczył ów tajny układ tzw. linią Mołotow-Ribbentrop. Do takich czynów należy napad wzgl. wojna napastnicza Związku Sowieckiego przeciw Finlandii, która dała Francji i Anglii asumpt do zgłoszenia wniosku, by Związek Sowiecki za przygotowanie i prowadzenie wojny napastniczej z Finlandią wykluczono z Ligi Narodów, co też na mocy uchwały z 14 grudnia 1939 nastąpiło. Na powyższych przesłankach opierały się wywody seniora ławy obrończej, prof. Jahreisa i kilku innych obrońców. Replika Trybunału na te wywody była twierdzeniem, że żadna umowa, żaden układ i żadna ustawa nie traci z tej

li-tylko przyczyny swej mocy prawnej, iż kontrahent, wzgl. ustawodawca sam dopuszcza się czynów, przeciwnych temu układowi, czy tej umowie, wzgl. ustawie. Nie uważam, by ten przeciwargument był druzgocący.

Tu nasuwa się omawiana w zagranicznej prasie ewentualność powołania Trybunału sądzącego, złożonego z sędziów niemieckich. Wśród należy rozważyć pewne korzystne strony takiego projektu. Otóż niewątpliwie miałyby taki skład zespołu sądzącego nie tylko dla historii pewne znaczenie, ale też byłyby kamieniem próbnym, dla wykazania, czy i w jakim stopniu sami Niemcy uznają swych byłych przywódców za winnych zbrodni wojennych. Nadto taki skład Sądu pozbawiłby oskarżonych nimbu męczeństwa czy nawet bohaterstwa. Narody zjednoczone uzyskałyby bardzo cenny wykres i wgląd w psychikę narodu niemieckiego, być może nawet pewien zaatek na nadzieję jego poprawy! — Można było przygotować cały materiał przez delegatów narodów zjednoczonych, wydelegować oskarżycieli, ale sam osąd pozostawić sędziom niemieckim, wybranych w wolnych tajnych wyborach przez zespoły sędziowskie poszczególnych stref okupacji. To byłaby praktyczna strona wspomnianego projektu i jego ewent. korzystne wyniki. Ale historia wykazała już raz, jak niewłaściwe jest pozostawienie ukarania winnych wojen napastniczych narodowi niemieckiemu. Mam na myśli fakt oddania winnych 1-ej wojny światowej do osądzenia w r. 1919 oraz wynik; Niemcy żadnego ze sprawców wojny do odpowiedzialności nie pociągnęli. I to przemawia aż nadto dosadnie przeciw owemu projektowi.

Trybunał w żadnym względzie nie ujawnił niczym, ani w przygotowaniu procesu, ani w jego przewodzie, jakoby był Sądem zwycięzców, tym bardziej, iż na podstawie prawa formalnego, obowiązującego w tym procesie, oskarżeni mieli nieporównanie więcej uprawnień, niżli na zasadzie ustaw formalnych kontynentalno-europejskich. Wydaje mi się mimo to, iż skład Trybunału przyczynił się do wprowadzenia pewnych niepożądanych i niezamierzonych skutków natury psychologicznej, które można było ominąć. — Nie poruszam oczywiście składu Trybunału pod względem doboru osobowego. Mam na myśli skład narodów, tzw. państw sygnatariuszy, które miały wyłączne prawo ułożenia ustaw materialnych i formalnych, prawo uczestniczenia w zespole sądzącym i na ławie oskarżycieli. Gdyby kluczem do obsady Sądu i oskarżycieli była najwyższa ilość zbrodni wojennych, największa cyfra ofiar reżimu hitlerowskiego, **miałaby niechybnie Polska największe prawo uczestniczenia w Trybunale sądowym**, co mogłoby przyczynić się do obszerniejszego wykrycia całokształtu zbrodni reżimu hitlerowskiego. Nie można pominąć milczeniem faktu, iż z powodu pozbawienia Polski przedstawicielstwa w składzie Trybunału, mniej się słyszało podczas całego przewodu sądowego o największym dotąd w historii świata obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, niżli np. o obozach w Dachau, czy Ravensbrueck, mimo iż Oświęcim

pochłonał kilkadziesiąt razy więcej ofiar, niżli te obozy razem wzięte. — **Może by i zbrodnia Katyńska doczekała się autorytatywnego wyjaśnienia** i nie pozostała dla historii efemerydą, gdyby w Trybunale zasiadał sędzia-Polak lub wśród oskarżycieli, prokurator-Polak. Akt oskarżenia nazywa ofiary katyńskie „jeńcami”. Zdaniem naszym nie byli oni nigdy jeńcami, bośmy nie byli w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, a Niemcy nie wzięli tych oficerów do niewoli z bronią w ręku, ani ich nie mogli wziąć i tego nawet nie twierdzą. Bardzo mała tylko część ofiar katyńskich dostała się na wschodnich kresach do niewoli rosyjskiej, przeważająca część nie była ani niemieckimi, ani rosyjskimi jeńcami. — W szeregu państw, w których zbrodniarze niemieccy mordowali niewinnych, kroczyliśmy niestety z liczbą około 7 milionów ofiar na pierwszym miejscu. Powyższy fakt nie jest wcale widoczny z całego przewodu, i nie został dla historii w tym przewodzie sądowym utrwalony. W N-rze I-ym, wydanego w Monachium w czerwcu 1946 czasopisma „Idee i dokumenty”, w artykule Stanisława Mackiewicza pod tytułem „Temida z osną na twarzy” stwierdza autor: „**pomijanie Polski i jej krzywd w akcie oskarżenia jest do tego stopnia konsekwentne**, że nawet w rozdziale o rabunku przez Niemców dzieł sztuki nie ma słowa o Polsce, mimo, iż Niemcy z Polski wywieźli więcej dzieł sztuki, niż z wszystkich pozostałych krajów Europy razem wziętych”. Zdaniem moim także zbrodnie kata Polski, Franka, winny były w toku procesu stokroć obszerniej być wykazane i dla historii zachowane, tymczasem nie zarzucano mu nawet pospolitych kradzieży dzieł sztuki, przedmiotów nieobliczalnej wartości, zabranych z Wawelu, z zamku w Krzeszowicach, nie wykazano spustoszenia muzeów Czartoryskich w Krakowie, Sieniawie i Głuchowie. — Kustosz muzeum Czartoryskich w Krakowie, śp. prof. U.J.K. dr Stefan Komornicki, zapytany przeze mnie po zwolnieniu go z obozu w Dachau i Oranienburgu o stan muzeum, rozplakał się tylko — i to była jego niema odpowiedź!

Uczestniczenie w Sądzie wyłącznie państw tzw. sygnatariuszy spowodowało, iż długo jeszcze w narodzie niemieckim pozostało powtarzane potajemnie po kątach, a z czasem i głośno wypowiadane przekonanie, że w procesie norymberskim sądzono zwyciężonych przez zwycięzców, i to przez kilku zwycięzców, którzy sobie samowładnie prawo sądzenia arogowali. Na tle tych doświadczeń, wręcz przeciwnych zamierzeniom narodów zjednoczonych, byłoby najkorzystniejsze oddanie zbrodniarzy wojennych do osądzenia **państwom neutralnym**, aby zapobiec tym wszystkim niepożądanym objawom, jakie wyżej wymieniłem.

Przypominam, że zarzut drugi, jakoby innych winnych tych samych zbrodni nie pociągnięto do odpowiedzialności, za czym i zbrodniarzy norymberskich nie powinno było się sądzić, — że zarzut ten oparła obrona na faktach już uprzednio wyszczególnionych, a mianowicie na tajnym układzie z 23 sierpnia

1939 między Związkiem Sowieckim i Niemcami, na zajęciu przez wojska sowieckie w wykonaniu tego układu połowy obszaru Polski, na przygotowaniu i prowadzeniu wojny napastniczej przez Związek Sowiecki przeciw Finlandii, — wreszcie na wielu innych zbrodniach wojennych, które dotąd nie doczekały się ani dochodzeń, ani kary. — Ten zarzut odparty został przez Trybunał norymberski w sposób następujący: „Samo twierdzenie a nawet niewątpliwy fakt, że prócz oskarżonego jeszcze inny przestępca dopuścił się zarzuconych oskarżonemu czynów, nie uwalnia nigdy oskarżonego od odpowiedzialności karnej. Dokąd doprowadziłaby wymiar sprawiedliwości taka wykładnia prawna, gdyby zbrodniarz miał być wolny tylko dlatego, iż innego zbrodniarza, nawet jego współnika jeszcze nie ujęto, wzgl. do odpowiedzialności nie pociągnięto?”

Przedstawiając powyższy przeciwargument Trybunału, nie mogę pominąć milczeniem dalszego już poprzednio omówionego zarzutu, iż obrona poszła dalej w swych wywodach, twierdząc, że nie tylko zbrodniarz wojenny, który popełnił ten sam czyn uszedł kary, ale uczestniczy w zespole sądzącym. Z obowiązków sprawozdawczych powtarzam wywody obrony i replikę Trybunału, pozostawiając osąd słuchaczom wzgl. czytelnikom.

## 5

Ostatni zarzut z liczby najważniejszych, to zarzut, oparty na zasadzie prawa rzymskiego, recypowanej przez wszystkie ustawodawstwa karne: „*nulla poena sine lege praevia, nullum crimen sine lege!*” Zarzut ten streszcza się w tym, że czyny objęte oskarżeniem zaistniały **przed** ustanowieniem zasad prawnych obu kodyfikacji, na których opiera się Trybunał, czyli przed statutem Sądu oraz przed rozp. Rady kontrolnej Nr 10 z 20 listopada 1945.

Powyższa doktryna prawa karnego powstała z generalnej zasady prawnej „*Lex retro non agit*” (żadne prawo nie ma mocy wstecz obowiązującej). Stosownie zatem do tych reguł prawnych, dotąd nienaruszonych żadnym wyłomem w ustawodawstwach, — nie mogą być oskarżeni odpowiedzialni za czyny, które popełnili w czasie, gdy jeszcze powołane wyżej kodyfikacje prawne nie istniały, za czyny, które według wówczas istniejących ustaw nie były karalne.

Z obowiązków sprawozdawczych muszę przede wszystkim stwierdzić, że niektórzy uczeni wyrażają zapatrywanie, iż zasada „*Nulla poena sine lege*” czy też „*Lex retro non agit*” nie ma zastosowania do prawa międzynarodowego, bo wymaga do zastosowania swego pewnego poziomu rozwoju ustawodawstwa, a raczej pełnego stopnia organizacji prawnej, do którego prawo międzynarodowe jeszcze nie doszło. Jednakże ani oskarżyciele, ani wyrok nie opugnowali wcale zastosowania tej zasady w prawie międzynarodowym. W każdym razie układ wspomniany jest umową, zawartą między państwami, które ją zawarły. Inaczej

nie można oceniać go ze stanowiska nauki prawa. Jest on *lex specialis* w odróżnieniu od ogólnego prawa międzynarodowego, które opiera się na prawie zwyczajowym, wiąże on zatem tylko te państwa, które ten układ zawarły. W istocie swej jest zaś ów układ wytworem praw anglosaskich z pewną domieszką czy ustępstwem na rzecz ustaw kontynentalno-europejskich. Zarzut powyższy, niezmiernie doniosły, zwalczał inaczej oskarżyciel Związku Sowieckiego. Oskarżyciel amerykański wywiódł, że zasada „Nulla poena sine lege” nie została w statucie Sądu wcale naruszona, gdyż owa „lex”, tj. prawna podstawa karygodności istniała już poprzednio, ustalona w tzw. pakcie Kelloga-Brianda z r. 1928, który piętnował wojnę napastniczą jako zbrodnię prawa międzynarodowego. Statut stworzył jedynie właściwość Sądu orzekającego. Prawo międzynarodowe opiera się nie tylko na układach, ale też na zwyczajowym prawie, które powstaje na skutek poszczególnych czynów i działań. Dlatego też tylko osobista odpowiedzialność sprawców zbrodni może temu prawu zabezpieczyć wykonalność, — i zapewnić pokój. Oskarżyciel angielski twierdził, że państwa, odpowiedzialne za statut, wysnuwają tylko konieczne wnioski z ustalonych układami między państwami zasad zrzeczenia się wojny jako środka, zakazu wojny napastniczej i jej uznania za zbrodnię. Państwa te nie mogą dopuścić do tego, by sprawiedliwość i prawo były skazane na niemoc i na niewykonalność przez to, iż żadne państwo suwerenne i żadna osoba w jego imieniu działająca wbrew prawu nie mogłyby być pociągane do odpowiedzialności. Natomiast francuski oskarżyciel w doskonałym wywodzie stwierdził, że właściwość Sądu oparta jest na zasadzie terytorialności, przysługującej każdemu suwerennemu państwu. Zbrodnie oskarżonych popełnione były na terenie kilku państw, zatem konieczne było utworzenie jednego wspólnego trybunału do ich osądzenia. Ponieważ obecnie nie ma państwa niemieckiego, przeto najwyższą władzę reprezentują mocarstwa, które Niemcy okupowały, a im przysługuje prawo ścigania i karania winnych. Według tej tezy działał zatem Trybunał z ramienia niemieckiego państwa. Oskarżyciel Związku Sowieckiego, generał Rudenko — w przeciwieństwie do reszty oskarżycieli, nie uznaje prawa zwyczajowego jako źródła prawa międzynarodowego, lecz uważa za jedyne ustawodawcze źródło Statutu układ między państwami-sygnatariuszami. Powołanie się na zasadę „Nullum crimen sine lege” nie ma znaczenia wobec faktu, iż istnieje statut i jego przepisy. Jest zatem jego stanowisko bardzo znamienne uproszczeniem tak ważnych i doniosłych problemów, zrozumiałym dla nas, bliżej znających pojęcia prawne Związku Sowieckiego. Trybunał norymberski dopiero w uzasadnieniu wyroku z 4 kwietnia 1948 odparł zarzut w następujących słowach: „Obrońcy nie bronią narodu niemieckiego, lecz poszczególne osoby o czyny, których określenie i znamiona przestępstwa zawarte są w rozp. Rady kontr. Nr 10 i w statucie

międzynarodowego trybunału wojskowego dla osądzenia zbrodniarzy wojennych. Obie ustawy nie są dowolnym aktem, czy wynikiem potęgi i siły państw zwycięskich, lecz jedynie wyrazem istniejącego już w czasie tworzenia tych ustaw zasad prawa międzynarodowego. Rozp. Rady kontr. Nr 10 jest jedynie skodyfikowaniem i systematycznym zebraniem istniejących już podobnych reguł i zwyczajów prawa międzynarodowego. Pojęcie zbrodni przeciw ludzkości jest wynikiem zbioru reguł i zwyczajów, będących dziedzictwem moralnym narodów cywilizowanych, które już od wieków uznały te przepisy prawne w licznych konwencjach, przyjętych i ratyfikowanych również i przez państwo niemieckie i stanowią od dawna część prawa międzynarodowego”. Pomijam omówienie siły argumentacji tak oskarżycieli, jak i Trybunału, muszę jednakże zauważyć, że odparcie zarzutu było grubo spóźnione, na skutek czego nie zatarło zaraz z miejsca wrażenia wywodów prof. Jahreisa i innych obrońców. Dalszy zarzut obrony, jakoby prawo międzynarodowe zawierało przepisy jedynie przeciw państwom, a nie poszczególnym jednostkom, nie wydaje mi się silnie uzasadnionym. Już w średniowieczu znane były postanowienia prawne przeciw korsarzom-piratom. W r. 1631 pisał Grotius w swym dziele „De jure belli et pacis” iż przestępca, „by nie szerczo zapatrywania, iż czasu wojny ustają zobowiązania prawne, oraz, by nie sądzono, iż wojna może być prowadzona z pogwałceniem granic sprawiedliwości i uczciwości”. Muszę jeszcze zaznaczyć, że oskarżyciel amerykański wyraźnie stwierdził, iż według tej samej miary, jaką zastosowano przeciw oskarżonym, mogą również państwa, które Sąd utworzyły, stanąć w charakterze oskarżonych przed historią. Wyraźniej jeszcze uzasadnił swe przekonanie w słowach: „Ta ustawa użyta została na razie przeciw zbrodniarzom wojennym niemieckim, jednak nie wyklucza to wcale, by dla uniemożliwienia czy ukarania wojny napastniczej, ta sama ustawa nie miała być zastosowana przeciw któremuś z tych państw, które dzisiaj należą do zespołu sądującego”.

## 6

Proces norymberski jest pierwszą próbą realną egzekutywy prawa międzynarodowego i w tym już leży jego zasługa i cecha. Do tego czasu było prawo międzynarodowe tym, co Rzymianie zwali „nudum jus”. Zawierało przepisy, określało definicje agresji, jej potępienie, wykluczenie pewnych form walki, jednak jako prawo ustanowione nie między podmiotami (kontrahentami) fizycznymi, lecz między suwerennymi państwami, nie posiadało wykonalności, ani określonego środka jej zastosowania. I w tym leżała największa wada tego prawa! Cały szereg układów tzw. konwencji międzypaństwowych, z paktem Kelloga na czele, zawierał określenia prawne, ale nie posiadał sankcji prawnej, czyli nie ustalał sposobu stwierdzenia winy, pociągnięcia za nią do odpowiedzialności, czy też sposobu ukarania winnych

podżegania do wojny, przekroczenia pewnych ustalonych już postanowień prawnych. Liga Narodów zajmowała się raczej gołosłownym potępieniem wojen, ustaleniem pojęcia agresji, niżli wykonalnością postanowień prawa międzynarodowego. — Mimo to nie brakło próby pociągnięcia do odpowiedzialności winnych przekroczeń prawa międzynarodowego po pierwszej wojnie światowej w r. 1919, gdy parlament niemiecki powziął postanowienie odnośnie Wilhelma II. Ta uchwała parlamentu, choć nie była wpływem sankcji prawa międzynarodowego, lecz enigmatycznym a nawet anemicznym wyrazem niezadowolenia narodu z własnego kierownictwa, nie została nigdy wykonana. W ten sposób pozostało prawo międzynarodowe bez egzekutywy aż do czasu procesu norymberskiego. Układem zwanym londyńskim z dnia 8 sierpnia 1945, do którego przystąpiły 23 państwa, między nimi także i Polska, powołano do życia międzynarodowy Trybunał wojskowy dla osądzenia zbrodniarzy wojennych. Zarazem stworzono dla tego Trybunału kodeks karny, ustalając trzy główne działy zbrodni w art. 6-tym tego układu: 1) zbrodnie przeciw pokojowi, 2) zbrodnie wojenne i 3) zbrodnie przeciw ludzkości. I o tym należy pamiętać, że tylko za te rodzaje zbrodni, dokładnie w ich znamionach określone, mogli być zbrodniarze wojenni sądzeni przez Trybunał norymberski. Jednakże powyższe sformułowanie kodeksu dla Trybunału czyli zdefiniowanie pojęcia zbrodni wojennych, nie było niczym nowym, nie zawierało wcale nowych postanowień czy określeń prawnych! Było ono li tylko wpływem i konsekwencją całego szeregu umów międzypaństwowych, które od roku 1899 tj. od 1-szej konwencji Haskiej cały szereg państw europejskich podpisał i ratyfikował, a wśród nich i Niemcy. W rezultacie tedy układ londyński nie wprowadził wcale nowego prawa, a jedynie nadał temu istniejącemu już prawu wykonalność, stworzył dla zasad prawa międzynarodowego, już uprzednio ustalonych i przyjętych przez egzekutywę w formie właśnie Trybunału sądzącego zbrodnie wojenne. Potępienie zbrodni wojennych, zdefiniowanie ich, nacechowanie jako zgubnych i godnych ścigania i ukarania, istniało już dawniej z mocy i na skutek szeregu układów międzypaństwowych, brakło tylko Sądu, który by te przepisy wprowadził w życie, ścigał je i karał. Nie może się zatem, ani państwo żadne, (ani jego kierownicy), które przez podpisanie i ratyfikowanie takich układów, stwierdzających pojęcie zbrodni wojennych, obecnie tym zasłaniać, czy bronić, iż układ, zdaniem tego państwa, pozostał niewykonalny. Żaden szanujący się człowiek nie zawiera umowy w zamiarze, by działać wbrew postanowieniom tejże i w nadziei, że od odpowiedzialności się wywinie tak kruchą wymówką, jak wspomniana! To minimum powszechnego pojęcia etyki, będące podstawą współżycia między ludźmi, winno i musi obowiązywać również taki zespół ludzki, jakim jest państwo. W przeciwnym razie nasuwa się pytanie, w jakim właściwie celu zawierało państwo niemieckie cały szereg układów z innymi państwami?

Czy może w tym celu, by swoich kontrahentów tymi układami związać, a siebie od spełnienia warunków zwolnić? Do zaistnienia winy — nie jest konieczna pewność, czy i który sąd będzie za nią sądził, a tylko świadomość popełnienia karygodnego czynu, czynu zabronionego. — Prof. Jahreis starał się wykazać, że stworzenie obecnie egzekutywy prawa międzynarodowego jest zaprzeczeniem pojęcia suwerenności państwa niemieckiego, które w tworzeniu układu londyńskiego nie brało udziału. — Pominąwszy powyższe moje uwagi na temat etyki obowiązującej ludzi i państwa, uważam ten argument za sofistykę nie-najlepszej sorty. — Nowoczesna nauka stoi na stanowisku, że państwo nie jest pojęciem oderwanym, owszem, jest ono tylko zespołem ludzi i że pojęcie o słuszności i prawie wytwarza właśnie ów zespół ludzi. Fakt, że tak ujmowano już dawniej pojęcie państwa i przyjęcie przez nie zobowiązań, dowodzi oświadczenie, złożone ongiś przez Litwinowa a przez Anglię w całej pełni uznawane, „że zupełną swobodę działania mają tylko te państwa, które nie przyjęły międzynarodowych zobowiązań, oraz, że państwo przyjmując obowiązki z umów międzypaństwowych, ogranicza tym samym swą suwerenność”. Oparcie obrony przez Prof. Jahreisa na doktrynie, zaczerpniętej z prawa rzymskiego: „*Nulla poena sine lege*”, dla laików na pozór bardzo przystępne, również nie jest słuszne. Powyższa zasada powstała z prawa cywilnego i opiera się na doktrynie „*Lex retro non agit*”. Jest ona wpływem prawa ścisłego „*jus stricte*”, opartego li tylko na przepisach formalnych, nie uwzględniających indywidualizacji poszczególnych wypadków prawnych. To prawo formalne doprowadziło w swym rozwoju do takich zasad, jak: *Fiat jus, pereat mundus!* Skoro się prof. Dr Jahreis powołuje na prawo rzymskie, to musi się zgodzić i z tym, że dla wykładni przepisu prawnego sięgniemy do jego źródeł, na tym bowiem polega nowoczesna interpretacja norm prawnych. Prawo rzymskie było pierwotnie wyłącznie *jus stricte*, znało li tylko pewne formuły-recepty prawne, których zastosowanie było nakazem jurysdykcji: *Da mihi actionem, dabo tibi jus!* Już jednak na parę wieków przed Chrystusem powstało tzw. prawo urzędnicze *Jus honorarium*, na podstawie którego pretorowie i edylowie kurulni wydawali tzw. edykty czyli rozporządzenia, według których zobowiązane były sądy w czasie kadencji tych pretorów i edylów ferować wyroki, choćby one były przeciwne regułom prawa formalnego „*jus stricte*”. Istniały zatem obok siebie dwa ustawodawstwa, przy czym prawo urzędnicze miało pierwszeństwo przed formalnym. Był to pierwszy wyłom w prawie ścisłym. I właśnie temu wyłomowi zawdzięcza prawo rzymskie swój rozwój, wysoki poziom i do dziś przodownicze znaczenie, gdyż powstałe w ten sposób *jus aequum*, czyli prawo słuszności dało sądom możliwość zastosowania się do zmian warunków ekonomicznych, czy też do zmiennych pojęć ogółu o normach i zasadach prawnych. Obecnie również wszystkie nowożytne ustawodawstwa europejskie stanowią *jus aequum*. Badając



powyższe zasady, przyczyny i cel, czyli rationem et causam legis, dojdziemy również do wniosku, iż powołanie jej w procesie norymberskim jest chybione. Jakież bowiem powody miała doktryna nulla poena sine lege? Po pierwsze: a) nie jest słuszne karać kogoś za czyn, który w chwili jego popełnienia nie był zakazany. Byłoby to bowiem równoznaczne ze zmianą skutków prawnych czynności prawnych, zmianą zupełnie dowolną, po drugie: b) nie jest sprawiedliwe karać kogoś za czyn, co do którego sprawca nie miał świadomości, by był zakazany wzgl. karalny, po trzecie: c) wniosek a contrario: Jeśli jakiś czyn nie był zakazany, to w pojęciu ogółu — był dozwolony. Oto rationes legis tej zasady prawnej, na którą się wszyscy obrońcy, a na ich czele prof. Dr Jahreis powołują. Jeśli rozpatrzmy powyższe przyczyny powstania doktryny w zastosowaniu do zbrodniarzy norymberskich, to każdy laik musi przyznać, że żadna z nich nie usprawiedliwia oskarżonych, a owszem, wszystkie przemawiają właśnie za pominięciem tej zasady prawnej w ich osądzeniu.

Obrona wysunęła też zarzut, o którym już uprzednio wspominałem, zarzut, iż prawo międzynarodowe nie ustaliło odpowiedzialności za zbrodnie wojenne jednostek, a tylko państw. Do odpowiedzialności osobistej pociągano już dawniej, jak mówiłem, piratów. Całe prawo międzynarodowe w dotychczas stworzonych swych zrębach i zasadach, z ducha swego i celu, oparte jest właśnie na tej odpowiedzialności, czego zresztą Niemcy dali niejednokrotnie dowód, pociągając i w czasie tej wojny niesłusznie do odpowiedzialności takie osoby, które ich zdaniem nie stosowały się do ustalonych norm prawa międzynarodowego w sposobach prowadzenia walki, czy wojny. Wszak oficerów polskich już z początkiem wywlekali z obozów i szeregów jenieckich i skazywali na śmierć za rzekome przekroczenia norm sposobu prowadzenia wojny w pierwszych dniach wojny, toczącej się na terenie Polski. Argument, jakoby oskarżeni wykonywali zarzucane im czyny na podstawie rozkazów wyższych przełożonych lub jako obowiązek wobec państwa, nie wytrzymuje krytyki. Nie ulega przecież wątpliwości, że generałowie, admiralicja, dowódcy wyżsi, znali przepisy prawa międzynarodowego, stanowiące od lat kilkudziesięciu przedmiot wiedzy oficerów sztabowych każdej armii. Mieli tedy oskarżeni doskonałą świadomość popełniania czynów, prawnie zabronionych a liczyli tylko na bezkarność, ufając, że zwyciężą i że nikt ich do odpowiedzialności nie pociągnie. Nie jest również prawdziwe, ani słuszne, by byli w stanie wyższej konieczności, by nie mogli bez ciężkich dla się skutków odmówić wykonania zbrodniczych rozkazów. Nawet bowiem niemiecki kodeks karny wojskowy postanawia, że „w wypadku, gdy przez wykonanie rozkazu naruszony być może jakiś przepis ustawy karnej, spada odpowiedzialność wyłącznie na rozkazodawcę. Wykonywujący rozkaz taki odpowiada jako współwinny, o ile było mu wiadome, że spełnienie rozkazu dotyczy czynności, która według

ustaw wojskowych lub cywilnych miała na celu zbrodnię lub wykroczenie”.

Wydaje mi się, że odparcie wywodów prof. Jahreisa z miejsca i oparcie argumentów polemicznych na interpretacji zasad prawnych według teorii, na których zasadza się ustawodawstwo narodów kontynentu europejskiego dałoby duży efekt nie tylko dla Sądu i dla ustaleń o znaczeniu historycznym, ale i dla psychiki niemieckiego narodu.

## 7

Sposób prowadzenia rozprawy wykazał przewagę po stronie ławy obrońców. Sądę, że odnośnie tego stwierdzenia, nie spotkam się ze sprzeciwem. Jest zaś to niewątpliwie wynikiem zasadniczych różnic postępowania karnego w państwach anglosaskich w porównaniu z ustawami na kontynencie Europy. Pominiawszy jednak ten wzgląd, należy stwierdzić, że ława obrońców wykazała umiejętność szybkiej orientacji w każdej nieomal chwili przewodu, dalej, że w wielu aż nazbyt wielu wypadkach, następowała riposta ze strony oskarżenia dopiero po kilku latach, jeśli nie po dłuższym jeszcze okresie czasu, co już nie osiągało celu, owszem, wywoływało wręcz przeciwny skutek. Moim zdaniem i kierownictwo rozprawy pozostawiało wiele do życzenia. Oskarżeni z emfazą wygłaszali długie tyrady na temat przyjęcia odpowiedzialności za swe czyny, słowa i pisma, przy tym naturalnie zastrzegali się, że wszystko, co czynili, działo się na rozkaz lub dla dobra ojczyzny. Goerिंगowi dozwolono nawet na wywoływanie treści wyraźnie propagandowej. Wszak kierownictwo rozpraw winno było mieć na uwadze, iż tych wywodów słucha z zapartym oddechem wiele milionów Niemców, że one muszą wywołać pewne skutki psychiczne, odmienne od tych, których celem miał być proces norymberski. U laików wyrabiałoby się sukcesywnie przekonanie, że oskarżeni działali dla przyczyn ideowych, dla dobra ojczyzny niemieckiej. Zapomniano, że prawie każdy z nich popełniał pospolite zbrodnie z chęci zysku pochodzące, jak kradzieże dzieł sztuki, przywłaszczenie publicznych funduszy itp. I znowu w tym leży błąd oskarżenia, że nie dość jaskrawo te właśnie pospolite zbrodnie w przewodzie naświetlono i wykazano.

Jeśli mimo wszystkiego, co wyżej wspominałem, obrona zaliża się jeszcze na ukrócenie swych praw obrończych, to chyba tego pokroju zarzut nazwać można tylko jednym określeniem — jest to wymysł. Owszem, właśnie wskutek wprowadzenia w przewodzie sądowym postępowania karnego z ustaw anglosaskich uzyskali oskarżeni o wiele więcej praw, niżliby mogło im zapewnić jakiekolwiek ustawodawstwo kontynentalne europejskie. Według postępowania karnego kontynentalno-europejskiego, ma Sąd za zadanie wyjaśnić stan faktyczny z urzędu, ma dojść do prawdy materialnej z urzędu. W procesie karnym nazywamy tę zasadę **zasadą śledztwa**. Natomiast w procesie

karnym ustaw anglosaskich dominuje **zasada rozprawy**, według której Sąd rozstrzyga tylko ten stan faktyczny, jaki mu obie strony, tj. oskarżony i oskarżyciel, przedstawia, przy czym wcale nie bierze udziału w wykryciu prawdy materialnej nawet w ramach ograniczonych postępowaniem dowodowym. Z tych to przyczyn w procesie norymberskim przesłuchanie oskarżonych prowadziły strony, tj. oskarżyciel i obrona, natomiast Sąd ograniczył się do formalnego prowadzenia rozprawy. W końcu nie od rzeczy będzie podkreślić, że zebranie środków dowodowych w zapiskach, pamiętnikach, aktach i filmach, jakoteż w zeznaniach świadków sprawiało oskarżycielom o wiele więcej trudu i zabrało o wiele więcej czasu, zwłaszcza przy nieopanowaniu języka niemieckiego, niżli obronie, orientującej się doskonale w hierarchii urzędów niemieckich i w całokształcie środków dowodowych. Wreszcie muszę jeszcze zaznaczyć, że oskarżonym wolno było bez wszelkich zastrzeżeń wybrać sobie obrońców wszelkich przekonań i przynależności politycznych.

## 8

Kończąc moje uwagi na marginesie procesu norymberskiego, chciałbym jeszcze dorzucić do nich moje osobiste wrażenia i doświadczenia, jakich mi ten proces dostarczył w zetknięciu z Niemcami różnych sfer i różnego stopnia intelektu. Każda rozmowa z Niemcami w trakcie procesu, każde omawianie poszczególnych jego faz i przejawów stanowiły dla mnie przynajmniej znamienite zwierciadło duszy niemieckiej i utwierdzało mnie coraz silniej w ocenie wartości etycznej tego narodu. Z tych „przekrojów” czy wglądów w psychikę Niemców można by stworzyć znakomity materiał do studiów oraz dojść do wniosków i na przyszłość, znamionujących duchowość i etykę Niemiec i Niemców. Dla mnie nie było wcale niespodzianką, że Niemcy wydały nie tylko polityczny, ale i duchowy faszyzm. Tak bowiem jeden, jak i drugi, nie jest zjawiskiem przypadkowym, lecz wyrósł z posiewu niemieckiego ducha i niemieckiej tradycji.

Nigdy nie przerwana linia niemieckiego sposobu myślenia i wnioskowania, zakotwiczona w niezgłębionych i niedocieczonych zakamarkach duszy niemieckiej wytworzyła poprzez szeregi wieków podłoże dla tego właśnie faszyzmu, którego koniecznym i konsekwentnym wynikiem była, jak już nieraz w historii Europy, idea wojny napastniczej, rabunkowej. Jeśli z podziwem oceniamy wzlot Niemiec epoki Goethego, — epoki, której wiedza ludzka wiele zawdzięcza, to mimo to nie wolno nam przeoczyć tego, że właśnie ta epoka wraz z jej filozofią (Hegel, Fichte czy Nietzsche — mistyczne posłannictwo narodu niemieckiego, pojęcie Uebermenscha) i poezji dała pożywkę i podstawę temu wszystkiemu, co w sto lat później przeżyła cała Europa z wyjątkowej winy Niemiec i Niemców. Wieczne wyczekiwanie i tęsknota duszy niemieckiej za zjednoczeniem narodu,

za jego przodowniczym przeznaczeniem, marzenie o zbawieniu ludzkości wyłącznie i jedynie przez naród niemiecki, wszystko to dało początek i utorowało drogę faszyzmowi Hitlera.

Tęskliwy zew Hoerderlina za zbawcą narodu przyzwał do władzy Fuehrera! Nawet w muzyce Wagnera, tak wysoko cenionej przez Hitlera, słychać fanfary wojenne, — jej krzykliwa wnikliwość przypomina czasem kasarniane rozkazy. Od czasu, gdy Cajus Julius Caesar, ten największy z czasów rzymskich wódz i statysta, napisał swe „De bello gallico”, nie zmieniła się dusza germańska ani na jotę.

Do utrwalenia powyższego mojego mniemania przyczyniły się walcnie moje studia i doświadczenia z psychiką Niemców w czasie i po procesie norymberskim.

Na ciernistej drodze dalszej naszej tułaczki przypada nam obowiązek wszędzie i wszystkim głosić o tym niebezpieczeństwie, jakie całej ludzkości z psychiki niemieckiej powstać może, o ile psychika ta nie ulegnie jakimś cudem zmianom, których wiele narodów tak pragnie. Proces norymberski i reakcja narodu niemieckiego na wyniki tego procesu — reakcja, która jeszcze długo trwać będzie, są najlepszym odzwiedleniem tej groźby, jaka w duszy niemieckiej dla narodów Europy drzemie.

Dr Ludwik KRZEMUSKI.

## Pierre Bonnard (1867-1947)

W salonie Société Nationale des Beaux-Arts w r. 1901 wystawił Maurice Denis obraz pt. „Hommage à Cézanne”. Jest to zbiorowy hołd, jaki wielkiemu mistrzowi z Aix składają tacy artyści, jak Odilon Redon, Ranson, Roussel, Sérusier, Denis, Vuillard i Bonnard. Oglądając dziś to dzieło, mimowoli pytamy się, o ile ci artyści, szczególnie zaś Bonnard, związani są duchowo i artystycznie z Cézanne'm, albo też, czy nie mamy tu do czynienia jeno z pewnym aktem kurtuazji, który mógłby zresztą każdego artystę obowiązywać. Bonnard bowiem nie ma prawie nic wspólnego z wielką sztuką Cézanne'a. Tylko z trudem można by pewne znikome powiązanie znaleźć i to z ostatnim jego okresem już czysto malarskim, który rozpoczął w r. 1892, kończy się z jego śmiercią w r. 1906. Jest to jak gdyby ostateczny wydzźwięk konsekwentnej sztuki Cézanne'a, który po romantycznym okresie 1863-1870, po epoce impresjonistycznej 1870-1875 i po 10-letnim borykaniu się o własne elementy 1875-1885, dochodzi wreszcie do swej szczytowej sztuki tektonicznej, by po 7 latach największego napięcia, porzucić w r. 1892 wszelkie problemy i konflikty i powrócić tylko do zagadnień koloru, jako do najistotniejszej wartości obrazu. W owym 14-letnim okresie końcowym przeżywa Cézanne, niezachwiany w swej bezkompromisowości, „wiek złoty” swej sztuki, wewnętrzną zwartość i pogodną wyższość dojrzałego i świadomego artysty, któremu tylko kolor i jego sens zupełnie wystarczą, by móc się w pełni wypowiedzieć. Tylko tu można by się w pewnej przenośni dopatrzeć znikomego wpływu Cézanne'a na sztukę Bonnarda, gdyż Bonnard nie jest niczym innym, jak tylko uosobieniem koloru.

Gdyby namalowano obraz pt. „Uczczenie Renoira” lub nawet Degasa, umiejscowienie Bonnarda w gronie hołdowników byłoby bardziej uzasadnione, ponieważ ma on więcej do zawdzięczenia sensualności Renoira, czy inteligencji twórczej Degasa i nie bez pewnej słuszności uchodzi też jako ich właściwy epigon.

Byłoby błędem nie wspomnieć tu również, a może przede wszystkim, o jego przyjacielu Henry de Toulouse-Lautrec (1864-1901), którego przewrażliwiony nerw twórczy tak silnie Bonnarda podnieca i przetwarza. Jest to ten sam karłowaty

Lautrec z przesadnie wielką głową i bródką w szpic, zrosnięty wszystkimi mackami ze środowiskiem Montmartre'u, który, pochodząc z wysokiego rodu francuskiego, życie swe dzielił między absyntem w barze, a rozwięzłością nocnego kabaretu, — ten sam, który potrafił z wyzywającą elegancją ubrać znaną z Montmartre'u kurtyzanę i zająć razem z nią najdroższą łóżkę w Operze, by rozkoszować się przerażeniem i gniewem swoich szlacheckich przyjaciół i znajomych, — ten sam, który nie wzdrygał się miesiącami mieszkać w domu publicznym i swoim modelkom poświęcić jedną z najpiękniejszych tek rysunkowych pt. „Elle”, w której opiewa pogardzaną i potępioną prostytutkę jako człowieka pełnego tklivości, przyjaźni i przywiązania, — jest to ten sam, który potrafił po nocnej włóczędze wpaść do pracowni i za jednym zamachem rzucić na papier, lub wprost na kamień litograficzny, podpatrzoną i przeżytą scenę z życia paryskiego, ostrą w ujęciu i charakterystyce, jak ostry i zarazem złośliwy był także jego język, gdy zwykł był mawiać: „Za czasów królewskich wesołkiem dworu był błazen z plebsu, dziś, w czasie panowania motłochu, ze mnie, przedstawiciela krwi najbardziej błękitnej, zrobiono nadwornego błazna”. Lautrec, który należał do pierwszych impresjonistów i razem z nimi dzielił pierwsze wystawy, batalie i skandale, w swych dziełach atakował niemilościwie hipokryzję i zakłamanie prawowitych mieszczan, demaskując ich w chwilach animalistycznego pożądania i zmysłowego zamroczenia, przez co naraził się na ich gniew i pogardę. Niemniej stworzył on specyficzny rodzaj sztuki, pełnej świeżości, erotyki i ludzkiego zrozumienia, w której poprzez mgiełkę sztuczności dochodzi do głosu przerażająca prawda. Trudno by było wyobrazić sobie krocząca po bruku Montmartre'u w towarzystwie tego pokracznego karła wysoką postać Bonnarda o głowie w formie podłużnego jaja uzbrojonego w okulary, gdyby nie istniał jeden drobny rysunek Bonnarda, który ilustruje nam spacer tej dziwacznej pary w sposób jak najbardziej prosty i oczywisty. Życie paryskie, jeśli nie tak bardzo wyuzdane i obnażone, przebija się czas jakiś w tematyce Bonnarda i to właśnie pod bezpośrednim wpływem Lautreca.

Za czasów impresjonizmu odkryto — jak wiemy — drzeworyt japoński w Europie i dlatego tak mocno też zaważył on na ówczesnym sposobie malowania. Jasne tonacje, płaskie formy i kolorowe cienie, zapożyczone z dalekiego wschodu, obowiązywały wszystkich impresjonistów, a także i artystów późniejszych. Toteż cechy te spotykamy również i u Bonnarda.

Bonnard urodził się 30 października 1867 w Fontenay-aux-Roses pod Paryżem. Studia malarskie pobierał w Académie Julian w Bouguereau i u Roberta Fleury. Tam spotkał się między innymi z Edouardem Vuillardem (1868-1942). Obaj mocno zaprzyjaźnieni przechodzą taką samą ewolucję artystyczną, by w końcu dojść do koloru, jako do najgłębszej treści malarstwa. Vuillard ograniczy się może tylko do zamkniętej przestrzeni mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia i w tym ogranicze-

niu znajdzie swój świat koloru, wyrażony w figurze ludzkiej, portrecie, w perspektywie wnętrza i we wzajemnej grze mebli, zwierciadeł, bibelotów i nakryć. Przesadnie przywiązany do matki, bez niej prawie że nie opuszcza mieszkania. Jeśli więc pod względem swej struktury psychicznej i wypływającego stąd charakteru sztuki nazwany został „intymistą”, miano to będzie słuszne i trafne. Natomiast błędem by było tym samym mianem nazwać również i Bonnarda. Intymistą nie można przecież nazwać przyjaciela Lautreca i towarzysza jego nocnych wypraw. Ponadto Bonnardowi zamknięta przestrzeń nigdy nie wystarczała. Pociąga go otwarty pejzaż, zaludniony postacią ludzką i dlatego już mniej więcej od r. 1895 zbliża się Bonnard do impresjonizmu. W kilka lat potem bierze Bonnard razem z Vuillardem czynny udział w nowopowstałej grupie zw. „Les Nabis”, albo „Szkoła z Pont-Aven”, którą stworzył Sérusier w r. 1888, zetknąwszy się przypadkowo z Gauguinem w Bretanii. Obejmowała ona wszystkich prawie uczniów Akademii Julian, a sportretowanych na obrazie „Hommage à Cézanne”. Wszyscy Nabi (nazwa od hebrajskiego „prorocy”) tak przezwani z powodu niesamowitego entuzjazmu dla owego nowego nurtu sztuki, dążyli przede wszystkim do egzageracji tonu lokalnego, przez co zbliżali się do stylu sztuki dekoracyjnej i nie wzdrygali się przed użyciem farby klejowej i tektury, byleby jeszcze mocniej spotęgować wartości czysto zdobnicze. Dzieła Bonnarda z tego okresu to malarstwo olejem na kartonie, a matowy ton, zapożyczony z techniki klejowej, będzie dla niego i wtedy decydujący, gdy przerzuci się na płótno, które spreparuje gruntem kredowym. Matowy ton pozostanie u niego aż do końca twórczości i nie znam wypadku, by jego płótno było powleczone werniksem, czy inną miksturą dla uzyskania błyszczącej powierzchni. (Vuillard zawdzięcza klejówce z epoki „Nabi” swą wspaniałą technikę olejną na papierze). Z biegiem czasu staje się u Bonnarda plama barwna szersza, bardziej zdecydowana i syntetyczna i tu nawiązuje on do „tachistów” z fauvizmu. Dopiero gdzieś w r. 1905 znajduje Bonnard przez pogłębienie swego stosunku do natury swój własny styl. Ówczesna tematyka jego dzieł obraca się dokoła scen z Bois de Boulogne, Champs-Elysées i Montmartre'u. Z klinicznego stylu Toulouse-Lautreca, objawiającego się w „Jardin de Paris”, albo „Moulin Rouge”, przechodzi Bonnard do kompozycji figuralnej, w której przez interpretację młodocianego, smukłego dziewczęcia lekko się już zaznacza owa ujmująca tęsknota za radością, słońcem i subtelną erotyką. Miękkosć ciała kobiecego w połączeniu z kolorystyczną grą wody zaprowadzi go wkrótce do odkrycia łazienki i dlatego będzie on pierwszym, który wprowadzi francuską „tube” do malarstwa. Symfonie drobnych, codziennych akcesoriów toaletowych w pośrodku świeżości i intymności wnętrza kąpielowego, gdzie akt kobiecy znajduje swoje naturalne uzasadnienie — owa atmosfera wewnętrznej odprężenia, wyrażająca się przypadkowym i niewymuszonym ruchem i rozjaśniona zała-

maniami światła i refleksów, opanuje przez długi czas w niezliczonych wariantach jego twórczość. Kobieta pozostanie także dla niego głównym tematem, bo przez nią potrafi wyrazić swą radość dla grójni, piękna i rozkoszy. Dlatego ustawi kobietę zawsze w pośrodku pejzażu wiosennego, czy w złocie jesieni, zawsze usadowi ją przy stole wypełnionym kwiatami, owocami czy porcelaną, a gdy jest już zmuszony zamknąć ją w jakimś wnętrzu, zawsze przełamie ścianę otwartym oknem, by miękkim światłem rozświetlił pokój i równocześnie wtopić w obraz fragment plaży, ogrodu, albo otwartego pola, przez co się tu zbliża do kompozycyjnych założeń Matisse'a. Przeważnie jest to ta sama kobieta o tytanowskim kolorycie włosów, o okrągłej twarzy i o drobnym, spiczastym nosku, która naprzemian siedzi przy stole, opiera się o okno, spoczywa w leżaku w ogrodzie, pokazuje swą głowę u rogu jakiegoś pejzażu, albo jako akt w różnych pozach zjawia się w łazience. W jej towarzystwie pojawia się też często mały, pocieszny jamnik, który brunatną plamą wypełni jakąś peryferyczną partię obrazu.

Częsty jest również pejzaż w jego twórczości. Tu ma Bonnard możliwość zestawić korony drzew jak wielkie kwiaty i przez dodanie jakiegoś stafażu, płotu czy ścieżki zamknąć wszystko w nieziemski ogród. Bardzo często wybrzeże morskie i przestrzena dal z żaglowcami na horyzoncie nabierają innego akcentu przez nieoczekiwane akordy koloru. Także ulica wielkomijska z zagęszczonym ruchem ludzi i pojazdów będzie dla niego pretekstem do rozwinięcia kompozycji rytmicznej. Czasem zadowolony nawet drobnym wykończeniem domu i zapomnianym w przestrzeni ręcznym wózkiem.

Szczególnym upodobaniem cieszy się u Bonnarda martwa natura. Są to przeważnie filiżanki, dzbany, flaszki, talerze i serwety, które przez przypadkowość układu znalazły na stole jakąś utajoną rytmikę całości. Bonnard z pewną nonszalancją opisuje tylko formy, rozjaśnia poszczególne tony lokalne i pozwala się im przez prawo refleksu zespolić w jeden akord generalny. A gdy dojdą do tego kwiaty, wtedy Bonnarda już nie powstrzyma, by nie rozwinąć swego wspaniałego niuansowania walerów i nie zabłysnąć szerokim wachlarzem koloru i światła. Dlatego kwiaty na równi z kobietą stały się szczytową wypowiedzią jego sztuki.

Pełne znaczenia są również jego rysunki, litografie i ilustracje, które przez zamglenie linii pozwalają formie miękko wystąpić. Najbardziej znane są jego ilustracje do „Histoires naturelles” J. Renarda, litografie do „Parallèlement” Verlaina, a przede wszystkim cykl różowych aktów litograficznych do „Daphnis et Cloe” Longusa, wydany w r. 1902.

Dzieła Bonnarda były rewelacją każdej wystawy, on sam jednak był prawie że niewidoczny. Nie prowadził żadnego większego życia towarzyskiego i żył gdzieś w ukryciu w Dauphine, Trień, Vernon lub Trouville. Czasem tylko odwiedzał swoich licznych przyjaciół, do których należał także i Matisse.

Dla określenia sztuki Bonnarda znaleziono nazwę „neotradycjonalizm”, ponieważ nawiązuje on do tradycji impresjonizmu, a ostatnio lansowano „neoimpresjonizm”, co jest już zupełnie nieścisłe. Neoimpresjonistami są bowiem pointillści z r. 1885, do których należeli Seurat, Henri Cross i niedawno zmarły Paul Signac. Przez połączenie twórczości Bonnarda i Vuillarda ze sztuką Sérusiera, Roussela, Bernarda, Denisa, Szwajcara Vallo-tona i ostatnio dolepionego George'a Bouche'a, dążono do utworzenia sztucznej grupy, której cechami miałyby być: prymat koloru, świetlistość tonu (éclairage), diwizjonizm i tachizm, ponadto wyszukany akord kolorystyczny i dekoracyjność.

Tego rodzaju tworzenie ad hoc kierunków sztuki na zasadzie wątpliwego podobieństwa poszczególnych twórczości jest w wypadku Bonnarda z gruntu fałszywe. Bonnard jest bowiem w sztuce współczesnej pozycją wyjątkową i zupełnie odosobnioną. Wprawdzie przechodzi przez poszczególne etapy jak impresjonizm, nabi i fauwinizm, ale właściwie skryształizował się sam i sam stworzył styl, który nie da się porównać z żadną twórczością współczesnych artystów. Dziś w czasie rewizji jego sztuki nie można znaleźć jakiegoś wspólnego miana, pod które można by również podciągnąć Bonnarda. Bonnard jest dla siebie zamkniętą całością i mógłby tylko drogą opisową być nazwanym „poetą koloru”.

Już sam proces twórczy u niego jest wysoce wyjątkowy. Twierdząc, że — i tu cytuję dosłownie jego słowa — „Il faut être patient, savoir attendre, l'émotion surgit à son moment. On peut étudier la nature, l'analyser, la disséquer ou la recom-penser, sans faire la peinture. Le choc est instantané, souvent imprévu”, albo: „Le peintre de sentiment, un oiseau rare, on l'imagine passant beaucoup de temps à ne rien faire qu'a regarder autour de lui et en lui”, właśnie przez tego rodzaju formułowanie swego creda podkreśla poniekąd wyjątkowy sposób swej pracy, która jest wynikiem nasycenia wrażeniami i objawieniem kontemplacyjnego skupienia. Obraz u niego nie dojrzuwa w pewnej bezpośredniej ciągłości aż do organicznie powiązanej kompozycji, nie jest spontaniczną projekcją raz ustalonej wizji, ale rośnie przez dodawanie ciągle nowych elementów, jak poszczególnych kwiatów do przyszłego bukietu. Bonnard w zachwycie dla jakiegokolwiek przypadkowo napotkanego szczegółu ulicy, domu, ogrodu czy kwietnika lubił doznane wrażenie natychmiast w pracowni utrwalic na płótnie, nie trzsząc się o to, kiedy i jaki dalszy szczegół tu doda, by zamknąć wszystko w obraz. „Il est toujours nécessaire d'avoir un sujet, si minime soit-il, de garder un pied sur terre”. Znalazł on wreszcie następne „sujet”, wtedy je dołączał i w ten sposób pomału wyrastało dzieło, albo wiele dzieł naraz, ponieważ wszystkie gdzieś rozpoczynał i z czasem wykańczał. Mimo to jest faktem zdumiewającym, że żaden obraz nie traci na świeżości i że wszystkie potwierdzają złudzenie, jakoby powstały w jednym, nieprzerwanym rzucie.

Jeśli chodzi o zagadnienia formy, sztuka jego nie wykazuje żadnych głębszych problemów. Poczucie równowagi i statyki wystarcza mu, by uporządkować poszczególne masy i w miękkim przejściu z formy na formę uzyskać zwartość obrazu. Linia u niego jest bardziej zaokrąglona, niż sztywna i rozigrana, zapełnia kapryśnie całą płaszczyznę, przez co wyzwala się pewien przesubtelniejszy rytm całości.

Największą rolę odgrywa jednak u niego kolor. Temu poświęca całą swą wrażliwość i czujność. Paleta jest dość prosta, choć zamknięta w ramach tonów tylko jasnych i przebielonych. Podstawowym akordem jest czterodźwięk: jasny róż — fiolet — orange i szary. Ten powtarza się prawie w każdym obrazie. Do tego dochodzi, stosownie do tematu, czysty pigment, jak czerwone kadmiem, kraplak, żółć cytrynowa albo kobalt jako dźwięk pierwszoplanowy. Gdy tylko ów pierwszoplanowy dźwięk zetknie się z podstawowym czterodźwiękiem, powstaje niewiarogodne spięcie, które zdolne jest całą płaszczyznę i każdy ton z osobna zmusić do najwyższej potęgi koloru i rozświetlenia. Spotęgowanie owego „éclairage” nie leży w samej technice znanego nam już matowego tonu na kredowym gruncie, podobnie jak w technice temperowej, ale wypływa z nadzwyczajnego instynktu Bonnarda, który bez trudu i jakby od niechcenia potrafi je wyczarowywać. „Quand on couvre une surface des couleurs il faut pouvoir renouveler indéfiniment son jeu, trouver sans cesse de nouvelles combinaisons de formes et de couleurs, qui repondent aux exigences de l'émotion” mówi Bonnard, by może w sposób wysoce nieudolny wyrazić w słowach powyższy rezultat swej wyjątkowej możliwości. Opowiada się, jak bardzo opętany był Bonnard na tle szukania coraz to nowych zespołów kolorystycznych. Gdy bowiem znalazł przypadkowo na pa-lecie jakieś ciekawsze zestawienie kolorów, zestawienie które zupełnie nieświadomie można przy mieszaniu uzyskać, ostrożnie przenosił je na papier, by potem z niego skorzystać jako z wyjściowego akordu dla nowego wariantu swej kolorystyki.

Jako przykład jego sztuki może nam posłużyć jego wielka kompozycja „La toilette”, która w r. 1938 wraz z Wystawą Malarstwa Francuskiego objechała prawie całą Europę, przyjęta wszędzie z największym entuzjazmem. W porównawczym zestawieniu wystawy, musiano wszędzie przyznać, że jest to najsilniejsze dzieło całego pokazu, co też miało miejsce również i w Warszawie. Siła tego obrazu nie wypływa z jego treści, albowiem był to tylko przechylony ku przodowi akt kobiecy w łazience, ale właśnie z niesamowitej odwagi w konstruowaniu kompozycji. Gdy bliżej zbadamy owe dzieło, dojdziemy do jego prawdziwej wartości i także może do przekonania, że nawet najwyższa improwizacja artystyczna podlega prawom wewnętrznej organizacji i zasadom ścisłej logiki.

Według prawideł podziału płaszczyzny i konstrukcji kompozycyjnej wykazał obraz całkowite zaprzeczenie wszelkiej dyscypliny formalnej, ponieważ w matematycznie obliczonym polu

akcentu znajdował się właśnie pusty prostokąt drzwi, w żargonie malarskim zwany „dziurą”, dokoła której grupowały się akt, draperia, mała martwa natura, fragment wanny, kilka drobnotek i w szachownicę pokratkowana posadzka. Według zasad statyki, musiały się obraz rozpaść. Tymczasem nie tylko że nie rozlatywał się, ale był jeszcze bardziej statycznie związany, niż wszystkie możliwe obliczenia teoretyczne mogłyby to uczynić. Dokładniejsze badania wykazały, że tajemnica tkwi w kolorze. Analiza kolorystyczna doprowadziła do nadszpejwanego odkrycia, że prostokąt drzwi, a więc szara płaszczyna w polu akcentu promieniowała poświatą wszystkich w obrazie umieszczonych tonów, różu i fioleto akty kobiecego, bieli draperii, orange i błękitu posadzki, żółci i czerwieni drobnotek. Tu zakłętę było prąródło każdego koloru, ich antycypacja i w odwrotnym sensie ich ostateczne ukoronowanie. W tym małym przykładzie objawia się wielka sztuka Bonnarda, który świadomie, więcej może nieświadomie, ale natchnięty genialną intuicją w akcencie obrazu nie umieścił głównej formy, jak tego żąda kanon kompozycyjny, ale właśnie najsubtelniejszą szarość, jako początkowy akord dla kolorystycznego sześciodźwięku. (Analizę tego dzieła zawdzięczam życzliwej pomocy Dyrekcji Muzeum Narodowego w Warszawie, a dokładny opis wyników wraz z wykresami ogłosiłem w r. 1939 w „Głosie Plaszyków”, Kraków-Warszawa).

W czasie radykalnych kierunków sztuki, gdy wszystko wrzeszczało za płomiennymi ideami i żądało przeogromnej konstrukcji i namiętności, nikt nie zważał na cichą sztukę Bonnarda. Nazywano go wtedy pogardliwie „peintre pour jeunes filles”. Niezatraskany tym Bonnard malował dalej. Później zarzucano mu, że „n'avoir jamais connu la souffrance” — Bonnard się tym nie przejął. Pomału jednak przyszła reakcja („Le cafard après la fête” A. Basler, 1939), i pomału też odkryto sztukę „poety koloru”, jego wieczną młodość, jego radość życia, siłę regeneracyjną i jego „joie parfaite”. Odkryto głęboko odczuta prawdę Bonnarda jako artysty i człowieka. Pozwólmy mu tu jeszcze raz dojść do słowa: „Beaucoup de petits mensonges pour une grande vérité. Tout est relatif, tout est une question de plus ou de moins. L'extrême sincérité risque aussi bien d'apparaître ridicule ou insoutenable”.

Linie wrażliwości na kolor i czysto malarskiej kompozycji spotykamy już w czasie renesansu. Rozpoczęta „Szkoła Wenecka” z Antonim Corregio (1494-1534) i Tycjanem (1478-1577) poprzez Tintoretta (1518-1594) dochodzi w XVIII w. do pewnego zakończenia w sztuce Giovanni Battista Piazzetta (1682-1754) i Gian Battista Tiepolo (1696-1770). Tu rozdzwaja się linia włoska, by zapłodnić sztukę europejską. Powstają dwie boczne linie kolorystycznej interpretacji, jedna hiszpańska przez El Greca (1541-1577), Diego de Silva Velasqueza (1599-1660) i Francisco Goyę (1746-1828), a druga holenderska przez Paula Rubensa (1577-1640), Jakóba Jordaensa (1593-1678) i Rembradta (1606-

1669). Najwyższy rozkwit przeżywa jednak linia kolorystyczna we Francji, gdzie w twórczości Antoine'a Watteau (1684-1721) i Jeana B. Chardina (1699-1779) dochodzi do niespotykanej dotychczas wibracji koloru. Przez Eugène'a Delacroix (1818-1863) przejmują ową linię impresjoniści, w pierwszym rządzie Claude Monet (1840-1926), Auguste Renoir (1841-1919) i Camille Pissaro (1830-1903), szczególnie ten ostatni, który pod wpływem pointylizmu dochodzi do ostatecznego zróżniczkowania koloru i do klejnotu powierzchni malarskiej. W sztuce współczesnej był to tylko Bonnard, któremu jednemu udało się osiągnąć wyżynę owej linii koloru i dalej ją rozwijać. Przez niego i przez jego „chant de la beauté de la vie” kolor uzyskał najczystszy i w nowoczesnym znaczeniu najwyższą doskonałość.

Dnia 24 stycznia 1947 umarł Bonnard, mając lat blisko 80. Przez jego śmierć współczesna sztuka francuska w szczególności, a sztuka europejska w ogólności, straciła swego największego i najgenialniejszego kolorystę.



Współczesna sztuka polska, jak każda sztuka europejska, zawdzięcza dużo Bonnardowi. Przyjacielem jego był Józef Pankiewicz, doskonały pedagog, który z ramienia Akademii Krakowskiej prowadził ekspozyturę Polskiej Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu. Do niego dobijają też uczniowie Weissa i Kowarskiego, zorganizowani jako Komitet Paryski, w skrócie K.P., z czego urobi się późniejsza nazwa „kapistów”. Po kilkuletnich studiach paryskich pod bezpośrednimi wpływami Bonnarda i Vuillarda przepadnie kapistom piękna rola odświeżenia sztuki polskiej w sensie koloru, gdyż na tym tle tzw. „polski impresjonizm”, oprócz końcowej epoki Aleksandra Gierymskiego, oprócz Władysława Podkowińskiego, Olgi Boznańskiej, Jana Stanisławskiego i Leona Wyczółkowskiego, był wielkim nieporozumieniem. Dziś zajmują kapiści stanowiska wykładowców na Akademii Sztuk Pięknych w Kraju. Należy się liczyć z tym, że wychowują młodszą generację artystów w kulcie dla koloru, którego nieosiągalnym mistrzem był w sztuce współczesnej Pierre Bonnard.

**Prof. Maksymilian FEUERRING.**

## Postać i epoka Króla Dawida Odnowiciela

Wiemy wszyscy, że każdy naród jest dumny ze swej przeszłości.

Ta duma narodowa występuje zwłaszcza jaskrawo w czasach utraty niepodległości, w okresie niewoli i poniżenia, kiedy naród jakby chcąc oderwać się, uciec od smutnej rzeczywistości, szuka i czerpie otuchę i wiarę z czasów dawnej świetności, z wielkich i pięknych czynów synów swej Ojczyzny.

Prawie cała historia, literatura i sztuka każdego narodu z okresu niewoli jest tego najlepszym dowodem. Gruzja nie stanowi pod tym względem żadnego wyjątku. Ulega ona tym samym prawom ogólnoludzkim.

I dlatego też jest to całkiem naturalne, że w dzisiejszej ujarzmionej Gruzji, jak to podkreślają wszyscy zagraniczni dziennikarze, istnieje wprost jakiś niesamowity, przesadny kult dla swej przeszłości. Tak, na przykład, znany korespondent „Manchester Guardian”, Alexander Werth nie może wyjść z podziwu, że prawie wszyscy Gruzini, z którymi miał sposobność rozmawiać choćby tylko przez pięć minut, musieli wspominać z zachwytem o Królowej Tamarze, poecie Szotha Rustaweli i innych z okresu XII stulecia — Złotego Wieku historii Gruzji...

Znajduję się na emigracji od dawna i wiem bardzo dobrze, że dla dzisiejszych władców świata, zarówno ze Wschodu jak i Zachodu, nie odgrywają żadnej roli ani wielka przeszłość narodu, ani jego zasługi dla kultury i cywilizacji, ani ofiarność w obronie prawa i sprawiedliwości, a tylko geografia i bogactwa naturalne kraju mogą jeszcze mniej lub więcej obudzić pewne ich zainteresowanie.

Mając nadzieję, że przez polskich słuchaczy będę dobrze zrozumiany, postanowiłem na Zjeździe Polskich Naukowców mówić nie o bogactwach Gruzji i Kaukazu, lecz o człowieku, którego geniusz i czyny dokonane nawet i dzisiaj, po tylu stuleciach, napełniają podziwem i dumą serce każdego Gruzina.

Lecz zanim zajmę się charakterystyką epoki króla Dawida Odnowiciela, pozwolę sobie powiedzieć kilka słów o Gruzji.

Gruzja zajmuje południowo-zachodnią część Kaukazu. Na tej stosunkowo małej przestrzeni pomiędzy morzem Czarnym a Kaspijskim, mamy do czynienia z rzadko spotykaną różnorodnością flory i fauny oraz z przedziwnym kontrastem krajobrazów. Z jednej strony wznoszą się niebotyczne szczyty gór kaukaskich, pokrytych wiecznym śniegiem, a z drugiej strony, tuż u stóp tych samych gór, rozpościerają się malownicze łąki i doliny, usiane podzwrotnikowymi roślinami i kwiatami o wszystkich barwach tęczy.

Nic też dziwnego, że tacy znawcy i miłośnicy przyrody, jak starożytni Grecy, osnuli nasz kraj całą siecią poetyckich mitów.

Nie jest to przypadkiem, że przykuli oni swego bohatera, Prometeusza, nie do Olimpu, lecz do skały gór kaukaskich. Niedaremnie legendarny wódz Argonautów Jazon przedsięwziął wyprawę w poszukiwaniu Złotego Runa do płomiennej Kolchidy, a boski Homer przyprowadza tam swego Ulisesa jako do czarownej krainy uwodzicielki Cyrce.

Ten to kraj, opiewany przez starożytnych i nowoczesnych podróżników i pisarzy, zamieszkuje naród, o którym pierwsze wzmianki historyczne znajdujemy jeszcze w XII-XI stuleciu przed Chrystusem w annałach assyryjskich oraz w Piśmie Świętym, a także w dziełach Herodota, Ksenofonta, Strabona, Plutarcha, Tacyta, Dio Cassiusa i wielu, wielu innych.

Będąc pomostem pomiędzy morzem Czarnym i Kaspijskim, zajmując jedną z głównych pozycji zarówno w handlu międzynarodowym jak i strategicznym, Gruzja, to jest ówczesne królestwa Iberia i Kolchida, były zawsze obiektem pożądań z jednej strony potężnej Persji, a z drugiej, nie mniej potężnego Rzymu, którego wódz Pompeusz, prześladowając króla Mitridata Pontyjskiego w roku 75 wdarł się do Iberii i Kolchidy i po długich walkach zmusił je do uznania zwierzchnictwa Rzymu. Rywalizujące ze sobą potęgi, Rzym i Persja, od tego czasu starały się wszelkimi sposobami zjednać sobie królów gruzińskich, którzy prędko stali się sojusznikami Rzymu, jak o tym świadczą zachowane aż do dzisiaj liczne pomniki dowodów uznania i łask ze strony Rzymu dla swoich wiernych i walecznych przyjaciół.

Na początku czwartego stulecia, chrześcijaństwo staje się oficjalną religią Gruzji i od tego czasu los jej jeszcze więcej związany jest z losem Imperium Rzymskiego, a następnie Bizancjum, które zajęło jego miejsce w świecie ówczesnym.

Współzawodnictwo Bizancjum z Persją o panowanie nad Gruzją i Kaukazem trwało przez kilka stuleci. Jasne jest, że ciągle wojny, rozgrywane się najczęściej na terenach Kaukazu, nie były w interesie tego ostatniego.

Tak na przykład w „traktacie wieczystym”, zawartym po długich walkach pomiędzy szachem perskim Chosroem I i cesarzem Bizancjum Justynianem Wielkim, na mocy którego Gruzja wschodnia czyli Iberia stawała się wyłączną domeną wpływów Persji, a Gruzja zachodnia, czyli Kolchida, sferą wpływów Bi-

zancjum, znajduje się punkt, zobowiązujący szacha perskiego do zezwolenia na powrót do swej Ojczyzny — jeżeli tego będą chcieli — walczącym po stronie Bizancjum wojownikom króla Iberii. Wielu powróciło, lecz wielu, a wśród nich sam król z rodziną, nie dowierzając obietnicom Persów, pozostali na emigracji w Bizancjum. Dało to powód Persom do zniesienia królestwa we wschodniej Gruzji.

W VII stuleciu Arabowie, podbiwszy Persję, zajmują wschodnią Gruzję i narzucają jej swoje panowanie, które trwa, czasem tylko nominalnie, około 350 lat. Zachodnia Gruzja nie знаła panowania Arabów. Umożliwiło to jej władcom zdobywanie coraz to większego wpływu na sprawy gruzińskie. Trzeba zaznaczyć, że Gruzja, nekana ciągłymi najazdami wrogów, podzielona często na kilka części, zawsze dążyła do zjednoczenia, aby móc wspólnymi siłami skuteczniej stawić czoło obcym najeźdźcom. Podjęcie tego zaszczytnego zadania stało się udziałem władców zachodniej Gruzji. Poczynając od VIII stulecia aż do końca X-go, widzimy powolne, lecz konsekwentne dążenie do tego celu. Osiągnął go największy król Gruzji Dawid Odnowiciel u schyłku XI i na początku XII stulecia.

Urodzony w 1073 r., jako jedyny syn ówczesnego króla Jerzego II, człowieka — jak mówi historyk — z bardzo dobrymi intencjami lecz słabego charakteru, był on od lat dzieciennych świadkiem wielu upokorzeń i poniżeń swego ojca, tak przez możnowładców gruzińskich jak i przez wrogów zewnętrznych, wśród których najgorszymi byli Turcy-Seldżukowie. Turcy, objąwszy przewodnictwo nad światem muzułmańskim i zadawszy straszną klęskę wojskom Bizancjum i gruzińskim w r. 1071, zajęli prawie całe wschodnie wybrzeże morza Czarnego oraz Anatolię i Armenię i stali się bezpośrednimi sąsiadami Gruzji. Będąc narodem wojowniczym i zaborczym, stali się oni przez swoje najazdy, prawdziwą plagą dla Bizancjum i prawie wszystkich narodów Kaukazu.

Poczynając od r. 1080, nie zaznała Gruzja od nich nigdy pokoju. Rok rocznie zjawiali się prawie we wszystkich zakątkach Gruzji, siejąc spustoszenie i śmierć.

Jak mówią ówczesne kroniki, „Gruzja przedstawiała straszny widok. Wszystkie cerkwie były zburzone, a pola i drogi pokryte trupami ludzkimi. Poza umocnionymi poszczególnymi twierdzami, nie było ani śladu życia w opustoszałych miastach i wsiach. Kraj był zamieniony w ruinę i pustkowie. Nikt nie uprawiał ziemi, nikt nie zbierał żniwa”...

Król Jerzy II-gi, pomimo osobistej odwagi i bitności, nie mógł obronić swego kraju, tym bardziej, że ciągle miał zatargi z możnymi feodałami gruzińskimi.

Kiedy do wszystkich tych nieszczęść, spowodowanych dziełem rąk ludzkich, doszło jeszcze w r. 1089 straszne trzęsienie ziemi, które spowodowało śmierć tysięcy ludzi, król Jerzy II rzekł się tronu na rzecz swego 16-letniego syna Dawida, a sam wstąpił do klasztoru.

Pełen wiary w swoje wysokie posłannictwo, młody król z energią i zapałem zabrał się do spełnienia swego obowiązku. Wypędzić wrogów, podnieść, podźwignąć z ruin kraj spustoszony, z lasów, gór, znów sprowadzić do miast i osiedli zrozpaczonych mieszkańców, było jego naczelnym zadaniem.

Już w czasie pierwszych potyczek z Seldżukami ujawniły się jego niepospolite zdolności wojenne i prawdziwy geniusz wodza. Stojąc na czele stosunkowo nielicznej armii, potrafił on swym płomiennym słowem i przykładem ofiarnym porwać za sobą wojsko i dokonywać cudów. Szybkość decyzji, zaskoczenie wroga, pierwszorzędną umiejętność wykorzystania możliwości terenowych, były jego głównymi atutami. W ciągu 36 lat jego panowania, prowadząc prawie stale wojny, nie było ani jednej przegranej bitwy. Historyk gruziński tłumaczy to tym, że oprócz zdolności wojennych, Dawid Odnowiciel zawsze był na czele swoich wojsk, zawsze sam pierwszy rzucał się w wir walki i nie było wypadku, żeby sam pozostawał w bezpiecznym miejscu i stamtąd komenderował wojskiem, jak to zwykło czynić wielu innych królów i dowódców.

W ciągu kilku lat swego panowania potrafił on oczyścić kraj od Turków-Seldżuków i odebrać im chęć do bezkarnego zapędzania się na obszary Gruzji.

Stworzywszy w taki sposób pierwsze podstawowe przesłanki do spokojnego życia dla swoich poddanych, król Dawid Odnowiciel zabrał się gorączkowo do odbudowy kraju i unormowania nienormalnych stosunków, panujących dotąd we wszystkich prawie dziedzinach życia państwowego. Jak mówi historyk gruziński, już w roku 1097 „odbudował się kraj gruziński, urosł w potęgę król Dawid i rozmnożyły się wojska jego. I w tym to czasie przyszli Frankowie i wzięli prędko Antiochię i Jerozolimę”...

Zjawienie się na terenie Bliskiego Wschodu Krzyżowców, walczących również przeciwko wrogom Gruzji i Kaukazu, ułatwiało zadanie króla Dawida tak na zewnętrznym jak i na wewnętrznym froncie, gdzie trzeba było gruntownie, od podstaw, przebudować cały gmach państwa.

Gruzja ówczesna była państwem feodalnym ze wszystkimi wadami i zaletami właściwymi dla tego systemu. Tak w Europie zachodniej jak i w Gruzji, król, pomimo swojej niby bezgranicznej władzy nad życiem i śmiercią każdego ze swych poddanych, bywał często w całkowitej zależności od swych wasalów-feodatów. Wszystkie wysokie godności państwowe, poczynając od stanowiska kanclerza, a kończąc na kierowniku powiatowym, były w rękach znakomitych rodów. Nawet godności kościelne, zwłaszcza od X-go stulecia, stały się wyłączną domeną feodatów. Nie wartość moralna, nie umysł wybitny, lecz pochodzenie było głównym czynnikiem w osiągnięciu wysokiego stanowiska w aparacie państwowo-politycznym czy religijno-kościelnym. Skutki takiego systemu są znane. Były one fatalne i w Gruzji, zwłaszcza w dziedzinie kościelnej, niejednokrotnie



wywoływały narzekania wśród wiernych i duchowieństwa z powodu obniżenia moralności i religijności.

Jeszcze w r. 1060 znakomity uczyony i działacz cerkiewny, mnich i opat gruziński Iwirońskiego klasztoru na górze Athos, Jerzy Mtacmindeli, będąc przejściowo w Gruzji, głośno krytykował nienormalne stosunki, panujące wśród duchowieństwa i żądał natychmiastowego uzdrowienia kościoła.

Niestety, król Bagrat IV nie odważył się narazić na gniew wysokich hierarchów i książąt cerkiewnych, oraz ich świeckich potężnych krewnych.

Król Dawid Odnowiciel, będąc sam człowiekiem wysoce pobożnym i doceniając w pełni znaczenie kościoła jako fatora oświaty, moralności i religijności wśród narodu z jednej strony, z drugiej zaś chcąc odebrać tę potężną broń feodałom, mając jednocześnie za sobą poparcie wielu szczerych duchownych i wiernych, zarządził zwołanie soboru cerkiewnego, którego zadaniem było wyplenienie wszystkich wad kościoła i raz na zawsze zaprowadzenie zasady osobistej wartości, jako jedynego miernika upoważniającego do obsadzenia tego czy owego stanowiska.

Sobór ten, znany pod nazwą Ruis-Urbniskiego, został zwołany w r. 1103 i, przy udziale samego króla i najznakomitszych przedstawicieli białego i czarnego duchowieństwa oraz wielu wybitnych naukowców i wiernych, opracował słynne ustawodawstwo cerkiewne, przeprowadzające całkowitą demokratyzację i reformę ustroju cerkiewnego.

Reforma ta zapoczątkowała nową erę nie tylko w życiu cerkiewnym, lecz i państwowo-administracyjnym. Odtąd zasada ta była stosowana we wszystkich prawie dziedzinach życia państwowego.

Król Dawid zreformował także i sądownictwo. Do czasów króla Dawida, król był najwyższym sędzią, od którego decyzji i wyroku zależało życie i śmierć jego poddanych. W pełni świadomy tego, że jeden człowiek, i to bez odnośnych wiadomości, nie jest w stanie należycie sprostać takiemu nader ważnemu zadaniu i uczynić zadość sprawiedliwości, król Dawid utworzył wyższy sąd z ludzi gruntownie obznajomionych z arkanami prawodawstwa i sądownictwa. Jedynie prawo łaski w wypadkach wyroku śmierci pozostało przywilejem króla. Jak widać ze źródeł gruzińskich i ormiańskich, sądownictwo w Gruzji stało na ogół na wysokim poziomie i w praktyce nie odbiegało bardzo od ogólnych norm, ustalonych prawem rzymskim i bizantyjskim.

Jest rzeczą znamionną, że król Dawid Odnowiciel, który przez całe życie prowadził walki ze światem muzułmańskim, jest przez gruzińskich, ormiańskich i arabskich historyków jednakowo przedstawiany, jako wysoce tolerancyjny wobec religii mahometańskiej. Pod groźbą surowej kary zabroniono Gruzinom popełniania jakichkolwiek czynów, obrażających uczucie religijne muzułmanów. Będąc władcą państwa, którego poddanymi byli zarówno prawosławni Gruzini, jak Ormianie-gregorianie, oraz

wyznawcy Islamu, swoim osobistym zachowaniem dawał król piękny przykład narodowi. Jak zaznaczają historycy arabscy i inni, prawie co piątek uczęszczał na modły w meczecie, sam lub z rodziną, po czym wdawał się w rozmowy o charakterze religijnym z duchownymi mahometańskimi, wykazując przy tym gruntowną i głęboką znajomość Koranu. Pomagał hojnie duchowieństwu muzułmańskiemu we wszystkich sprawach, wywołanych potrzebami życia religijnego. Tak samo ustosunkowywał się i do kościoła ormiańskiego.

Nic też dziwnego, że wierna tradycjom tolerancyjności wobec innych wyznań, historia XII i XIII stulecia notuje fakty, kiedy spory, wynikłe pomiędzy ormiańskimi czy gruzińskimi klasztorami czy biskupami, rozpatrywane były przez sąd kolegialny, złożony z przedstawicieli kościołów ormiańskiego i gruzińskiego oraz religii muzułmańskiej.

I tutaj mimo woli powstaje pytanie, czy było to jedynie zasługą króla Dawida Odnowiciela i jego następców, czy tu w grę wchodziły głębsze przyczyny, wywołane i wytworzone warunkami historycznymi. Trzeba nadmienić, że jeżeli w ogóle może być mowa o właściwym terenie spotkania się dwóch odmiennych kultur i cywilizacji, z jednej strony chrześcijańsko-zachodniej, a z drugiej strony wschodnio-muzułmańskiej i wytworzenie stąd nowej, swoistej, syntetycznej kultury — to przede wszystkim odnosi się to do Kaukazu i Gruzji.

Od czasów jeszcze starożytnych był Kaukaz terenem krzyżowania się wpływów Persji z jednej strony, a Grecji i Rzymu z drugiej. Z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa przez narody kaukaskie, a następnie zjawienia się tutaj zwycięskiego, dynamicznego Islamu, będącego religią prawie że całej Azji Mniejszej rzecz jasna, musiało nastąpić nie tylko zderzenie, nie tylko wzajemne niszczenie, lecz także i szukanie dróg kompromisowych, łagodzenie przeciwieństw, oddziaływanie wzajemne na ukształtowanie nowego oblicza duchowego.

Wiemy, że ogólny stan kulturalno-umysłowy stał w Gruzji i na ogół na Kaukazie, bardzo wysoko. Literatura, która od V-go do końca IX-go stulecia nosiła charakter wybitnie religijno-cerkiewny, od X-go stulecia, głównie pod wpływem kwitnącej wtedy bujnie poezji arabsko-perskiej, zaczyna powoli wyzwalać się od przemożnego wpływu kościoła, żeby pod koniec XII-go stulecia zabłysnąć w całej pełni świeckimi utworami nieprześcignionych nigdy w literaturze gruzińskiej takich geniuszów pióra, jak Szaruch Czachruchadze i nieśmiertelny Szota Rustaweli, którego poemat „Człowiek w skórze pantery” przetłumaczony jest prawie na wszystkie języki świata.

Można śmiało powiedzieć, że nie było chyba ani jednego poważnego dzieła religijno-filozoficzno-literackiego w świecie bizantyjskim czy w arabsko-perskim, które by nie było znane ówczesnemu społeczeństwu gruzińskiemu, bądź wprost w oryginalnych, bądź w tłumaczeniach.

Jak twierdzi znakomity profesor Niko Mapp, dotychczas jest

prawie niemożliwe wskazać inny przykład, równy gruzińskiemu, co do ilości najrozmaitszych języków, z których tłumaczono pomniki literatury. Otóż na język gruziński tłumaczono dzieła z języka greckiego, arabskiego, perskiego, ormiańskiego, hebrajskiego, syryjskiego i koptyjskiego.

Na wzór arabskich i bizantyjskich szkół wyższych, istniały w Gruzji akademie, w których wykładano religię, filozofię, matematykę, historię, astronomię i medycynę. Prawie że w każdym klasztorze było od dwóch do pięciu duchownych, zajmujących się nauczaniem dzieci i dorosłych. Oprócz tego istniały ośrodki literacko-religijne w wielu klasztorach gruzińskich poza krajem. Prawie że corocznie, od czasów króla Dawida, wysyłano do Konstantynopola i Aten młodych ludzi dla pobierania nauk.

Sam Dawid Odnowiciel, który uważał siebie za człowieka mało oświeconego, bo mającego tylko dworskie rycerskie wykształcenie, znał doskonale języki perski, arabski i grecki. Jak mówi historyk XII stulecia, największą pasją króla było czytanie książek. Nawet w czasie licznych pochodów wojennych szły za nim muły i wielbłądy, naładowane książkami. Król najczęściej jednak lubił księgi religijne i historyczne. Taka namiętność do ciągłego czytania wywoływała czasem niezadowolenie wśród wojska. Widać to chociażby z tego, że ówczesny historyk jego życia musiał dowodzić: że „właśnie ta jego miłość do wiedzy i znajomość wydarzeń przeszłości umożliwiły mu podniesienie do niebywałej potęgi państwa, tak poprzednio osłabionego i zniszczonego”...

Król Dawid Odnowiciel budował dużo cerkwi i klasztorów, tak w kraju jak i zagranicą. Największym jego dziełem jest wybudowanie klasztoru w Gelati, istniejącego i dzisiaj, gdzie utworzył akademię, „mającą się stać drugimi Atenami”. Do tej akademii zaprosił najwybitniejszych bogosłowników, uczonych gruzińskich ze wszystkich zakątków Gruzji i zagranicy. Rektorem akademii wyznaczył znakomitego filozofa neoplatonika Jana Petriconei, autora wielu prac oryginalnych oraz tłumaczeń dzieł Arystotelesa, Platona, Diadocha Proklasa i inn. Oprócz Gelatskiej, słynne były szkoły w Ikalto, Gremi, Szatberdi, Alawerdi, Tbeti itd.

I w dziedzinie oświaty król Dawid nie robił żadnej różnicy między swymi poddanymi.

Historycy arabscy Ibn-Al-Jauz, Al Hamawi, Jakuti, Ibn Alathir i inni zaznaczają, że rzadko który władca muzułmański opiekował się tak poetami, filozofami i uczonymi duchownymi muzułmańskimi, jak to robił król Dawid, który nie tylko utworzył specjalną akademię dla naukowców i pisarzy mahometańskich, lecz zbudował dla nich internat z pełnym utrzymaniem, a nawet urządzał uroczyste jubileusze dla zasłużonych.

Okres przynależności obszarów Armenii do państwa gruzińskiego historycy ormiańscy uważają za okres największego rozkwitu literatury i kultury ormiańskiej.

O wysokim poziomie sztuki, zwłaszcza architektury, ornamentyki i złotnictwa nie będę tu dużo mówił. Świadczą o tym najlepiej liczne zabytki i ruiny, przechowane po dziś dzień. Piszą o tym historycy sztuki, jak Diehl, Strzygowski, Kondakow, Czubinaszwili, Amiranaszwili, Baltruszaitis i inni. Ten ostatni twierdzi nawet z całą stanowczością, że sztuka gruzińska i ormiańska tego czasu wywarła wielki wpływ na Europę zachodnią i przyczyniła się do powstania sztuki romańskiej.

Wznosząc chramy i pałace, pokrywając Gruzję całą siecią bitych dróg, i przerzucając liczne mosty przez tak ważne dla handlu międzynarodowego rzeki jak Mtkwari (Kura), Rioni, Araks i inne, budując wszędzie karawanseraje i zapewniając pełne bezpieczeństwo kupcom, król Dawid Odnowiciel przyczynił się bardzo do ożywienia i rozkwitu handlu międzynarodowego i podniósł dobrobyt kraju. Będąc sam człowiekiem w pełni sił fizycznych i duchowych, prawdziwym wybrańcem losu i pomazańcem Bożym, Dawid Odnowiciel — jak zgodnie twierdzą wszyscy historycy — był pełen zrozumienia i współczucia dla losu biednych i dotkniętych chorobą.

Istniejącą już dobroczynną instytucję pod nazwą „Udział biednych” kazał jeszcze więcej rozbudować, a dla chorych wznosił sanatoria w najzdrowszych, najpiękniejszych okolicach. Specjalnie utworzony sztab lekarski i administracyjny obsługiwał chorych. Sam król, według słów historyka, chcąc sprawdzić, czy wyznaczony personel spełnia swój obowiązek sumiennie i czy chorym nie dzieje się jakaś krzywda, często zjawiał się nieoczekiwanie w sanatorium, informował się osobiście o stanie każdego, dodawał otuchy, a odchodząc, obejmował i całował każdego, bez względu na jego chorobę.

Leć największym wyczynem króla Dawida było chyba stworzenie przez niego stałej regularnej armii, tak potrzebnej dla pilnowania granic Gruzji i niektórych newralgicznych punktów wypadowych, ważnych dla zabezpieczenia całego Kaukazu.

Jak już zaznaczyłem, ustrój państwowy, oparty na systemie feudalnym, nie dawał królowi gwarancji, że w razie potrzeby może uzyskać pomoc wojskową od wszystkich swoich feodałów.

Dlatego też powziął król Dawid gigantyczny plan sprowadzenia do Gruzji pięćdziesięciu tysięcy wojowników Kipczaków — rodaków swojej drugiej żony i — osiedliwszy ich wraz z ich rodzinami wewnątrz kraju — stworzenia z nich stałej przybocznej kawalerii królewskiej.

Pertraktacje, prowadzone z teściem, władcą osiadłych na Północnym Kaukazie Kipczaków, zakończyły się pomyślnie, i ponad dwieście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci kipczańskich zjechało do Gruzji.

Sprowadzenie takiej ilości ludzi zupełnie obcych, zaopatrzenie ich we wszystkie niezbędne rzeczy, poczynając od mieszkań a kończąc na koniach i uzbrojeniu, było przedsięwzięciem nie tylko trudnym, lecz zdawało się i bardzo ryzykownym, zwłaszcza, biorąc pod uwagę ten fakt, że był to element wyjawni-

czy i niesforny, i że olbrzymia większość była wyznania muzułmańskiego.

Jednak Gruzja z czasów Dawida Odnowiciela była i gospodarczo i militarnie tak potężna, że nawet sprowadzenie tylu obcych ludzi w granice kraju, otoczonego prawie ze wszystkich stron wrogimi muzułmanami, nie tylko nie zakłóciło równowagi polityczno-gospodarczej, a wręcz przeciwnie, przyczyniło się do jeszcze większego wzmocnienia i rozbudowania państwa gruzińskiego.

Jak już zaznaczono, od roku 1097 zjawili się na arenie Azji Mniejszej pierwsi Krzyżowcy. Prowadzili oni walki z tymi samymi narodami, z którymi Gruzja i król Dawid Odnowiciel mieli stale zatargi.

Abstrahując od wszystkiego innego, a wychodząc jedynie z odwiecznej maksymy „że wróg mego wroga jest moim przyjacielem”, jest to całkiem naturalne, że i Gruzini i Krzyżowcy uważali siebie za sojuszników. Tak samo myślały o nich prawie wszystkie narody muzułmańskie. Dlatego też postanowiły wspólnymi siłami Turków Seldżuków, Arabów, Persów i innych wyruszyć przeciwko Gruzji, a po zniaczeniu potęgi Dawida Odnowiciela, rozprawić się na dobre z Krzyżowcami.

Oto jak pisze o tej wyprawie w roku 1121 kanclerz Antiochii, Francuz Gautier Galterius w dziele „Galterii Cancellarii bella Antiochenae”: . . . „Elgazi wyruszył z Aleppo na czele niezliczonego wojska, złożonego z Turków i Arabów. Pełen pychy niezmierniej, wywołanej widokiem swej olbrzymiej potęgi, zdecydował się wraz z sułtanem Chorozańskim na walkę z Iberią, przeciwko królowi Dawidowi, żeby po zniszczeniu Dawida przystąpić bez wszelkiej przeszkody do zawojowania z powrotem Jerozolimy i Antiochii i do całkowitego wytepienia chrześcijaństwa. Ale kara Boska czekała hardego wojownika. W tym samym dniu, gdy sułtan Elgazi ze swoim sześćsettyśięcym wojskiem wszedł do kraju króla, ustawił król Dawid swoje chrześcijańskie wojsko ze znakiem Krzyża świętego w polu pomiędzy dwiema górami, skąd, jak przewidywano, zamierzał wróg przeprowadzić atak... Król wyznaczył wszystkim swoim jednostkom bojowym ich pozycje, a dwustu Franków, znajdujących się w jego dyspozycji, wysłał naprzód...”. Opisując dalej przebieg walki i zwycięstwo Gruzinów, Gautier Galterius kończy tak: „My dowiedzieliśmy się od świadków naocznych tej bitwy, że czterysta tysięcy uciekających wrogów zginęło od miecza wojowników króla w ciągu trzech dni. Elgazi, sam ranny w głowę, straciwszy prawie wszystko, z garstką uciekinierów pod dowództwem sułtana arabskiego, powrócił do kraju wygłodzony i na wpół martwy”.

Wszyscy arabscy, gruzińscy i ormiańscy historycy potwierdzają fakt straszliwej klęski zjednoczonych sił turecko-arabsko-perskich.

Znany historyk, członek francuskiej Akademii, R. Grousset mówi co następuje:

„Wyprawa Krzyżowa Gruzinów, zadawszy klęskę światu muzułmańskiemu, podwójnie wzmocniła wyprawę francuską. To jest fakt, o którym nie trzeba nigdy zapominać, jeśli studiuje się dzieje i kwestie Wschodu w XII stuleciu”.

Nie wschodząc w rozważania co do ściśłości niektórych danych liczbowych, dotyczących wojska i zabitych, trzeba jednak zaznaczyć, że zadanie tak druzgocącej klęski wrogom Krzyżowców musiało siłą rzeczy wstawić wśród nich imię króla i Gruzji i wywołać niezatarte wrażenie.

Że tak stało się w rzeczywistości, dowodzi chociażby ten znany fakt, że po stu latach, w czasie piątej wyprawy, kiedy Krzyżowcy ponosili same klęski i nie było widać znikąd ratunku, zaczęły uporczywie kursować wśród nich pogłoski, że „... potężny król Dawid, znany pod mianem księdza Joanna z Indii, idzie z odsieczą z olbrzymim wojskiem i zajął już po drodze Midję i Persję, niosąc klęskę dla niewiernych i zwycięstwo krzyża”... (A. Sanders: Kaukasien. S. 181).

Historyk angielski W. E. D. Allen w swym dziele „A History of the Georgian people” pisze co następuje: „Koniec dwunastego stulecia widział jakby odrodzenie wschodnio-chrześcijańskiego życia w Azji Mniejszej. Całe wybrzeże Lewantu, od zatoki Alexandretty do półwyspu Synajskiego, było w ormiańskich bądź też łacińsko-normandzkich rękach. Panowanie mądrego i odważnego Aleksego Komnenosa w Bizancjum przyczyniło się w pewnym stopniu do odbudowy wpływów Bizancjum wzdłuż wybrzeża Anatolijskiego.

Lecz najwspanialsze były sukcesy Dawida Odnowiciela w obrębie całego Kaukazu. Albowiem Dawid zjednoczył pod swoją kontrolą całą Gruzję od Dariału do Ispiru, od Pitsundy do morza Kaspijskiego. On włączył do swych posiadłości większą część starożytnego królestwa Ormiańskiego i objął zwierzchnictwo nad najważniejszą placówką muzułmańską, państwem Szirwanu.

„Wtedy, kiedy jego zwycięstwa były wprost oszałamiające, — metody jego rządzenia były daleko więcej oświecone i szlachetne, niż większość jego zachodnich współczesników”.

Ramy niniejszego odczytu nie pozwalają omówić wszystkich zagadnień epoki króla Dawida Odnowiciela. I chociaż największej potęgi, największego rozwoju polityczno-kulturalno-gospodarczego dosięga Gruzja u schyłku XII stulecia, za czasów królowej Tamary, jednak wielkim architektem, prawdziwym budowniczym państwa gruzińskiego był i został król Dawid Odnowiciel.

Dr J. NEKASZYDZE.

#### ŹRÓDŁA WYKORZYSTANE:

- Prof. J. Dzawachischewili „Dzieje Gruzji” t. II. (w jęz. gruz.)  
 Prof. A. Sanders „Kaukasien”, geschichtlicher Umriss  
 W. E. D. Allen „A. History of the Georgian People”  
 A. Comaya „Dzieje Gruzji” (rękopis).

## Przebieg chorób ocznych u D.P.

W okresie czasu od października 1946 roku do lipca 1948 roku przez gabinet okulisty szpitala DP w Regensburgu przesunęło się ponad 3.395 chorych (przy 2.000 odwiedzi.). Szpital wyżej wymieniony obsługiwał przeważnie DP — mieszkańców Regensburga (2 obozy i miasto) i przytoczoną powyżej liczbę chorych ocznych uznać należy za dosyć wysoką. Zespół jakościowy chorych jak również przebieg procesów chorobowych, wykazuje szereg zjawisk specjalnych (osobliwości) niezwykłych w normalnych warunkach życiowych.

Samo przez się powstaje pytanie, w czym wyrażają się anomalie życia DP i w jaki sposób wywierają one wpływ na przebieg procesów chorób ocznych. Niestety w naszych prymitywnych warunkach nie są możliwe wyczerpujące badania naukowe; nie mniej, nawet bez tych badań, analiza tak znacznej ilości zachorowań doprowadza do interesujących wniosków.

Przed wszystkim oczywiście wysuwa się zagadnienie odżywiania. Musimy dokonać rozgraniczenia dwóch pojęć: «głodu» i «niedostatecznego odżywiania». Ze stanem «głodu» — choroby z obrzękiem — nie spotkałam się wśród DP, jednak stan «niedostatecznego odżywiania» występował zawsze, zwłaszcza zaś od chwili powstania IRO.

Specjalna komisja fizjologiczna ustaliła w roku 1936 jako minimum odżywiania 2.400 kal., przy czym zaznaczono wielką rolę tłuszczu i białka pochodzenia zwierzęcego.

Dziennie winien przypadać 1 gram białka na 1 kg wagi, tłuszczu zaś o połowę mniej — to znaczy około 70-90 gramów białka i 35-45 gramów tłuszczu na osobę. Odpowiedź na pytanie czy DP otrzymują tę ilość —

jest ogólnie znana. Strata węglowodanów w organizmie może być wyrównana przez krochmal pochodzenia roślinnego.

Stały brak należytej ilości białka i tłuszczu może doprowadzić do stanu DP do stanu «niedostatecznego odżywiania», przy czym ostatecznym wynikiem jest stan identyczny z rezultatem «głodowania», jedynie proces rozwija się wolniej i w swych stadiach początkowych jest mało widoczny.

Dla zachowania zdolności życiowej komórek niezbędne są określone ilości energii i dla wyrównania tego niedoboru organizm czerpie ze swych zapasów. W ten sposób możemy nie spostrzegać jakichkolwiek jaskrawych zakłóceń, dopóki nie zostaną wyczerpane wszystkie zapasy organizmu i nie nastąpi ogólne wyczerpanie. Do tej chwili siły organizmu ulegają powolnemu niewątpliwemu podkopaniu.

Przy pełnym «głodowaniu» okres ten trwa od dwóch do dwóch i półmiesiąca, zaś przy niedostatecznym odżywianiu okres wspomniany trwa oczywiście dłużej.

W okresie początkowym, waga może nie odzwierciedlać niedostateczności odżywiania, gdyż równocześnie z utratą zapasów następuje zbieranie w organizmie wody (woda zamiast białka i tłuszczów).

Zarówno badania autorów niemieckich, jak również i obserwacja innych specjalistów naszego szpitala — stwierdziły szereg przejawów patologicznych będących rezultatem niedostatecznego odżywiania — osłabienie mięśni, szybko następujące zmęczenie, przyspieszenie pulsu i oddechania, wskutek nawet nieznacznych wysiłków fizycznych.

Wskutek zmniejszenia ilości białka we krwi następuje spadek ciśnienia

krwi (choć anemia występuje później) i zwiększa się ilość limfocytów we krwi oraz zmniejsza ilość form segmentarycznych; ulega rozrzedzeniu mózg kostny, zmienia się struktura kości; kości stają się porowate, przypominają kości starcze, co wywołuje u dzieci rachityzm; obniża się produkcja ciepła i temperatura ciała opada; obniża się działalność wszystkich gruczołów i siła odporności organizmu skąbnie, co powiększa skłonność do infekcji, zwłaszcza chronicznych, jak TBC, malarii, dżentarii itp. Zauważyć się daje również zwiększona skłonność do podrażnień i zmniejszona zdolność do nauki.

Do następstw tego rodzaju doprowadza trwające dłuższy czas «niedostateczne odżywianie» i odbija się to również na ocznych procesach chorobowych.

Nieco na uboczu pozostaje zagadnienie awitaminozy czego nie należy mieszać z pojęciem «głodu» lub «niedostatecznego odżywiania», gdyż może ono występować i przy normalnym racjonowaniu białka, tłuszczu i cukru, w związku z tym, że witaminy służą do regulacji procesów wymiany w komórkach.

Zadanie moje polega przede wszystkim na rozpatrywaniu wpływu «niedostatecznego odżywiania» oraz przejawów związanych ze stanem systemu nerwowego, niepodobna jednak nie zaznaczyć, iż wśród zachorowań na oczy DP spotkano się z szeregiem wypadków, które skłonna jestem wyjaśnić jako awitaminozowe. Pod wielu względami te ostatnie wykazują przejawy podobne do wywołanych «niedostatecznym odżywianiem» (rachityzm, anemia, rozstrój systemu nerwowego, szybko następujące zmęczenie itp.) i nie zawsze daje się tu zastosować diagnostykę dyferencjalną.

Niewątpliwie ważną rolę w przebiegu choroby odgrywa stan systemu nerwowego, chociaż charakter tego wpływu jest dosyć skomplikowany i skomplikowane jest również samo pojęcie «systemu nerwowego».

Rozróżnić należy trzy zasadnicze systemy nerwowe: centralny, peryferyjny i wegetatywny.

Pierwsze dwa kierują procesami podporządkowanymi naszej świadomości. Z systemem wegetatywnym powiązane są procesy organizmu nieświadome, jak działanie serca, płuc,

żołądka, kiszki, naczyń krwionośnych itp. — są to wszystko procesy najbardziej dla życia niezbędne. Z systemem wegetatywnym wiąże się ściśle również system sercowo-naczyniowy i obydwa wspólnie transponują wszelkie podrażnienia psychicznej i fizycznej natury.

Obydwa te systemy biorą największy udział w przeżyciach i zmartwieńiach DP.

W zależności od charakteru wegetatywnego systemu nerwowego, Epinger i Hess, jeszcze w początkach 20-go wieku dzielił ludzi na dwa typy: sympatykotoników i wagotoników, którzy różnią się charakterem reakcji na różnego rodzaju fizyczne i psychiczne podrażnienia.

System nerwowy zabezpiecza nie tylko normalną budowę tkanek, lecz również funkcję ich, to jest trofiki — nerwowo-humoralną regulację procesów. Wykonują to przeważnie nerwy sympatyczne zwane również nerwami trofijnymi. Wśród DP spotyka się często diagnozy: «naruszenie trofiki».

Dawniej mniemano, iż podrażnienie nerwów wywołuje jedynie naruszenie funkcji, bez organicznych zakłóceń i wszelkiego rodzaju neurastenii traktowano dosyć lekko a nawet z lekceważeniem.

Okazuje się jednak, że same podrażnienia nerwowe mogą wywołać poważne zmiany anatomiczne, co zostało wspaniale udowodnione przez eksperyment Sperańskiego, który drażniąc nerw jednej kończyny otrzymał owrzodzenie na drugiej kończynie w miejscu położonym symetrycznie.

Niewątpliwie w organizmie ludzkim podrażnienia systemu nerwowego mogą wywołać dosyć skomplikowane zakłócenia organiczne, nie mówiąc już o ścisłym związku podrażnień z psychiką.

Należy uznać jako zasadę traktowanie każdego DP jako chorego.

Po okropnościach okresu wojny w ciągu trzech lat, jedne nieszczęścia następują po drugich. Ciężkie przeżycia pierwszych miesięcy, gdy po tragedii pracy niewolniczej i kacetu, ludzie niespodziewanie znaleźli się za drutami kolczastymi i byli pozbawieni prawa do pracy; zdarzające się wielokrotnie wydawanie emigrantów władzom sowieckim, niekoczące się przesiewanie (screening) i komisje ze składaniem fałszywych

przysiąg, niczym nieuzasadnione przeczuwanie obozów, traktowanie DP na równi z bydłem, zupełne bezprawie, zupełna bezbronność a ponadto utrata ojezyny, domu, przyjaciół, majątku, wiary w sprawiedliwość itd., itd.

Wszystko to wycisnęło niestarte piętno na stanie moralnym, psychicznym i nerwowym DP, a co za tym idzie i na jego zdrowiu w postaci niezwykle licznych wypadków owrzodzenia żołądka i kiszki, owrzodzeń trofijnych, isziasu, polineurytów, chorób przemiany materii, niespodziewanych obrzeków, astmy, a następnie poważnych niedomagań psychicznych i serii samobójstw. (W samym Regensburgu 5 czy 6 samobójstw i 2 zachorowania na tle psychicznym).

Zagadnienie to winno stanowić kryterium położenia DP, a nie jedynie sprowadzanie wszystkiego do «normalnej» ilości katorii, «dobrego wyglądu», wysokiej ilości urodzin, braku epidemii itd.

Byłoby wielkim błędem uważać, że oko jest organem odosobnionym, żyjącym oddzielnym życiem i nie podporządkowującym się ogólnym prawom przebiegu choroby i niezależnym od stanu wyżywienia pacjenta.

Oko, z racji swych anatomicznych właściwości, jest organem najbardziej wrażliwym i bardzo często zaatakowane bywa w pierwszej kolejności. Siatkówka jest genetycznie i anatomicznie przedłużeniem mózgu; jej schorzenia są ściśle związane z chorobami mózgowymi. Dlatego też często pierwsze przejawy takich chorób jak meningitis, puchlina mózgu i abscesy, dają się zauważyć na siatkówce i nerwach wzrokowych.

Podobnie system naczyń krwionośnych oka jest częścią systemu krwionośnego całego organizmu. W oku ma miejsce gwałtowne przejście z wąskiego naczynia krwionośnego do szeroko rozgałęzionego systemu drobnych naczyń krwionośnych. Obieg krwi w naczyniach krwionośnych oka ulega zwolnieniu, wskutek czego powstają warunki sprzyjające osadzeniu się infekcyjnej i toksyn. Dlatego pierwsze objawy takich chorób ogólnych, jak TBC, syfilis, choroby nerw, zwiększenie ciśnienia krwi, bardzo często dają się zaobserwować właśnie w oku.

Zawnętrzna warstwa sklera jest tkanką tej samej budowy co ścięgna i podlega również wszystkim chorobom stawów powstającym najczęściej na tle złej przemiany materii względnie z powodu chronicznych infekcyj, jak też pod wpływem klimatycznych i higienicznych warunków życia (podagra, reumatyzm, TBC, syfilis).

Najwrażliwsza jest coniunctiva — spojówka, pokrywająca oko i powieki. Jest ona specjalnie wrażliwa na wszelkie podrażnienie, sprzyja temu jej zewnętrzne położenie i stałe zewnętrzne wpływy. Dlatego w normalnych warunkach najczęstsze są właśnie choroby spojówki.

Spśród innych grup chorób ocznych na pierwszym miejscu stoją anomalie refrakcji, wśród których najliczniejsze są wypadki presbiopii to jest osłabienia akomodacji. Tacy chorzy np. z trudnością czytają drobny druk i źle widzą z bliska. Jak wiadomo siła akomodacji zależy od elastyczności soczewki i sprawności mięśnia akomodacyjnego. Dlatego presbiopia następuje zazwyczaj w wieku po 40 latach, gdy soczewka ulega sklerozie. Wśród obserwowanych przeze mnie chorych DP znaczna część była poniżej 40 lat. Dlatego należy przypuszczać, że był tu wpływ nie sklerozy, a zmęczenia mięśnia. Samo przez się nasuwa się myśl, że jest to spowodowane niedostatecznym odżywianiem, które przede wszystkim wpłynęło na oko, jako na najczulszy organ. Hipotezę tę potwierdzają obserwacje innych autorów o zmęczeniu mięśnia na skutek niedożywienia, o czym wspominałam uprzednio. Nie są rzadkością wypadki nagłego osłabienia akomodacji na skutek przeżyć nerwowych. W tym wypadku wpływ czynnika nerwowego jest oczywisty.

Podstawą rozwoju innych anomalii refrakcji — hipermetropii i miopii, jest rośnięcie zewnętrznej warstwy oka.

Zrozumiałe jest, że rozwój całego oka i jego części składowych jest ściśle związany z rozwojem całego organizmu, a co za tym idzie i jego odżywianiem. Jednak trudno powiedzieć z pewnością, w jakim stopniu warunki życia DP wpłynęły na rozwój tych ostatnio wymienionych anomalii refrakcji. Dla stwierdzenia tego

jednak byłyby potrzebne dłuższe badania i obserwacje.

Zachorzenia spojówki i powiek zdarzają się przeważnie jednocześnie i można je traktować łącznie. Rozpatrując tę grupę, bardziej na uwagę zasługują nie ilości wypadków, lecz ich dokładna analiza. Znacznym od skrofulozy, to jest dziecięcego TBC gruczolów. Oprócz 80 wypadków typowych skrofulozy oka w formie flikten, należy tu również zaliczyć bardzo wielką ilość blefaro-coniunctiwitów i folikularnych coniunctiwitów. Niestety te ostatnie wypadki w rejestracji chorób nie są osobno wyodrębnione, lecz o ile pamiętam ilość ich była bardzo znaczna. Dla potwierdzenia ich gruźlicznego pochodzenia zazwyczaj badany był stan ogólny i przede wszystkim stan gruczolów limfatycznych, które w tych wypadkach bywały prawie zawsze powiększone. Na mocy moich obserwacji nie można się zgodzić z punktem widzenia niektórych pediatrów DP i przedstawicieli IRO, że wśród dzieci DP mało jest gruźlików. Prócz tego często dało się zauważyć u dzieci niezwykle wielką hiperplezję fliktułów spojówki, co niekiedy zewnętrznie przypomina trachomę. Także niezwykle reagowanie adenoidowej tkanki, zawsze dawało się zauważyć u dzieci białych i niedożywionych.

O wpływie złego ogólnego stanu organizmu na przebieg procesów mówi też niezwyklejną przewagą procesów chronicznych nad ostrymi. Wiadomo, że ostre procesy w większości wypadków są pochodzenia egzogenne i przede wszystkim infekcyjnego, podczas gdy chroniczne są wyrazem ogólnego stanu organizmu. Małą ilość ostrych infekcji można rozpatrywać jako czynnik pozytywny na korzyść DP, gdyż pomimo całego śluczenia, stan higieny i profilaktyki jest dosyć wysoki.

Wielką ilość egzem oka zasługują na uwagę, tak z punktu widzenia etiologii jak i kliniki. Egzemy z reguły występowały nagle i miały przebieg męczący i przewlekły. Bardzo często w historii choroby dawał się ustalić związek z jakim bądź przeżyciem nerwowym. Sądzę, że w ich rozwoju odegrał rolę brak witamin, zaś czynnik nerwowy był bodźcem do rozpoczęcia się choroby. Potwierdzeniem takiej oceny może być fakt, że miałam świetne rezultaty po zastrzyku witaminy B.1. Zwłaszcza cie-

kawe były objawy kliniczne pewnych egzem spojówki z ostrym zaczerwienieniem całego oka, opuchnięciem spojówki, episklerytem i bólami (to jest objawami świadczącymi nie tylko o coniunctivicie, ale i o episklerycie). Pacjenci skarżyli się nie tylko na ból, ale i na swędzenie. W ciągu 25 lat mej pracy, nigdy uprzednio nie zauważałam takich form.

Rosacea oka była przedmiotem moich studiów w ciągu długich lat i mogę stwierdzić, niezwykle wielką ilość wypadków rosacea wśród DP, a również różnorodność jej form i przebiegu. Większość blefarytów i coniunctiwitów z niezwyklejną hiperplezją nasady nerwu wzrokowego, kieratyfów rozmaitych, należy rozpatrywać jako objawy rosacea. Istotą rosacea jest parazytyczny stan naczyń krwionośnych, wskutek czego pozostają one mocno rozszerzone i nie mogą z powrotem się ściągnąć. Wy tłumaczenie przyczyn rosacea jest ciekawym i mało zbadanym rozdziałem oftalmologii. Na podstawie moich obserwacji pozwolę sobie przypuszczać, że przy rosacea jest nie tylko zewnętrzne zachorzenie skóry, lecz że choroba ma bardziej głębokie przyczyny, a mianowicie niepełnowartościowość systemu krwionośnego całego organizmu.

Jak wskazywałam tonus naczyń krwionośnych jest regulowany przez wegetatywny system nerwowy. Należy przypuszczać, że specjalne właściwości rosacea wśród DP tłumaczy się przede wszystkim wpływem czynników nerwowych. Według danych amerykańskich nie można również w tym wypadku zaprzeczyć roli awitaminozy. Na ogół jednak przy wielkiej różnorodności form, bardzo ciężkie wypadki zdarzają się rzadko.

W grupie kieratyfów (chorób rogówki) również przeważa skrofuloza i rosacea o przewlekłym i nawrotnym przebiegu. Równorzędnie stoją kataralne wrzody rogówki, przyczyną których jest niernormalna przemiana materii i trofika. Ciężkie formy kieratyfów też były wielką rzadkością. Dalej idą traumy oka, których pochodzenie w większości związane jest z pracą zawodową. U bezrobotnych DP ilość traum jest naturalnie niewielka. Mało również wypadków ciała obcych w oku, ponieważ w Bawarii rzadko się zdarzają porwiste wichry unoszące z sobą dużo kurzu.

Rzadkie też bywają traumy jako następstwa nienormalnego prowadzenia się DP, bójk skaleczeń nożem itp.

Mała grupa chorób dna oka nie daje podstaw do jakichkolwiek wniosków, jednak warto wymienić 15 wypadków zatrucia alkoholem metylowym, z których 8 skończyło się atrofją nerwu wzrokowego i całkowitą ślepotą. Zwłaszcza dużo wypadków zatrucia alkoholem metylowym i to nawet grupowych, miało miejsce krótko po zakończeniu działań wojennych. Wówczas częste bywały wypadki śmiertelne. Na ten okres przypadają też najcięższe wypadki spośród wyżej, wymienionych. Również w tych wypadkach należy przypuszczać, że pewną rolę odegrało zmniejszenie odporności organizmu wskutek wycieńczenia w okresie wojennym.

Grupa chorób dróg łzowych mogłaby być znacznie większa, gdyby do niej zaliczyć wszystkie wypadki zażaleń na chorobliwe cieknięcie łez, tak u dorosłych jak i u dzieci. Zazwyczaj jednak lekarze czują się bezsilni w tych wypadkach i pacjen-

tów odsyłają nie rejestrując ich jako chorych. Do tych skarg trzeba by jednak odnieść się z większą uwagą, gdyż są dane, że chorobliwe cieknięcie łez może być spowodowane brakiem witamin B2.

Wielka ilość obserwacji i ich analiza pozwalają, jeżeli nie na ostateczne stwierdzenie, to w każdym razie na pewne wnioski dosyć ciekawe i nie bez znaczenia. Charakter przebiegu chorób oczu u DP wykazuje, że niedostateczne wyżywienie odgrywa znaczną rolę, jednak wśród przyczyn choroby i komplikacji przebiegu przeważa czynnik nerwowy, gdyż system nerwowy DP jest bardzo nadwyrężony. Rzadkość specjalnie ciężkich form zachorzeń oczu i przewaga procesów chronicznych wskazują, że szkodliwe czynniki działają destrukcyjnie na organizm słabo, lecz w ciągu długiego okresu. Dopiero dalsze obserwacje mogłyby wykazać jak daleko zaszło destrukcyjne działanie tych czynników, tak dla dzisiejszych DP, jak i dla ich potomstwa.

Prof. Dr Helena FEDUKOWICZ.

### ZESTAWIENIE CHOROÓB

| Anomalie refrakcji            |              |
|-------------------------------|--------------|
| Presbiopia .....              | 632          |
| Hypermetropia .....           | 615          |
| Myopia .....                  | 229          |
| Astigmatismus .....           | 148          |
| <b>Razem .....</b>            | <b>1.624</b> |
| Choroby spojówki              |              |
| Acuta .....                   | 129          |
| Chronica .....                | 365          |
| Phlictenularis .....          | 80           |
| Rosacea .....                 | 48           |
| Follicularis .....            | 27           |
| Vernalis .....                | 4            |
| Trachoma .....                | 7            |
| <b>Razem .....</b>            | <b>660</b>   |
| Choroby powiek                |              |
| Blepharitis .....             | 278          |
| Ch. gruczolów tłuszczowych .. | 221          |
| Eczema .....                  | 101          |
| <b>Razem .....</b>            | <b>600</b>   |
| Choroby rogówki               |              |
| Keratitis eczematosa .....    | 60           |
| Keratitis rosaceae .....      | 31           |
| Keratitis serophulosa .....   | 27           |
| Keratitis ulcerosa .....      | 27           |
| <b>Razem .....</b>            | <b>145</b>   |

| Choroby kanałów łzowych        |            |
|--------------------------------|------------|
| Stenosis can. lacrimalis ..... | 36         |
| Dacryocistitis .....           | 15         |
| <b>Razem .....</b>             | <b>51</b>  |
| Choroby dróg naczyniowych      |            |
| Iritis .....                   | 7          |
| Iridocyclitis .....            | 5          |
| <b>Razem .....</b>             | <b>12</b>  |
| Choroby dna oka                |            |
| Chorioretinitis .....          | 12         |
| Atrophia nerv. optici .....    | 17         |
| Zatrucie metylow. alkoholem .. | 15         |
| Retinitis proliferans .....    | 4          |
| Ablatio retinae .....          | 3          |
| Retinitis exudat. ext. ....    | 1          |
| Neuroretinitis prolifer .....  | 3          |
| <b>Razem .....</b>             | <b>55</b>  |
| Uszkodzenia                    |            |
| Corpus alienum corneae .....   | 97         |
| Vulnus perforat. corneae ..... | 4          |
| Vulnus conjunctiv. ....        | 4          |
| <b>Razem .....</b>             | <b>105</b> |
| Cataracta .....                | 62         |
| Glaucoma .....                 | 8          |
| Różne .....                    | 73         |

## Obliczenia trakcyjne i ekonomiczne środków transportowych

W ciągu ostatnich kilkunastu lat, w szczególności od początku drugiej wojny światowej, nastąpiły olbrzymie przemiany we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego; dokonano wielu zasadniczych odkryć naukowych, całe państwa zniknęły, całe narody zostały wytępione, wzniesiono pewne granice, zniszczono inne. Nastąpiły gwałtowne przewroty społeczne i ekonomiczne. Jesteśmy zmuszeni myśleć kategoriami kontynentalnymi, gdyż granice państwowe za ciasne są nawet dla mocarstw. Wcześniej czy później nastąpi okres odbudowy i przebudowy gospodarczej świata na olbrzymią skalę.

Udowodnienie, iż środki komunikacyjne odegrają pierwszorzędną rolę w tych procesach jest chyba zbyt oczywiste. Wystarczy nadmienić, iż zasadniczy układ komunikacyjny Europy i Azji pozostał od z górą dziesięć lat bez zmiany (o ile nawet nie uległ dużemu pogorszeniu), natomiast ludność zwiększyła się z górą o 120 milj. ludzi.

Najważniejszymi przewozami w powyższych warunkach są przewozy masowe. Jakże niesłychane nasilenie osiągnęły te przewozy, możemy sobie przypomnieć o ile uwzględnimy, iż li tylko dla rozpoczętej obecnie przebudowy trakcji parowej na elektryczną na linii PLM (Paris-Lyon-Mediterranée) we Francji, przebudowy obliczonej ze względu na brak środków na lat parę, — ilość pociągów gospodarczych, t.j. służących wyłącznie celom przebudowy, wynosi w chwili obecnej 60 pociągów na dobę. Istniejące zaś środki transportowe są przedawnione, ucierpiały straszliwie w ciągu ostatnich lat dziesięciu, nie są wzajemnie dopasowane oraz w dużym stopniu oparte na przestarzałych

zasadach. Poczynając od chwili «X», nie będziemy mogli pozwolić sobie na stratę czasu, na improwizację. Wręcz przeciwnie, obowiązkiem naszym jest przestudiowanie już obecnie całokształtu problemów przewozowych aby dokonać w odpowiedniej chwili przebudowy sieci komunikacyjnej z największym skutkiem użytecznym, w najkrótszym czasie oraz kosztem jak najmniejszego kapitału pracy ludzkiej (w szczególności robocizny wysoce kwalifikowanej) oraz posiadanych zasobów materialnych. Musimy już obecnie mieć wyrobione poglądy, ustalone zasady.

Pośród tych zasad, bynajmniej nie wyczerpujących tematu, pozwolę sobie przytoczyć:

1) Wybór właściwego środka komunikacji, t.j. wybór pomiędzy przewozami wodną, drogą lądową (koleją lub żelazną) lub transportem powietrznym.

2) Wybór rodzaju trakcji (czyli rodzaju energii): zwierzęcej, parowej, elektrycznej czy silników spalinowych.

3) Zasadniczy typ obranego środka lokomocji z uwzględnieniem ustalonego rodzaju trakcji. Np. przy przewozach drogą wodną śródlądową — rodzaj taboru wodnego, typ kanału; przy przewozach drogą powietrzną — typ samolotu, helikoptera lub okrętu powietrznego, typ i rozstaw lotnisk; przy przewozach kolejną — rozpiętość toru, warunki techniczne trasowania, typ lokomotywy i taboru, zasadnicza szybkość przy przewozach masowych.

Ad 1) Wypada tu nadmienić, iż w stosunku do dużych przestrzeni śródlądowych, które należy wielostronnie obsłużyć pod względem komunikacyjnym, przewozy morzem i

w powietrzu są jedynie pojedynczymi punktami ponieważ każde państwo dysponuje tylko ograniczoną ilością dogodnych portów lub dużych lotnisk. Dla przewozów masowych, w szczególności w początkowych okresach przebudowy gospodarczej nadają się najlepiej przewozy kolejami.

Ad 2) Biorąc pod uwagę obecny poziom techniki, najodpowiedniejszym rodzajem trakcji jest niewątpliwie trakcja elektryczna, szczególnie gdy mamy skoncentrowane w pewnych punktach źródła energii (elektrownie wodne, względnie elektrownie ciepłe w zagłębiach węglowych). Mamy już obecnie prawo liczyć się również z możliwością uzyskania energii elektrycznej w miejscach pozabawionych naturalnych źródeł energii — jako energii wtórnej, uzyskanej z rozszepienia atomu. Leczy budowa elektrowni, linii wysokiego napięcia, stacji transformatorowych, linii rozdzielczych, — zajmuje bardzo dużo czasu, oraz pochłania duże środki materialne.

Wobec powyższego, w ciągu co najmniej pierwszych kilkunastu lat, wypadnie korzystać z trakcji parowej lub nieustępującej jej pod względem technicznym — trakcji Diesla. Ze względów gospodarczych jednak trakcja parowa góruje nad trakcją Diesla, gdyż postuluje się dowolnym lokalnym paliwem, natomiast zaopatrzenie w ciężkie oleje, niezbędne dla silników Diesla — oleje pochodzenia naturalnego (z ropy naftowej), lub oleje sztuczne (z hydrogenizacji węgla) jest dla wielu państw bardzo utrudnione, lub nawet niemożliwe.

Ad 3) Wybór właściwego typu obranego środka komunikacji z uwzględnieniem stojącej do dyspozycji trakcji ma pierwszorzędne znaczenie. W zasadzie musimy rozważyć nie skończoną ilość zagadnień dotyczących typu taboru, obioru trasy oraz sposobów opanowania potrzebnych przewozów masowych. Leczy po porównaniu sporządzonych po dłuższym projektowaniu wariantów, opartych na rozbieżnych założeniach, stwierdzimy iż jeden tylko wariant, względnie najwyżej dwa lub trzy warianty będą najbardziej wskazane. Chodzi o to aby porównanie zalet i wad tych wariantów można było przeprowadzić przed wykonaniem właściwego projektowania, nie porównywać zaś paru gotowych już projektów, sporządzonych kosztem dużego nakładu

pracy, czasu, środków materialnych.

Przedłożony niżej sposób wykonywania obliczeń trakcyjnych i ekonomicznych ma właśnie na celu umożliwienie analizy przed rozpoczęciem projektowania linii, celem ustalenia zawczasu najwięcej wskazanych sposobów projektowania linii lub sieci którą mamy wybudować.

Dla osiągnięcia tego celu należy szczegółowo a krytycznie rozpatrzyć całość metod i wzorów stosowanych obecnie przy projektowaniu kolei. Projekt linii kolejowej jest to o wiele więcej niż zebranie w jednej wspólnej teście poszczególnych projektów dotyczących mostów czy budowli sztucznych, urządzeń wodociągowych czy trakcyjnych, planów dużych stacji lub urządzeń bezpieczeństwa. Jest to projekt organizmu mającego działać wspólnym rytmem, — jednego organizmu, aczkolwiek złożonego z różnorodnych części; wszystkie te części muszą być dokładnie dopasowane wzajemnie, muszą działać z precyzją chronometru. Sercem organizmu kolejowego jest ruch kolejowy. Rozkazodawcą ustalającym tryb działań poszczególnych części tego organizmu — jest wykres ruchu. Celem ostatecznym działania tych poszczególnych części organizmu kolejowego jest przyczynienie się w najwyższym osiągalnym stopniu do umożliwienia najmniej kosztownego, natomiast jak najbardziej pewnego, bezpiecznego i równomiernego ruchu kolejowego, zgodnie z wykresem ruchu.

O ile zgodzimy się na powyższe wywody, musimy tu pogodzić się z faktem iż inżynier budowy musi w znacznie większym stopniu niż dotychczas zapoznać się z obliczeniami trakcyjnymi i stosować je przed, w czasie i po zakończeniu projektu linii kolejowej. Również rozstrzygnięciem wszelkich wątpliwości w czasie ustalania tych lub owych szczegółów projektu we wszystkich trzech fazach projektowania (projektowanie szkieletowe, projektowanie szczegółowe oraz projekt wykonawczy), należy stale uwzględniać wpływ każdej decyzji na pewność, bezpieczeństwo oraz kosztu ruchu. Jest to możliwe tylko pod warunkiem sporządzenia obliczeń trakcyjnych **jednocześnie** z projektowaniem, z różną, rzecz prosta, ścisłością; najmniejszą przy projektowaniu szkieletowym a największą przy projektowaniu ostatecznym. Postępując tak, unikamy jakże częstych a kosztownych przeróbek i dopaso-

wywna nowych linii po przekazaniu ich do eksploatacji. Układ obliczeń trakcyjnych stosowany przez inżynierów budowy jest inny niż układ obliczeń trakcyjnych stosowany przez inżynierów mechaników przy projektowaniu taboru, gdyż cele które ma osiągnąć inżynier mechanik i inżynier budowy nie są jednobrzmiące. W dalszym ciągu będziemy się zajmowali w zasadzie układem obliczeń trakcyjnych dla celów budowy i eksploatacji, jednakże pewne części tego układu mogą okazać się pożyteczne i dla inżynierów mechaników, w szczególności przy projektowaniu parowozów.

W tym miejscu wypada nadmienić, iż zastosowanie obliczeń trakcyjnych oraz ekonomicznych w nowym, ogólniejszym ujęciu, nie jest bynajmniej ograniczone ułatwieniami przy sporządzaniu projektu budowy lub przebudowy pewnej linii komunikacyjnej. Przeciwnie, zastosowanie rzeczowych, bezstronnych sposobów oceny i porównania jakości wydaje się raczej niezbędne dla utworzenia systemu naprawdę skutecznej współpracy pomiędzy poszczególnymi sieciami narodowymi na szerszej, niż dotychczas podstawie, dla zaprojektowania nowych, być może o zupełnie nowym typie, magistrali. Pod terminem tym rozumiemy utworzenie linii kolejowych o dotychczas nieosiągalnej, a koniecznej zdolności przewozowej przy uzyskaniu jaknajkorzystniejszej optymalnej (niekoniecznie największej) szybkości oraz maksymalnej oszczędności.

Istniejące obecnie «narodowe» sieci dróg żelaznych posiadają wiele rozbieżnych cech charakterystycznych. Nie mówiąc już o prohibicyjnej rozbieżności pomiędzy kolejami Europy środkowej a wschodniej oraz północnej Azji, pod względem rozpiętości toru, nawet kraje, które uznały «normalny» o rozpiętości 1435 mm (o łącznej długości stanowiącej około 80 % długości światowej) stosują odrębne metody, holdując odrębnym zwyczajom. Uzgodnienie międzynarodowe normy budowy i eksploatacji dróg żelaznych, aczkolwiek stanowiły w swoim czasie niewątpliwym sukces i przykład idei współpracy międzynarodowej — nie są bynajmniej wystarczające.

Spróbujmy ustalić powody tego tak szkodliwego stanu. Obok szeregu innych powodów możemy wymienić:

- a) **Powody polityczne**; izolowanie

się poszczególnych państw organizmów państwowych.

b) **Względy historyczne i geopolityczne**. Poszczególne sieci rozwijały się organicznie niezależnie jedna od drugiej. W wielu wypadkach nawet sieci państwowe nie były projektowane jako system jednolity, lecz powstały jako sztuczne połączenie zupełnie odrębnych linii lub fragmentów sieci. Do dziś dnia prawie w ogóle nie projektowano środków komunikacyjnych ani nie planowano w sposób czysto naukowy, lecz postępowano po omacku, sposobem stopniowego dostosowywania się do potrzeb, dorywczo, w najlepszym wypadku ewolucyjnie. Wobec niewątpliwych różnic w warunkach lokalnych ustalano odrębne zasady dla poszczególnych sieci. Zasad tych trzymano się następnie kurczowo, traktując je jako świętość, aczkolwiek przeważnie były już przedawnione.

c) **Względy strategiczne**. Unikano celowo ujednolajnienia i połączenia poszczególnych sieci ze względu na bezpieczeństwo państwa. Dowodem jak szkodliwe mogą być te względy będzie przykład tunelu kolejowego pod kanałem La Manche. Mirodajni fahoczy wojskowi orzekli jednogłośnie, iż przebieg tak pierwszej jak i drugiej wojny światowej byłby o wiele pomyślniejszy dla aliantów właśnie w razie wybudowania tego tunelu przed rozpoczęciem wojny.

d) **Względy egoistyczne**. Pewne grupy kapitalistów, względnie zainteresowane korporacje zawodowe używają swych przemożnych wpływów celem egoistycznego popierania pewnych środków transportowych ze szkodą dla innych rodzajów transportu, co szkodzi również całości gospodarki narodowej.

Dla celowego i oszczędnego prowadzenia poszczególnych sieci narodowych do «wspólnego mianownika» niezbędne są obliczenia trakcyjne i ekonomiczne, ujęte nowoczesnie. Celem uniknięcia nieporozumień należy określić, co rozumiemy obecnie pod obliczeniami trakcyjnymi; otóż rozumiemy rachunki uwzględniające wzajemne wpływy pomiędzy następującymi funkcjami zmiennymi:

- 1) Szybkość ruchu.
- 2) Moc lokomotywy lub wozu motorowego.
- 3) Opory ruchu pociągu.
- 4) Skład pociągu.
- 5) Trasa linii (układ linii w rzu-

cie poziomym i w przekroju podłużnym).

6) Koszta przewozowe; czas zajęcia szlaku i punktów ruchu; czas wykorzystania taboru, pracy drużyn parowozowych i pociągów; inne koszta osobowe; zużycie materiałów, paliwa lub energii; procenty na kapitał zakładowy, koszta amortyzacji, wydatki administracyjne i socjalne.

Przyjmując jako jednostkę wagi jedną tonę — wszystkie te koszta razem, stanowią pełny koszt przewozu jednej tony na odległość jednego kilometra lub na odległość pomiędzy nakazanymi punktami A i B, przy czym w różnych warunkach projektowania, odległość od A do B może być zmienna.

Ad 1) Od obranej szybkości zależy skład pociągu, a o ile ten jest ustalony — zależą od niej warunki trasy. Przy zwiększeniu szybkości — czas przebycia szlaku skraca się, obrót taboru również się skraca, całkowity koszt przewozu jednej tony od punktu początkowego do końcowego, mimo zwiększonego wydatku materiałów trakcyjnych, może się zmniejszyć, gdyż zmniejsza się oprocentowanie kapitału, wydatki amortyzacyjne oraz koszta osobowe.

Ad 2) Moc parowozu, lub ogólniej lokomotywy, nie jest stała przy różnych szybkościach. Musimy umieć obliczać charakterystykę lokomotywy przy różnych szybkościach. Nie nastęca tu trudności o ile chodzi o lokomotywę elektryczną, lub Diesla. Uwzględniając jednak układ złożony parowozu, jest to o wiele trudniejsze dla trakcji parowozowej. Stosowane obecnie charakterystyki parowozów zostały określone doświadczalnie i to tylko dla pewnej określonej sieci i pewnego rodzaju paliwa; oparte są one na wzorach empirycznych, które dają wyniki zbyt nieścisłe, o ile warunki pracy lokomotywy, charakter trasy, rodzaj paliwa, warunki geograficzne odbiegają od warunków, dla których wzór został opracowany. Dla celów, któreśmy sobie wyznaczili, wzory te są bez wartości. Musimy umieć wyprowadzić naukową charakterystykę parowozu, uwzględniając najnowsze osiągnięcia fizyki. W tym celu rozpatrujemy układ parowozu jako układ o dwu obwodach wielokrotnie sprzężonych. Rozpatrując działanie każdego z tych obwodów z osobna oraz wzajemne wpływy obydwu obwodów, możemy z łatwością określić charakterystykę parowozu.

Wyniki są zadziwiająco zgodne z wynikami doświadczeń. W Załączniku Dróg Żelaznych przy odnośnej katedrze Uniwersytetu Międzynarodowego w Monachium przeprowadziliśmy kilkadziesiąt porównań takich obliczeń z doświadczeniami francuskimi, niemieckimi oraz amerykańskimi. Zgodność wyników była zupełnie zadawalająca. Jako pierwszy obwód parowozu przyjmujemy następujące punkty węzłowe układu:

a) zasycenie powietrza — popielnik, b) ruszt — załadowywanie paliwa, c) palenisko — komora spaliniowa — spalanie, d) powierzchnia ogrzewalna bezpośrednia od strony paleniska (prawo Stephana), e) powierzchnia ogrzewalna pośrednia od strony gazów spalinowych (konwekcja, f) przegrzewacz od strony gazów spalinowych, g) komora dymna, komin.

Jako drugi obwód uwzględniamy: h) podgrzewacz wody, i) zasilanie kotła w wodę, k) powierzchnię ogrzewalną bezpośrednią i pośrednią od strony zmoczonej, l) przegrzewacz od strony pary, m) rozrząd pary, n) cylindry parowe od strony pracy czynnej, o) cylindry od strony biernej, p) rozrząd pary, q) dyszę wylotową, komin.

Wielokrotne sprzężenie obwodów ma miejsce przy powierzchniach ogrzewalnych, przy przegrzewaczu, przez wydech — ciąg. Musimy również uwzględnić ograniczenie siły pociągowej parowozu przez przyczepność. Osiągnięcia ostatnich lat, dotyczące ścisłych pomiarów doświadczalnych, oraz wywody teoretyczne, nie są niestety uwzględniane w praktyce kolejowej, jak tego należałoby sobie życzyć, w szczególności dla najlepszych szybkości (ponad 100 km/godz.), oraz przy rozruchu.

Ad 3) Jako opory ruchu należy uwzględnić:

a) opór przy rozruchu (pomijamy dotychczas zupełnie lub uwzględniamy ryczałtowo, przeważnie błędnie).

b) opór na prostej poziomej (uwzględniając nowsze doświadczenia w szczególności przy dużych szybkościach).

c) Opór w łuku (obecnie przyjmujemy się mylnie, iż opór parowozu i wagonów zależy tylko od promienia łuku; jest to zbyt dowolne uproszczenie; nowsze badania, np. Protopapadabisa wolne są od tych zarzutów).

d) Opór na wzniesieniu.

e) Opór przy zmianie szybkości.

Ad 4) Skład pociągu należy w zasadzie obierać nie największy możliwy, lecz optymalny tj. gospodarczo i eksploatacyjnie najkorzystniejszy. W pierwszym przybliżeniu należy obliczać skład pociągu przy tzw. optymalnej szybkości tj. przy szybkości odpowiadającej największej mocy parowozu. W pewnych wypadkach opłacają się odchylenia w stronę szybkości większej (a nie jak to się obecnie przeważa robi, — mniejszej) — w szczególności o ile robocizna jest droga.

Ad 5) Układ trasy. Wpływ układu trasy na obliczenia trakcyjne, oraz odwrotnie, wpływ typu lokomotywy na kształt projektowanej trasy o wiele lepiej jest znany inżynierom polskim niż inżynierom większości innych krajów. Wprowadzone przez profesora A. Wasiutyńskiego pojęcie «pochylenia miarodajnego» należy rozwinąć, wprowadzając «optymalne pochylenie miarodajne». Pochylenie to możemy obliczyć dla warunków projektowanej lub istniejącej linii, o ile wyrazimy pełne koszta przewozowe w funkcji od pochylenia miarodajnego i przyrównamy do zera pochodną tego wyrazu. Stosowanie przy projektowaniu niedozwolonego pochylenia miarodajnego, lecz optymalnego, pozwala na osiągnięcie bardzo znacznych oszczędności czasu i kosztów projektowania.

Ad 6) Koszta:

Obliczenie pełnych kosztów przewozowych dla warunków dowolnych tj., dla linii projektowanej w warunkach takich, iż nie możemy korzystać z danych praktyki linii istniejącej i znajdującej się w zbliżonych warunkach, jest pracą trudną i żmudną, lecz niezbędną. Ogółowi fachowców mało są znane osiągnięcia na tym polu dokonane bezpośrednio przed wojną oraz w czasie ostatniej wojny. Prof. Wasiutyński dokonał w swoim czasie zasadniczego podziału części składowych kosztów przewozowych na grupy, odpowiadające poszczególnym miernikom, jak to: pociąg — kilometr, tonno — kilometr, godzina zajęcia szlaku, godzina pracy stacji itp. Myśl Wasiutyńskiego podchwycili przed drugą wojną światową Niemcy, zalecając poufnie, zbieranie danych do tych obliczeń w sposób doskonałe przemyślany. Dane te, stale uzupełniane, posłużyły do ułożenia niemieckiego sposobu obliczania pełnych kosztów przewo-

wych, sposobu dotychczas b. mało znanego i nie ujawnionego. Niżej podpisany miał możność zapoznania się z powyższymi obliczeniami, bez dokonania dalszych uproszczeń, niezależnienia się od warunków specyficznie niemieckich, oraz wyrażenia ich w funkcji od pochylenia miarodajnego.

Wymienione wyżej podstawowe obliczenia nie stanowią jeszcze obliczeń trakcyjnych; są to tylko elementy rachunku. Właściwych obliczeń trakcyjnych dokonamy, o ile znając trasę, skład pociągu, dysponując charakterystyką lokomotywy, umiemy obliczać opory ruchu, będziemy mogli dla każdego momentu «t» obliczyć położenie pociągu (drogę przebytą), oraz szybkość jazdy. Obliczeń tych (najlepiej graficznie) możemy dokonać przez całkowanie graficzne (wieloboki sznurowe): 1) Przy pomocy wykresu «szybkość — droga». 2) Przy pomocy wykresu «szybkość — czas» oraz 3) przy pomocy sposobu «trójkątów równoramiennych».

**Przykład stosowania.**

Jako przykład projektu, dla którego niezbędne jest zastosowanie równocześnie ujętych obliczeń trakcyjnie - ekonomicznych, wymienić można transzajatykę magistralę. Pierwotny projekt tej niezmiernie potrzebnej, a nadzwyczaj kosztownej linii powstał w kołach technicznych Niemiec i Japonii bezpośrednio przed drugą wojną światową a opracowany został w pierwszych latach wojny. Zasadniczo ustalono trzy trasy:

**Trasa I.** — Wariant przewiduje magistralę rozpoczynającą się w Pekinie i prowadzącą wzdłuż prastarych dróg karawanowych do Kaiganu. Poprzez pustynie Gobi, Mongolię Zewnętrzną i Wewnętrzną, równoległą do pasma gór Altajskich (obeżdżając je od południa) do Semipalatynska na Irtyszu, Stepami Kirgizkimi do Astrachania, dalej na Kijów. Punktem końcowym obrano Kraków. (sic!).

**Trasa II.** — Rozpoczyna się w Szanghaju, względnie w Haichau. Dalej poprzez Suczau, południową stronę jeziora Łob-nor, pustynię Takla-makaj, przełęcz Pamiru, Hindukuszu, przez Afganistan do Iranu, gdzie łączy się z istniejącą siecią dróg żelaznych.

**Trasa III.** — Rozpoczyna się w Kantonie, przechodzi posiadłościami francuskimi poprzez Hanoi do Ran-



gunu. Stąd poprzez Kalkutę i południowe Indie do Beludżystanu z boczną do portu Karaczy; dalej poprzez południową część Iranu do Bagdadu.

Trasa I-sza przyjmowała jako warunek istotny — udział Z.S.R.R., w pałcie antykominternowskim». Trasa II-ga starała się uniknąć zarówno terenów sowieckich, jak i posiadłości angielskich. Wreszcie wariant III-ci opierał się na możliwości wykorzystania terenów «poangielskich». W warunkach obecnych wydaje nam się iż, urzeczywistnienie tej magistrali okaże się nieodordable. Rozwiązanie dużej ilości kardynalnych pytań, kierunku trasy, typu magistrali, rozpiętości toru (Japończycy byli stronnikami kolei o rozpiętości toru równej 1 m, jako tańszej i łatwiejszej do budowy, natomiast Niemcy skłon-

ni byli do wybudowania nadmagistrali, o rozpiętości ok. 3 m., mogącej z łatwością podołać olbrzymim przewozom na tak kolosalnej odległości), typów budowli sztucznych oraz lokomotyw.

Kierowana przez niżej podpisanego katedra Uniwersytetu Międzynarodowego rozpatrzyła pewną ilość tych kwestii, lecz dokładniejsze rozpatrzenie całokształtu tych spraw przekracza jej możliwości osobowe i materialne i może być urzeczywistnione jedynie przez specjalny międzynarodowy instytut, który należałoby jak najszybciej powołać do życia. Instytut ten musiałby pracować wykorzystując współpracę fachowców wielu gałęzi wiedzy.

Konstanty SZCZAPOWICKI,  
Prof. dr. nauk techn.

## Nowe kierunki współczesnej hydrometrii.

Klasyczne prace hydrometrów niemieckich (Harlacher, Wagner) szwajcarskich (Epper) ustaliły technikę badań hydrometrycznych, przede wszystkim metody pomiarów wody w rzekach. Od tego czasu instrumenty hydrometryczne były wciąż doskonalone, ale to nie wywołało zasadniczych zmian w metodach hydrometrii, ani też przyspieszyło jej rozwoju. Odwrotnie, daje się zauważyć pewien regres w porównaniu z entuzjazmem «klasycznej» epoki.

Wyrzucanie nowoczesne uwybitniają dwa kierunki, w których ma się rozwijać hydrometria.

1. Badania wód muszą być rozposzechnione na dalekie, trudno dostępne a mało zaludnione obszary — pustynie, góry, lasy podzwrotnikowe, lodowce itp. Takie prace wymagają stosownych i wygodnych instrumentów, uniwersalnych w ich stosowaniu, niewrażliwych na wpływ chłodu, lodu, gorąca i rumowiska (piasku i żwiru). W tych okolicznościach szczególnie są pożądane automaty, transmisje, a także ułatwione metody pomiarów i obliczeń.

2. Pomiar przepływu stają się coraz bardziej ważne w rurach i ka-

nałach, szczególnie przy badaniach wydajności turbin i pomp. W tym celu od pomiaru wymaga się bardzo ścisłej dokładności (w granicach  $\pm 0.5\%$ ) i wielkiego pośpiechu, by się nie zmienić sam przepływ.

Dawniej mierzono przepływ jednym młynkiem hydrometrycznym, trzymanym kolejno w wielu punktach przekroju poprzecznego, albo integrowano się młynkiem przesuwanym równomiernie wzdłuż pionów czy też poziomicy. Obecnie są stosowane większe ilości młynków jednocześnie, po 20 i więcej w jednym przekroju. Obliczenie przepływu w takim wypadku byłoby wybitnie ułatwione jeżeli by wszystkie instrumenty, raczej ich części rotacyjne — skrzydła — były jednakowe. Fabrykacja skrzydeł zupełnie jednostajnych, z tymi samymi stałymi, w dodatku zaokrąglonymi, jest już faktem dokonanym.

Obecnie stosowane udoskonalenia młynków hydrometrycznych mają na celu następujące szczegóły:

1) forma i wymiary instrumentu; wyposażenie ich powinno być takie, żeby nie miało wpływu na warunki ich pracy przy żadnych okolicznościach;

2) osie, łożyska kulkowe i kontakty elektryczne mają być niedostępne dla wody, piasku i mułu;

3) przyrząd ma być łatwy do rozbiórki dla kontroli i czyszczenia, a również do zmontowania, lepiej bez pomocy narzędzi (kluczy czy odkrętek);

4) przewody elektryczne i ich połączenia mają być jaknajprostsze, także do naprawy albo zamiany, ale trwałe i pewne;

5) bardzo ważny problemat, stanowiący formą skrzędzi. Przekonanie, jakoby młynek miał mierzyć rzut ukośnych chyżości  $V \cos \alpha$ , okazało się bezpodstawne. Dokładnie frezowane skrzydło w formie śruby mierzy projekcję  $v \cos^2 \alpha$ . Marzeniem hydrometrów było od dawna tzw. skrzydło komponentowe, które by mierzyło bezpośrednio rzut  $v \cos \alpha$ , niestety, stania w przeciągu stulecia były bezowocne. Obecnie tajemnica skrzydła komponentowego jest już odkryta i niebawem takie skrzydła będą już stosowane w praktyce. Skrzydła komponentowe posiadają nast. zalety:

a) skrzydło takie mierzy bezpośrednio pożądaną rzut  $v \cos \alpha$  (na pion ku przekrojowi poprzecznemu) w ukośnych prądach, nawet do 60° odchylonych od normalnych;

b) jeżeli się integruje, przesuując młynek wzdłuż pionu czyli poziomicy, ruch ten powoduje zjawiska podobne do prądu ukośnego nawet w potoku równoległym;

c) w pobliżu dna kanału albo ściany rurociągu chyżość wzrasta bardzo szybko; warunki w których porusza się skrzydło młynka są zbliżone do kierunku skośnego;

d) woda płynie pulsując; stale waha się jej chyżość i kierunek prądu; integrować taki prąd można jedynie skrzydłem komponentowym.

Wielkie trudności napotyka się przy stosowaniu młynków do pomiarów w hydroelektrowniach niskiego ciśnienia. Jedyne dostępne do po-

miaru przekrój znajduje się w kanale, tuż koło przepustu, przelewu, — albo na początku kamery spiralnej przed turbiną. Kierunki prądu są tu niejednostajne i ukośne. Specjalne tymczasowe urządzenia, budowane czasem w celu wprostowania prądu, są bardzo niepożądane, bo zmieniają normalne warunki pracy turbiny. Można by mierzyć kierunek prądu i młynki ustawiać dokładnie przeciw prądowi, obliczając następnie potrzebną projekcję, nie mamy jednak przyrządów które by się do tego nadawały.

Pozostają dwie metody. Pierwsza — stosowanie młynków ze skrzydłem komponentowym. Druga — jeżeli nie ma takich skrzydeł — mierzenie dwóch komponent chyżości, jednej normalnej, prostopadłej do przekroju, — drugiej pod stałym kątem (n.p. 30°). Młynek powinien być tarowany (pomimo trybu normalnego) dodatkowo pod tym kątem przynajmniej z którąś jedną chyżością. Z pomiaru dwu komponent daje się obliczyć kierunek prądu i potrzebna projekcja chyżości.

Obie metody były niedawno badane w laboratorium hydraulicznym hydroelektrowni w Toegang. Udoskonalonym modelem młynka były mierzone przepływy w profilu sztucznie zdeformowanym przy pomocy ścianki pochylonej pod 45°, w warunkach bardzo nienormalnych, a także w przekroju zwężonym i równoległym. Pomiar wykonano obydwoma typami skrzydeł — zwykłym i komponentowym — dały jednakowe i bardzo dokładne wyniki. Te metody mają być zastosowane w bliskiej przyszłości w praktyce, w warunkach realnych.

Jestem przekonany, że wkrótce nastąpi nowy rozkwit ciekawej dziedziny nauki — hydrometrii.

Prof. dr.-inż.  
Steponas KOLUPAILA.  
(Litwa).



# "ORZEL BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.

## ● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.

W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

## ● Prenumerata:

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.

W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.

W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

## ● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA  | pojed.<br>Egzempl. | Prenumerata |          |
|---|--------------------|-------------|----------|
|   |                    | ½<br>roczna | Roczna   |
| <b>FRANCJA:</b> «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV  | 120 fr.            | 650 fr.     | 1200 fr. |
| <b>W. BRYTANIA:</b> «GRYF» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.   | 3 sh.              | 16 sh.      | 30 sh.   |
| <b>WŁOCHY:</b> Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.   | 200 lir            | 1200 lir    | 2000 lir |
| <b>SZWECJA:</b> «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm  | 2,50 kr.           | 12 kor.     | 22 kor.  |
| <b>NIEMCY:</b> Wydawn. «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone  | 2,50 DM            | 15 DM.      | 25 DM.   |
| <b>SZWAJCARIA:</b> Redakcja «Pod Prąd», Fribourg 1, case 155.   | 1,80 sfr.          | 10 sfr.     | 18 sfr.  |
| <b>ARGENTYNA:</b> Jan Miecznikowski, «Śladnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires                             | 2,50 pcs           | 15 peso     | 25 peso  |
| <b>KANADA:</b> Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont.                                    | 75 cen.            | 4 dol.      | 6 dol.   |
| <b>U.S.A.:</b> Zamówienia i wpłaty kierować: «Harvard Trust Company», Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziekanowski | 75 cen.            | 4 dol.      | 6 dol.   |
| <b>BELGIA:</b> Imprimerie «La Colonne» S.P.R.L., 22, rue de la Braie, Bruxelles (Bourse)  | 20 bfr.            | 100 bfr.    | 180 bfr. |

Koszta przesyłki pojed. nr.: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

WYDAWNICTWA

**INSTYTUTU LITERACKIEGO**

ADAM MICKIEWICZ

**KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA**

HENRYK SIENKIEWICZ

**LEGIONY**

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

**PROMETEUSZE**

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

**MIASTO MOJEJ MATKI**

LEON BLUM

**NA MIARĘ CZŁOWIEKA**

PAWEŁ HOSTOWIEC

**DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC**

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

**KOBIETY**

JÓZEF CHALASIŃSKI I JAN ULATOWSKI

**PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ**

SERGIUSZ PIASECKI

**JABŁUSZKO**

**NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA**

**SPOJRZĘ JA W OKNO...**

TADEUSZ FELSZTYN

**ENERGIA ATOMOWA**

WACŁAW SIEROSZEWSKI

**BENIOWSKI**

ARTHUR KOESTLER

**KRUCJATA BEZ KRZYŻA**

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)

**W OCZACH PISARZY**

DOLESŁAW MICIŃSKI

**PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE**

JAN BIELATOWICZ

**BRYGADA KARPACKA ...**

**PASSEGGIATA**

STANISŁAW GRZYBIEWICZ

**ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ**

WERONIKA HORT

**TULACZE DZIECI**

JÓZEF CZAFSKI

**NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**